



ANNA JEAN

# Mayhew

SUCHA SIERPNIOWA TRAWA

S E R I A K A S Z M I R O W A

**Anna Jean Mayhew**

**SUCHA SIERPNIOWA TRAWA**

tytuł oryginału The Dry Grass of August

przekład Paweł Lipszyc

*Dla Jean-Michaela i Laurel*

*O północy  
Kiedy brak ci mocy  
Gdy na sercu ciężko ci  
Wykradnij się do domu  
Wkrótce zniknę stąd*

Afroamerykańska pieśń religijna

## Rozdział 1

W sierpniu 1954 roku po raz pierwszy wyprawiliśmy się w podróż bez taty, a Stell wreszcie zrobiła użytek ze swojego prawa jazdy, o które straszliwie się awanturowała. To był tylko niewielki dokument informujący, że nazywa się Estelle Annette Watts, jest biała, ma piwne oczy i brązowe włosy. Jednak fakt, że posiadała prawo jazdy, sprawił, że podróż różniła się od innych. Gdyby go nie miała, w ogóle nie utknęlibyśmy w motelu Sally's w Claxton w stanie Georgia, gdzie wstąpiliśmy, by kupić keks, i przydarzył nam się wypadek.

Mary wciąż byłaby z nami.

Stell i ja wyniosłyśmy ostatnie bagaże na podjazd. Nad dębami przy Queens Road West rozpościerało się błękitne niebo bez obietnicy deszczu, który przerwałby upał. Należącą do Mary płócienną torbę w kwiaty włożyłam do bagażnika, ale tata ją wyjął.

– Zawsze zaczynaj od największych rzeczy. – Dźwignął walizę mamy i stęknął. – Spakowała się, jakby zamierzała już nigdy nie wrócić. – Wsunął walizę do bagażnika i spytał: – Dobrze, dziewczęta, co dalej?

Stell kopnęła swoją walizkę czubkiem mokasy na numer sześć.

– Wszystko gra. – Tata wstawił walizkę Stell do bagażnika obok walizy mamy. Potem spojrzął na bagaże wciąż czekające przy samochodzie, przeczesał dłonią włosy, tłuste od brylantyny i potu. – Trzydzieści pięć stopni, a nie ma jeszcze dziesiątej. – Chustką, którą wyjął z kieszeni, otarł twarz, poprawił na nosie okulary w drucianej oprawce. Grube dłonie o krótkich palcach miał opalone od gry w golfa. Na prawym małym palcu nosił sygnet odziedziczony po swoim ojcu, złoty, z płaskim czerwonym kamieniem.

Kiedy Mary zamknęła za sobą drzwi kuchenne, zadzwieczał krowi dzwonek. Mary, z Daviem na biodrze, nadeszła chodnikiem zza domu. Puddin gramoliła się obok z walizeczką, którą dostała na gwiazdkę.

– Nie pozwól Mary siedzieć z przodu – zwrócił się tata do mamy.

– W życiu nie popełniłabym takiego głupstwa – odparła mama. – Niech wszyscy ostatni raz pójdą do łazienki.

– Ja nie potrzebuję – oznajmiła Stell, chowając się w cieniu garażu.

Pobiegłam łącznikiem między budynkami, mijając Mary, dotknęłam jej ramienia, potem pozwoliłam, by siatkowane drzwi się za mną zatrzasnęły. Łazienka taty śmierdziała papierosami i kupą. Otworzywszy okno, usiadłam na sedesie, żeby się wysikać. W dużym lustrze na drzwiach widziałam okropne pręgi na udach. Wstałam i podciągnęłam rybaczki.

Tata przekładał bagaże, by uzyskać choć centymetr kwadratowy wolnej przestrzeni w bagażniku. Stell Ann stała przy aucie, cała lśniąca w gotowości, od jedwabistych włosów po bezbarwny błyszczak na wargach i jasnoróżowy lakier na paznokciach. Nigdy nie potrafiłam osiągnąć takiej perfekcji.

Klakson zatrąbił. Zielony dwudrzwiowy deVille ciotki Rity wtoczył się na podjazd i zatrzymał obok Packarda. Ciotka opuściła okno i powiedziała: – Znalazłam kosz turystyczny.

– Świetnie! – ucieszyła się mama i zwróciła się do taty: – Znajdziemy dla niego miejsce?

Tata jęknął i zajrzał do wypchanego bagażnika. Ciotka Rita podała mamie kosz przez okno.

– Zapakowałam do niego naczynia, szklanki i przybory. Te w papierowej torbie są dla Mary. – Ciotka

ściszyla głos. – Mówią, że w Georgii działa Klan.

– Nic nam nie będzie – odparła mama, podając kosz tacie.

– Mam nadzieję. – Ciotka Rita pomachała, wyjeżdżając z podjazdu.

– Pożegnajcie się z ojcem – powiedziała mama, dzwoniąc kluczykami od samochodu.

Tata przytulił Puddin jedną ręką, drugą wyciągnął do Stell, ona jednak cofnęła się sztywno. Przelotnie pocałował mnie w czoło.

– Bądź grzeczna, Żuczku. Wiesz, że jesteś córeczką tatusia, prawda?

Głowa taty zasłaniała poranne słońce i nie widziałam jego twarzy. Na podjeździe stała Mary z Daviem.

Tata szturchnął go w brzusek.

– Powiedz „do widzenia”.

Davie pomachał.

– Opiekuj się moim chłopcem – powiedział tata do Mary.

– Tak jest, proszę pana – odparła Mary, nie patrząc na tatę.

Wszyscy wsiedliśmy do samochodu, mama i Stell Ann z przodu, Davie między nimi w płóciennym foteliku. Puddin i ja usiadliśmy z tyłu razem z Mary, która zajęła miejsce za kierowcą, wysoka i wyprostowana, z ciemną twarzą już wilgotną od potu. Poklepała mnie po nodze, dając do zrozumienia, że cieszy się z siedzenia obok mnie. Kręcone włosy mamy opadały luźno, połyskując rudo i złociście. Podawała mi kapelusz, szal i rękawiczki, żebym odłożyła na półkę z tyłu.

– Zwiń rękawiczki i wsuń pod kapelusz, potem przykryj szalem. – Przyglądała mi się w lusterku, by się upewnić, że robię, co kazała. – Wszyscy gotowi? – zapytała, uruchamiając silnik.

– Zdrowi i gotowi – odparłam. Stell pociągnęła nosem. Młodzieżowe powiedzonka były poniżej jej godności, odkąd skończyła szesnaście lat, wstąpiła do chrześcijańskiej organizacji młodzieżowej Young Life i została zbawiona.

Tata pochylił się przy oknie mamy i pocałował ją w policzek.

– Zobaczmy się w Pawleys, tak? – Mama akurat schyliła się, żeby przełożyć portmonetkę, więc pocałunek taty trafił w jej ramię. – Szerokiej drogi.

Mama wrzuciła wsteczny bieg. Czy poczuła pocałunek na ramieniu?

Tata machał spod garażu, już wyglądał samotnie, a ja przypomniałam sobie, jak mówił do stryja Stamosa, swojego starszego brata: – Jak wyjadę, w każde popołudnie będę grał w golfa i upijał się do nieprzytomności, kiedy tylko zechcę. – Zastanawiałam się, jak będzie się czuł, wracając do cichego domu, gdzie nikt nie rozmawia przez telefon, a w piekarniku nie czeka kolacja. W pobliżu nikogo, na kogo mógłby wrzeszczeć, kiedy się rozżłości.

Mama skręciła w Queens Road West, w zielone tunele pod wysokimi dębami.

– Mam nadzieję, że na drodze dojazdowej do autostrady nie będzie dużego ruchu.

Wyjeżdżając z Charlotte, minęliśmy basen miejski, gdzie ujrzałam Richarda Daniela na nowej trampolinie, a jakiś inny chłopak skakał w kucki z niższej deski. Nikt nie skakał do wody lepiej od Richarda. Następnym razem poproszę go, żeby mnie nauczył.

Kiedy tata i stryj Stamos zdobyli kontrakt na budowę tych trampolin, całymi tygodniami ślęczeli nad projektami rozłożonymi na stole w jadalni. Wielkie płachty pachniały eterem, na każdej stronie widniała ramka z napisem WATTS CONCRETE FABRICATIONS, INC, nagłówek BASEN MIEJSKI W CHARLOTTE oraz poszczególne części, takie jak POMOST. PODSTAWA TRAMPOLINY TRZYMETROWEJ. PODSTAWA TRAMPOLINY METROWEJ.

Tata nauczył mnie czytać rysunki techniczne.

– Zawsze sprawdzaj skalę. Centymetr może oznaczać pół metra albo dziesięć metrów.

– Przytrzymał arkusze, żeby się nie zwijały. – Bez znajomości skali nie zrozumiesz rysunków. – W

ten sposób poznawałam tajniki rysunku technicznego, wdychając zapach tytoniu i old spice'a.

Tata lubił mnie uczyć. Kiedy byłam w pierwszej klasie, podarował mi pudełko z kolorowymi drewnianymi narzędziami, które według mamy były komiczne.

– To rzeczy dla chłopców – stwierdziła.

– Nie mam synów – odparł tata. – Jak na razie. – Poklepał ją po pupie. – Dziewczyny powinny umieć posługiwać się młotkiem.

Kiedy tata potrzebował pomocy, chwyciłam pudełko i pędziłam, ale już od dawna nie prosił o pomoc. Zabawkowe narzędzia nie nadawały się dla trzynastolatki.

Puddin kręciła się obok mnie na fotelu.

– Kiedy już będziemy jechać przez Florydę, chcę siedzieć z przodu, żeby pierwsza zobaczyła ocean.

– To będzie dopiero jutro po południu – odparłam.

– Poczekam. – Oparła głowę na moim ramieniu, ale po chwili znowu się wyprostowała. – Zwiąż mi warkocze, żeby wyglądała jak Holenderka. – Posłusznie związałam jej cienkie warkoczyki na czubku głowy, wiedząc, że się nie utrzymają, bo miała za delikatne włosy.

– Wyglądam jak Holenderka?

– Wyglądasz jak Puddinka ze związanymi warkoczami. – Jedwabiste jasne kosmyki opadały jej za uszami.

Davie zaczął marudzić, więc mama poprosiła Stell o sprawdzenie pieluszki. Davie miał już prawie dwa lata, ale jeszcze nie nauczył się korzystać z nocnika, dlatego na drogę mama założyła mu pieluszkę. Stell uniosła brata z fotelika i spytała: – Pozwolisz mi kiedyś prowadzić?

– Tak.

– Pielucha jest w porządku. Weź go na trochę, Mary. – Pomogła Daviemu wdrapać się na przednie siedzenie. Mary sięgnęła po niego, chłopiec rozpromienił się i rozłożył szeroko ręce. – Kiedy? – dopytywała Stell.

– U Taylora, ale nie na autostradzie – odparła mama. – Jeszcze nie.

Najpierw jechaliśmy do Pensacola na Florydzie, do brata mamy Taylora Bentleya, który był rozwodnikiem. W naszym salonie stała jego fotografia w mosiężnej ramce z uroczystości ukończenia szkoły w Annapolis, zrobiona, gdy Taylor miał dwadzieścia jeden lat. Przystojny, w białym mundurze, kapelusz trzymał pod pachą. Kiedy wyrzucił ciotkę Lily, sędzia oświadczył, że ich córka ma zostać z wujkiem Taylorem. Pewnego razu usłyszałam, jak mama mówi przez telefon: – Lily Bentley to dziwka. – Słownik pomógł mi wyjaśnić tajemnicę i domyślić się, że ciotkę Lily przyłapano na romansie. To słowo zrodziło u mnie ciekawość szczegółów, na których poznanie nie mogłam liczyć.

Wczesnym popołudniem zjedliśmy w aucie kanapki z pastą serową z papryką i zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej Esso na zachód od Kolumbii. Tak długo szperałam w lodzie w skrzynce z napojami, że dłoń zaczerwieniła się jak burak, w końcu jednak udało mi się wydobyć colę. Stałam w słońcu i zaczęłam pić, choć mama uprzedzała, że przysługuje mi tylko jedna butelka.

Rozejrzałam się za Mary i zobaczyłam, że zamyka drzwi toalety za stacją benzynową.

Z kieszeni wyjęła chusteczki higieniczne i wytarła ręce. Podeszłam do niej.

– Napijesz się czegoś?

– Nie wiem, kiedy znajdę następną toaletę – odparła, potrząsając głową.

Stell podeszła, stukając w butelkę coli.

– Chcesz zagrać w podróżowanie?

– Zgoda. Na dwa. – Wychyliłam do końca swój napój i beknęłam.

– Elegancko. Zrób to dla następnego przystojniaka, którego spotkasz.

Przekreśliłyśmy butelki do góry dnem.



– Charlotte! Wygrałam! – Uwielbiałam wygrywać ze Stell.

– Atlanta – powiedziała. – Przegrałaś.

Wtedy zawołałam do mamy, stojącej z Royal Crown w dłoni przy skrzynce z napojami: – Co jest dalej, Charlotte czy Atlanta?

– Atlanta. Czemu pytasz?

Plasnęłam ćwierćdolarówkę na wyciągniętą dłoń Stell, która przyjęła ją z uśmiechem.

Staruszek zdjął kapsel z butelki SevenUp i uniósł ją, jakby też grał w podróż. Mrużąc oczy, przyjrzał się denku butelki, gdzie w grubym szkłe, zielonym i połyskującym w słońcu, utknął pęcherzyk powietrza.

– Ten, kto to wydmuchał, miał czkawkę – oświadczył wysokim, skrzekliwym głosem.

Kiedy wsiedliśmy do samochodu, powtórzyłam, co powiedział i w jak zabawny sposób to zrobił. Tylko Mary się roześmiała.

Gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, Puddin umościła się pod puchowymi poduszkami, które zabraliśmy ze sobą; zwinęła się w kłębek, aż wystawały tylko sandałki. Nie cierpiała klimatyzacji. Pewnie dlatego, że była chuda i nie miała na kościach dość mięsa, które by ją ogrzewało.

Zawsze uważałam na Puddin, bo zanim się człowiek obejrzał, zniknęła. Raz, podczas wycieczki w góry, zostawiliśmy ją na stacji benzynowej i dopiero po trzydziestu kilometrach zauważyliśmy, że jej nie ma. Tylko ja zwracałam uwagę na to, jak często się chowała. Mama nie okazywała niepokoju.

– Ma dopiero pięć lat. Ma dopiero sześć lat. Ma dopiero siedem lat.

Nad autostradą falowało gorące powietrze; podróż się dłużyła, chociaż mama pokazywała nam takie rzeczy jak granica stanu Georgia i drzewa brzoskwiniowe ciężkie od owoców. Grałyśmy w alfabet, aż utknęłam przy M. Mary wskazała cielaka i podpowiedziała mi szeptem: – Młoda krowa.

Stell zaprotestowała, że to nieuczciwe, a ponieważ mama nie chciała rozsądzić, przerwałyśmy zabawę.

W miasteczku Toccoca ujrzałam napisy przed domami: „ODDZIELNI, ALE RÓWNI – TO DOBRE DLA WSZYSTKICH”, a także „SEGREGACJA SIĘ NIE POPSUŁA. NIE MAJSTRUJCIE PRZY NIEJ”.

– Mamo, co znaczą te napisy?

– To ma związek z zamieszczeniem w Waszyngtonie. – Mama zerknęła na Mary we wstecznym lusterku. – Nieważne. W Georgii tego nie będzie.

– Czego nie będzie?

– Cicho. Nie chcę o tym mówić.

Mary ujęła mnie za rękę, a ja spojrzałam na nasze splecione palce – moje smukłe, leżące na kolanach; ona nosiła cienką złotą obrączkę. W samochodzie niewiele rozmawiałyśmy, a Mary ograniczała się do „tak, proszę pani”, „nie, proszę pani” albo „nie gadajcie do czasu, kiedy mama wyjedzie na autostradę”. Ona i mama od dawna prawie się do siebie nie odzywały.

Przekazywałyśmy sobie Daviego, żeby zanadto nie marudził. W końcu zasnął mi na kolanach, z główką na mojej piersi, ale nie martwiłam się, że obślini mi koszulę.

Na południe od Atlanty mama oznajmiła: – Jutro po południu dojedziemy do Taylora. – Sprawiała wrażenie podekscytowanej.

Opowiedziała nam o pobliskiej miejscowości Warm Springs. – Prezydent Roosevelt pojechał do Warm Springs z powodu polio i zmarł tam, kiedy Jubie i Stell były małe. Zabrałam was na stację Southern Railway w Charlotte i patrzyłyśmy, jak przejeżdża kondukt pogrzebowy.

Przydarzyło mi się coś ważnego, a ja tego nie pamiętałam.

– Dziewczęta, Taylor i Sarah wprost nie mogą się doczekać, kiedy was zobaczą. – Mama usiłowała pleść mało istotne rzeczy, bo nie przepadała za Sarah, którą kiedyś określiła jako nadętą. Mimo to Sarah była moją jedyną kuzynką, a ponieważ nieszczerze lubiła Stell, cieszyłam się, że znowu ją zobaczę. W ostatnim liście napisała, że kiedy przyjadę, pójdziemy się opalać, tylko ona i ja. Nigdy nie pisała o



zniknięciu matki, a ja nie byłam pewna, czy powinienam pytać. Ciotkę Lily zapamiętałam jako osobę o egzotycznej urodzie, z gęstymi czarnymi włosami opadającymi ciężko do ramion, z jaskraworóżowymi paznokciami, w srebrnych szpilkach. Ciotka była jedyną znaną mi matką, która nazwała córkę na cześć gwiazdy filmowej, Sarah Dolores. Mama powiedziała, że Lily zrobiła to, ponieważ ludzie mówili jej, że wygląda jak Dolores del Rio. Jak mieszkało się Sarah tylko z ojcem? Nie mogłam sobie wyobrazić, by tata szykował nam kolację, kręcił nosem na ubranie, które wybrałyśmy do szkoły, albo robił listę zakupów. Może wujek Taylor wynajął dziewczynę do tych wszystkich rzeczy.

Około szóstej trzydzieści zaczęło mi burczeć w brzuchu, więc mama kazała Stell wyjąć spod siedzenia papierową torbę.

– Są krakersy Lance, po paczce dla każdego, i jabłka. To pozwoli nam przetrwać. Chcę uniknąć tłumów w porze kolacji.

Dopiero po ósmej stanęliśmy w miejscu, gdzie drzewa rzucały długie cienie na drogę.

Kiedy wjechaliśmy na parking restauracji, mama przekręciła lusterko tak, byśmy widziały jej odbicie.

– Jubie, zrób Mary miejsce, żeby mogła przewinać Daviego.

Zaczął marudzić, kiedy Mary go położyła.

– Zaraz dostaniesz kolację – szczebiotała. – Nie płacz, malutki.

Mama uszmkowała usta i przypudrowała nos.

Czułam się tak, jakbym siedziała całą wieczność. Mimo klimatyzacji uda spocily mi się w zetknięciu z fotelem, aż pręgi zaczęły szczytać. Postanowiłam, że choćby nie wiem co, już nigdy nie usiądę okrakiem na przekładni biegów. Mama wielokrotnie powtarzała, że potrzebuję więcej miejsca dla nóg niż większość dorosłych. Stell była wymuskana, ale ja miałam wzrost.

Mama wzięła od Mary Daviego.

– Chcesz coś konkretnego na kolację?

– Nie, proszę pani, cokolwiek. Chciałabym skorzystać jeszcze z łazienki dla pomocy kuchennej.

– Na pewno będzie dobrze. – Mary wsiadła z powrotem do samochodu. Obejrząwszy się przez ramię, pomachałam do niej, kiedy wchodziliśmy do restauracji, mama z przodu, z Daviem na biodrze. Przy kasie zatrzymała się i rozejrzała, aż kelnerka krzyknęła: – Znajdźcie sobie stolik.

Ludzie w restauracji odwrócili się i popatrzyli na mamę, ale ona, niczym królowa Anglii, ruszyła prosto do stolika, który wybrała. Zawsze uważałam, że to głupie, że przed wyjściem z samochodu się upiększała, a potem nie cieszyła się poświęcaną jej uwagą. Ciotka Rita mówiła, że to nieuczciwe, by kobieta z czwórką dzieci tak świetnie wyglądała.

Usiedliśmy przy stoliku z blatem z zielonego poliestru pod oknem wychodzącym na parking, gdzie czekała Mary. Zawsze kiedy wychodziliśmy do restauracji, mama albo tata zamawiali za nas. Tym razem mama powiedziała: – Jesteśmy na wakacjach. Zamawiajcie, co chcecie.

– Chcę sałatkę z rosyjskim sosem, fasolkę szparagową, karmelizowaną marchewkę i gotowanego kartofla z dodatkową porcją masła – wyrecytowała natychmiast Stell.

Dopiero po przeczytaniu całego trzystronicowego menu zamówiłam spaghetti i klopsiki, których mama prawie nigdy nie robiła, ale na talerzu, który przede mną postawiono, widniała pomarańczowa kleista maź, jak makaron z puszki. Kolacja Stell pachniała przepysznie. Podobnie jak wieprzowy kotlet mielony mamy, którego zaledwie skubnęła.

Właśnie żułam kleiste klopsy, kiedy usłyszałam trzask drzwiczek samochodowych.

Spojrząwszy w okno, najpierw zobaczyłam własne odbicie, dopiero później Mary, stojącą przy aucie i przeciągającą się z uniesionymi w górę rękami. Ucieszyłam się, że mama zamówiła dla niej smażonego kurczaka, a nie spaghetti i klopsy. Zanim wyszliśmy, kelnerka wręczyła nam zatłuszczoną papierową torbę.

– To jest jedzenie dla waszej dziewczyny. Szef mówi, że może skorzystać z łazienki przy kuchni. Na granicy miasta Wickens w stanie Georgia widniał napis:

MURZYNI

Przestrzegajcie godziny policyjnej!

Po zachodzie słońca!

TYLKO DLA BIAŁYCH

Tata byłby rad z takiego obwieszczenia. Miałam nadzieję, że Mary go nie widziała.

Głowę oparła o zagłówek fotela, zamknęła oczy. Mama wjechała na parking i poprosiła, żebym poszła z nią spytać o pokoje. Minęliśmy pracownika pielęgnującego trawnik; w uśmiechniętej czarnej twarzy błyskały białe zęby. Mama powiedziała do recepcjonisty: – Mam czwórkę dzieci, jedno to jeszcze niemowlę, jest też dziewczyna do pomocy.

Możemy z nią dzielić pokój, ale musi mieć własne łóżko.

– Nie mogę pozwolić, żeby pani dzieci spały razem z nią. – Recepcjonista dotknął dłoni mamy, a ona gwałtownie ją cofnęła. Mężczyzna zmarszczył brwi. – W centrum jest hotel dla czarnuchów, gdzie ona może zostać, a wy wróćcie tutaj.

Mama się skrzywiła. Nigdy nie używała tego słowa. Mówiła „kolorowy” albo „Murzyn”. Tata twierdził, że taplała się w eufemizmach.

– No więc? – ponaglił recepcjonista.

– Nie zostawię jej samej – odpowiedziała mama cichym, ostrym głosem. Potem wyszła z hotelu, ciągnąc mnie za sobą.

W końcu znaleźliśmy motel Sleep Inn, gdzie zgodzili się przyjąć Mary. Prowadzący go człowiek wyszedł z mamą na dwór i pokazał jej domek za recepcją. Na widok Mary czekającej przy samochodzie zapytał: – To ta twoja dziewczyna?

– Tak.

Mężczyzna potarł usta i powiedział: – Niech wejdzie do środka.

Kiedy tylko znaleźliśmy się w pokoju, mama zadzwoniła do wujka Taylora.

– Hej! Jesteśmy w Wickens w Georgii, daleko na południe od Atlanty, podróż mamy spokojną... Nie, żadnych problemów. Znaleźliśmy miejsce, gdzie ją przyjęli. – Mama słuchała, potem powiedziała: – Teraz nie mogę z nim rozmawiać. – Czy miała na myśli tatę? Po kolejnej przerwie dodała: – Zobaczmy się jutro, nie mogę się doczekać.

Po przebraniu się w piżamę chciałam pójść i sprawdzić, czy Mary dobrze się miewa.

Mimo upału mama kazała mi włożyć szlafrok, żebym wyglądała przyzwoicie. Dotarłam do domku, ale wstydziłam się zapukać. Kiedy mama z tatą wyjeżdżali z miasta, Mary mieszkała z nami, ale to był nasz dom, więc bez skrupowania wchodziłam do gabinetu, gdzie spała na rozkładanej sofie. Wreszcie zapukałam cicho.

– Wejdz, Jubie – zawołała Mary.

Drzwi się otworzyły i zobaczyłam mały pokój. Żarówka na suficie nie dawała wiele światła, przez co pokój wydawał się ciasny i rozgrzany mimo otwartego okna. Powietrze pachniało kurzem i mydłem. Mary siedziała na jedynym krześle, z oparciem z poprzecznych szczebli, podobnym do tego, które mieliśmy w kuchni, ale z jedną nogą krótszą, przez co się przechylało. Na kolanach trzymała podniszczoną białą Biblię.

– Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Kto inny by mnie odwiedzał o tak później porze?

– To mógłby być jakiś dżentelmen, który chciał się z tobą zobaczyć.

– Mógłby.

Mary miała na sobie niebieski kordonkowy szlafrok i pantofle frotté. Z rudawobrazowych loków powymowała grzebyki. Słyszałam, jak mama mówiła, że Mary płucze włosy henną; podobało mi się, że Mary jest trochę próżna.

– Siadaj, dziewczyno – powiedziała, wskazując łóżko.

Usiadłam i musiałam chwycić za deskę w nogach łóżka, żeby nie przewrócić się w tył.

– Nigdy nie siedziałaś na pryczy ze słomianym siennikiem?

Próbowałam usiąść, ale łóżko wciąż mnie przewracało. W końcu podczołgałam się, oparłam plecy o wezłowie, lewą nogę opuściłam na bok.

– Jak możesz spać w czymś takim?

– Tak właśnie jest z siennikiem: śpisz w nim, nie na nim.

– Co tak skrzypi, kiedy się ruszam?

– To sznury. Nie ma sprężyn, do jakich jesteś przyzwyczajona.

– Nie mogłabym przez to zasnąć. – Zamachnęłam się na komara bzycającego mi za uchem.

– Wszystko gra, Jubie?

– Oprócz tego, że jestem stłoczona z całą resztą, bagaże leżą rozłożone po całym pokoju, a ty, proszę, masz pokój dla siebie.

– Czasami opłaca się być kolorowym. – Mary zakołysała koślawym krzesłem.

Palec stopy wsunęłam w dziurę w dywaniku.

– Gdzie masz łazienkę?

– Myślisz, że to jest jakiś pałac dla czarnoskórych? Na polu stoi wygódka, tu mam dzbanek i miskę.

– Masz wodę?

– Właściciel motelu pozwolił mi napełnić dzbanek z kranu na dworze. Tu jest lepiej, niż mogłoby być.

– Ten pokój ma miłą atmosferę. – Zająknęłam się przy tym słowie. Nigdy wcześniej nie wypowiedziałam go na głos.

– Kolejne nowe słowo, co? Co znaczy?

– Że w twoim pokoju jest miło. – Z trudem wstałam z pryczy. – To Biblia rodzinna?

– Należała do mojego męża. W środku są nasze daty.

– Mogę zobaczyć?

Mary otworzyła okładkę Biblii i mi ją wręczyła.

– Ostrożnie. Ma ponad siedemdziesiąt lat.

Uważnie wzięłam księgę. Różnymi charakterami pisma naniesiono w niej daty narodzin, zgonów, ślubów i chrzcin. Daty w Biblii Mary sięgały znacznie dalej w przeszłość niż te, które Stell naniósł w naszej. Jeden z wpisów głosił: „Mary Constance Culpeper, urodzona 20 września 1906 roku. 18 maja 1925 roku poślubiła Pharra Lincolna Luthera”.

– To ty.

– Zgadza się. Niedługo mam urodziny. Skończę czterdzieści osiem lat.

Nigdy nie myślałam o wieku Mary. Jej karmelowa skóra była gładka.

– Nie sądziłam, że jesteś taka stara.

Mary odrzuciła głowę w tył i wybuchła śmiechem, odsłaniając przednie zęby ze złotymi koronkami.

– Coraz bardziej mi się podobasz, June Bentley Watts, coraz bardziej.

– Twój mąż zginął w wypadku, tak? – Ponownie spojrzałam na Biblię.

– Tak, wieczorem, kiedy wracał z pracy. Lekarz powiedział, że to przez serce.

– Miał zawał za kierownicą?

– Może. Nie ma pewności.

– To twoja obrączka ślubna? – Wskazałam na jej lewą dłoń, a Mary przytaknęła.

– Pharr kazał wygrawerować na niej nasze inicjały i datę ślubu.

– Masz dwóch braci i siostrę? – dopytywałam, dotykając następnej strony w Biblii.

– Z tego, co wiem, żyje już tylko jeden brat. Siostra zmarła, rodząc czwarte dziecko. O najmłodszym bracie nie słyszeliśmy od dwudziestu lat. Przypuszczam, że nie żyje. – Nie mieściło mi się w głowie, że mogę nie wiedzieć, co się dzieje ze Stell, Puddin czy Daviem.

– Byłaś drugim dzieckiem tak jak ja.

– Tak. Przed siostrą mama urodziła dwoje martwych dzieci, ale one raczej się nie liczą.

– Chyba już pójdę, żeby wszyscy mogli się położyć – powiedziałam, oddając Mary jej Biblię. Dotknąwszy jej ramienia, dodałam: – Dobranoc, Mary. Zamknij za mną drzwi na klucz. – Zabrzmiało to tak, jakby mówiła mama.

– W tych drzwiach nie ma klucza. Gdyby był, tobym go użyła. – Kiedy wychodziłam, Mary patrzyła na otwartą Biblię.

W naszym pokoju spali wszyscy oprócz mamy. Przy otwartych drzwiach łazienki myła zęby. Włosy ściągnęła do tyłu, żeby nie zatłuściły się emulsją, którą myła twarz; jej twarz lśniła w świetle lampki nad umywalką. Mama spojrzała na mnie w lustrze. Miała pianę na ustach, w lewej dłoni trzymała mostek protetyczny, który szorowała prawą dłońią.

Wypłukała usta i wypłuła wodę.

– Kładź się do łóżka, Jubie, i nie hałasuj. – Trochę sepleniała z powodu dziury po zębie.

Stell powiedziała mi, że tata jej go wybił. Mama nigdy o tym nie mówiła. – Chcesz się wysiusiać przed snem?

– Nie. – Szlafrok mamy przełożyłam przez deskę w nogach jej łóżka i stanęłam.

Starałam się na nią nie patrzeć, ale nieczęsto miałam okazję oglądać ją bez zęba.

– O co chodzi? – spytała mama, włożywszy mostek na miejsce.

– Mary ma wygodkę zamiast łazienki i dzbanek z miską, tak jak ciotka Rita w salonie, ale te w pokoju Mary są do użytku.

– Za jej domek zapłaciłam więcej niż za ten pokój i Mary niczego nie brakuje. Kładź się. – Mama zgasiła światło, kiedy układałam się obok Stell.

Leżąc w ciemności, słuchałam oddechów rodziny. Ktoś zacharczał, Puddin, a może mama. Gdzieś w oddali nieustannie szczekał pies. Ciekawe, czy Mary go słyszała.

## Rozdział 2

Pięć dni przed wyjazdem do Pensacola siedziałam na łóżku i słuchałam warkotu kosiarki sąsiada. Wyjrzałam przez okno. Nagi od pasa w górę Carter Milton miał zaczerwienione ramiona i szerokie plecy. Nie wyglądał jak chłopak z sąsiedztwa, ale jak dorosły mężczyzna pracujący na swoim podwórzu. Dlaczego miał takiego bzika na punkcie Stell? Tego ranka, kiedy mama chciała mnie posłać do sklepu, Stell powiedziała jej, że schowałam się w domku na drzewie. To nie była prawda, ale mama wierzy we wszystko, co mówi Stell.

Otworzyłam okno. Carter stał na podjeździe i pił colę.

– Spotkajmy się przy żywopłocie – zawołałam.

W domu było pusto. Mama wciąż na zakupach, Puddin na dworze z Daviem, Stell na zbiórce cheerleaderek. Z kuchni dobiegały odgłosy krzątającej się Mary. Na palcach zeszałam na dół w nadziei, że wymknę się frontowymi drzwiami. Właśnie stałam w sieni, z ręką na klamce, kiedy usłyszałam: – Hej, Jubie. – Mary stała w holu ze ścierką w dłoni. – Wychodzisz?

– Tylko na chwilę.

– Mama chce, żebyś tu była i rozpakowała zakupy, kiedy wróci.

– Muszę coś powiedzieć Carterowi.

– Chłopakowi Stell Ann?

Wzruszywszy ramionami, pobiegłam, by spotkać się z Carterem przy bukszpanach oddzielających nasze podwórka. Jego oczy lśniły w słońcu topazowo. Zerwałam gałązkę i poobrywałam listki, żeby zrobić bransoletkę.

– Chcesz usłyszeć, co Stell pisze w dzienniku? – Oderwałam koniuszek jednego z listków.

– Myślisz, że jest tam coś o mnie? – Carter otarł czoło.

– Możesz się dowiedzieć za dolara.

– Jasne, Jubes. Kiedy?

Lubiłam, kiedy nazywał mnie Jubes. – Za pół godziny, w domku na drzewie.

Szukając dziennika Stell, znalazłam jej skarbonkę schowaną w tekturowym pudle spoczywającym na dnie szafy, ukrytym za letnimi butami – białymi sandałami, czarnymi lakierkami i pantofelkami. Powoli odwróciłam skarbonkę, słysząc szelest banknotów i brzęk ciężkich monet. W mojej skarbonce zawsze była tylko drobnica.

Za pomocą agrafki wysunęłam ze skarbonki banknot dolarowy. Po następnej opiece nad dziećmi odłożę dolara i ćwierć. Stell nigdy się nie dowie. Pożyczka ze skarbonki i dolar od Cartera pozwolą mi pójść do Manor Theatre z moją najlepszą przyjaciółką Maggie na film *Mężczyźni wolą blondynki*, o którym mama mówiła, że jest pieprzny. Wprawdzie go nie widziała, ale nie ufała żadnemu, w którym wystąpiła Marylin Monroe, nie wspominając o Jane Russell. Kupię najnowszy komiks *Space Cadet*, popcorn, winogronowy napój Charms i wrócę do domu autobusem.

Zanim odłożyłam skarbonkę do pudełka, położyłam się na podłodze i spojrzałam w górę na spódnice Stell, wszystkie sięgające dokładnie dwa cale za kolana.

Dziennika nie było w szafie, komodzie, na nocnym stoliku ani pod łóżkiem. Wreszcie znalazłam go na półce w pokoju do szycia, za pudłem z wykrojami. Na okładce napisała „Estelle Annette Watts. Jej



dziennik. 1954”. Zanim go zabrałam, zapamiętałam dokładnie, jak był schowany, żeby odłożyć go tak samo. Siostra wyczuwała, kiedy coś się nie zgadzało.

Kilka minut później stałam na zadrzewionej wysepce na środku Queens Road West i czekałam, aż samochody przejadą. Domek w kępie dębów na ostatniej pustej działce między Selwyn Avenue a Kings Drive skleciły dzieciaki z sąsiedztwa, używając drewna, które zwędziły, kiedy budowano nasz dom. Carter leżał na plecach i patrzył w listowie. Jasne, krótko przycięte włosy kręciły mu się nad czołem jak Tabowi Hunterowi. Na policzku, nad miejscem, gdzie się golił, uwidaczniał się lekki zarost.

– Cześć, mała – powiedział, siadając.

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, a z umowy nici.

– Jasne. Nie ma już w tobie nic małego.

Policzki mi płonęły.

– Przyniosłaś?

Skinawszy głowę, wślizgnęłam się do domku i usiadłam na szorstkich deskach, tak podwijając nogi, żeby nie dotknąć Cartera. Wyciągnęłam dziennik spod koszuli, gdzie zatknęłam go za gumkę szortów.

– Przeczytam ci dwie strony za dolara. Masz pieniądze?

Carter zadzwonił monetami w kieszeni.

– Skąd wiedziałaś, które to strony?

– Kurczę, to nie było przecież trudne.

– No, to czytaj.

Wietrzyk przyniósł woń płynu po goleniu. Może użył go dla mnie. Oparłszy się o pień drzewa, otworzyłam dziennik na stronie założonej kawałkiem gazety.

– Dobra, zaczynam. – Pomyślałam o Stell.

– No więc? – Carter wyjął z kieszeni dwie ćwierćdolarówki i pół dolara.

Zaczęłam czytać.

– „Poniedziałek, 30 lipca 1954. Dzisiaj wieczorem poszłam na tańce z Carterem i cudownie się bawiliśmy. Carter przyniósł mi bukietik niebieskich goździków. Skąd wiedział, jaki odcień będzie idealnie pasował do mojej sukienki? Pewnie pani Milton spytała mamę.

Założyłam nowe srebrne sandały. Sukienka była bez ramion, więc Carter nie wiedział, gdzie przypiąć bukietik, ale mama wiedziała. Tata zrobił pięć zdjęć, a ja o mało nie padłam trupem, bo Carter myślał pewnie, że to ja poprosiłam tatę o zrobienie ich. Pił, ale nie był pijany, był naprawdę miły”.

– Jasny gwint. – Carter gwałtownie się wyprostował. – Niczego nie piłem.

– Tata. Ona ma na myśli tatę.

– Aha.

– „W samochodzie przez całą drogę na tańce Carter trzymał mnie za rękę. Chappie Barrett zzieleniała na widok mojej sukienki. Nic nie powiedziała, ale dobrze widziałam. Ona miała sukienkę do samej szyi, z długimi, obcisłymi rękawami, w kolorze zgniłozółtym.

Myślę, że to ta sama, którą miała na balu, tylko przefarbowana”.

Przewróciłam stronę.

– To już cała strona?

– Tak.

– I ja płacę za coś takiego?

– „Dużo tańczyłam z Carterem, raz z Reidem Hendersonem, a Ross...”. To imię podkreśliła, ale nie napisała nazwiska.

– Wiem, o kogo chodzi. Czytaj dalej.

– „Ross trzykrotnie prosił mnie do tańca, ale tańczyłam z nim tylko dwa razy. Widziałam, że Carterowi

to się nie podoba. Potem z grupą dzieciaków poszliśmy do Papa's Kitchen. Po powrocie do domu Carter mnie pocałował. Myślałam, że umrę z zachwytu”.

Zatrzasnęłam dziennik.

– To wszystko?

– Tak. Daj pieniądze.

– Nic więcej o mnie nie ma?

– Ani słowa. Przeczytałam wszystko. – Carter wręczył mi monety ogrzane w dłoni.

Chciałam dotknąć kręconych włosów na jego rękach. Potem wstał, chwycił gałąź, odbił się od drzewa i zeskoczył na ziemię.

– Do rychłego! – zawołał, idąc do domu.

– Zobaczenia – odpowiedziałam, ale za cicho, by mógł usłyszeć, potem położyłam się na podłodze domku, ściskając dziennik Stell Ann i monety.

Owszem, wspomniała jeszcze raz o Carterze we fragmencie, gdzie pisała o tym, że czasem zastanawia się nad umawianiem się z innymi chłopakami. W maju usłyszała, że umówił się z inną dziewczyną. Bardzo się o to pokłócili.

– Wszystko powiem. – Zaskoczył mnie dość głośny szept. Do domku na drzewie wdrapała się Puddin. Podparta pod boki, klęczała obok mnie z wysuniętą dolną wargą. Jej włosy wyglądały w słonecznej smudze jak złota czapka.

– Powiesz, że jestem w domku na drzewie?

– O dzienniku Stell. – Puddin wykręciła rękę i zdrapała strupek na łokciu.

Wtedy ją pchnęłam. Przewróciła się z wrzaskiem. Skoczyłam na nią, usiadłam na niej okrakiem.

– Jeśli choć raz o tym wspomnisz, to cię zdzieję.

– Nie zrobisz tego. – Miała czerwoną twarz, ale się nie bała.

– Tata by mnie stłukł – stwierdziłam, osuwając się obok niej na podłogę domku.

– Czy Carter cię pocałował, żeby zmusić do przeczytania dziennika Stell?

– Dał mi dolara.

Puddin usiadła i wyciągnęła rękę.

– Daj mi, to nie powiem.

– Całego dolara? Wolę lanie.

– Siedemdziesiąt pięć centów?

– Pięćdziesiąt centów. To wszystko. – Plasnęłam półdolarówką o kolano siostry.

Puddin, z monetą w dłoni, poczołgała się do wyjścia.

– No dobra...

– Obiecuj, że nie powiesz.

– Obiecuję. – Zeszła po drabinie i pobiegła między drzewami.

Przez całą drogę powrotną z kina Maggie i ja rozmawiałyśmy o filmie; szłyśmy piechotą, bo nie starczyło mi pieniędzy na autobus.

– Czy Marilyn Monroe nie jest zabójcza? – spytała Maggie.

– Ona nie jest naturalną blondynką.

– Skąd wiesz?

– To brunetka. Naprawdę nazywa się Norma Jeane Mortenson. Widziałam zdjęcia w „Photoplay”.

Skreśliłyśmy w Westfield. Reid Henderson minął nas na rowerze, rzucając gazety na werandy. Próbowalam sobie wyobrazić, jak tańczy ze Stell Ann. Pomachałam i zawołałam: – Hej, Reid, fajny rower. – Nie odwrócił się jednak. Wyprostowałam środkowy palec w stronę jego oddalających się pleców. – Ale z niego sztywniak.



Maggie zachichotała sztucznie, jak to robi wtedy, gdy mówię coś, co uważa za bystre.

– Jak byś się chciała nazywać, gdybyś była gwiazdą filmową?

– Wszystko jedno, byle nie Margaret Elizabeth – odparła Maggie, naśladowując brytyjski akcent swojej matki. – A ty?

– Loretta. Nie wiem, jak na nazwisko, ale na imię chciałabym mieć Loretta. – Uwielbiałam ten dźwięk turlający się po języku.

– To imię dla kolorowych.

– Maggie!

– Właśnie że tak.

– Mimo to podoba mi się. – Ale już nie przepadałam za nim jak wcześniej.

Kiedy mijaliśmy dom pani Gibson, zauważyłam samochód taty na naszym podjeździe.

– Do widzenia, Loretta – powiedziała Maggie i odwróciła się, by ruszyć do domu.

– Do widzenia, Margaret Elizabeth. Aha, Mags, zaczekaj!

– Co?

– Nie zapomnij. Siedem narzeczonych dla siedmiu braci, nie Mężczyźni wolą blondynki.

– Pewnie! Nie jestem durną blondynką.

Ujęłyśmy się pod ramię, zakręciłyśmy młynka, po czym Maggie ruszyła do siebie.

Kiedy otworzyłam drzwi gabinetu, uderzyła mnie cienista cisza, która sprawiła, że zapragnęłam wrócić przez łącznik na słońce.

– June? Chodź tutaj, June Bentley.

Gdy dotarłam do kuchni, mama stała przy kuchence.

– Cześć, mamó. Maggie i ja poszłyśmy jeszcze raz na Siedem narzeczonych. Gdzie Mary?

– Niedługo wróci. – Mama spojrzała na mnie, potem wyjrzała przez okno nad zlewem.

– Twój ojciec jest w sypialni. Chce cię zobaczyć. – Kiedy wychodziłam z kuchni, dodała: – To, co zrobiłaś, jest niewybaczalne.

Puddin wypaplała.

Zapukałam do drzwi sypialni, ojciec zawołał: – Wejdz. – Tak zaschło mi w ustach, że nie byłam w stanie odpowiedzieć.

Ojciec siedział w kącie, na obitym tapicerką damskim krześle; słońce wpadało przez okna po obu stronach pokoju i odbijało się od drinka w jego dłoni. Łyknął i odstawił szklankę na stół ze stukotem, od którego serce podskoczyło mi do gardła. Kara zawsze była gorsza, kiedy pił. Dwoma krokami przemierzył sypialnię, chwycił mnie za ramię i zaprowadził do holu. Drugą dłonią rozpiął pasek i zdjął, przeciągając przez szlufki.

– Tato, przepraszam, bardzo przepraszam – zapiszczałam. Tata otworzył drzwi do piwnicy, a ja spojrzałam na mamę. Odwróciła się na pięcie.

Tata popchnął mnie na schody. Na dole powiedział: – Złamałaś siostrze serce. – Zdjął okulary.

– Nie myślałam o tym, co robię. Nigdy więcej tego nie zrobię.

– Nie? – Schował okulary do kieszeni koszuli. Ojciec mówił łagodnym, rozsądnym tonem, ale dobrze wiedziałam, co mnie czeka. Moje zapewnienia nigdy go nie powstrzymywały.

– Nie, ojczu, będę wynosić śmieci przez miesiąc bez kieszonkowego i...

– Zdejmij dzinsy. – Na dźwięk tych słów przebiegł mnie dreszcz. Poczulałam woń burbona.

– Nie chciałam...

– Nie chciałaś czytać dziennika siostry?

Wciąż wysuwałam nogę z nogawki spodni, kiedy pasek uderzył mnie w pośladki.

Oddech uwiązał mi w gardle, nie mogłam nawet krzyknąć; upadłam na betonową posadzkę.

Próbując umknąć, poruszałam nogami uwięzionymi w dżinsach. Ojciec uderzył znowu; tym razem koniec paska chlasnął mnie w brzuch pod koszulką.

– Wstawaj. – Uderzył mnie po udach.

– Tato, nie! – zawołałam, przywierając plecami do ściany z bloków żeliwnych.

Ojciec odwrócił pasek, owinał go sobie wokół dłoni i znowu mnie uderzył. Sprzączka trafiła w wewnętrzną część mojej lewej nogi.

– Tato, sprzączka!

Ojciec podniósł rękę, jego czerwony sygnet miotał błyski jak płomienie. Podnosiłam się z ziemi, a on nie przestawał bić. Wtedy spróbowałam uciec do pralni, ale złapał mnie za ramię, pchnął w kierunku zlewu i uniósł pasek. Padłam na składany stół. Butelka z wybielaczem przewróciła się, nakrętka odskoczyła. Pasek oplatał się wokół moich nóg, sprzączka raniła mi kolana i uda. Pomyślałam: On mnie zabije. Tym razem mnie zabije.

Zaczęłam krzyczeć.

– Panie Watts! – rozległ się ostry, zszokowany głos Mary. – Panie Watts, proszę natychmiast przestać. – Mary, wciąż ubrana jak do wyjścia, trzymając nowy uniform na wieszaku, stanęła przy ojcu. Odwiesiła uniform na gwóźdź i dotknęła ramienia ojca. – Pan jest cały rozpalony, panie Watts.

Tata gwałtownie od niej odskoczył.

Osunęłam się na posadzkę. Wybielacz szczypał mnie w nogi. Gorącą twarzą przywarłam do zimnego betonu. Mama zeszła po schodach.

– Williamie.

– Paulo, zostaw to mnie – odparł tata znużonym tonem.

– Ona miała już dość.

Mary zamierzała coś powiedzieć, ale mama potrząsnęła głową. Mary wzięła uniform i ruszyła do swojej łazienki pod schodami.

– Zostaw nas samych – powiedziała mama. – Możesz się przebrać później.

Mary odwiesiła uniform i wyszła po schodach z piwnicy.

– Zrobiłaś coś okropnego, Jubie, ale poniosłaś karę – oświadczyła mama, pochylając się nade mną i dotykając rany na prawej łydce. – Przyniosę ci krem. Mój Boże, Williamie, czym ty ją zbiłeś?

Ale tata już wyszedł. Mama próbowała mnie objąć, ale odepchnęłam ją, łkając i czkając.

– Gdyby Stell... Gdyby przeczytała mój dziennik, on by jej nie zbił. – Stell nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego. – Nad nami rozlegały się ciężkie kroki taty. Chodził po sypialni nad naszymi głowami, otwierał i zamykał szuflady komody. W końcu kroki oddaliły się w stronę kuchni, zabrzączał dzwonek, kiedy trzasnęły tylnymi drzwiami.

– Poszedł do klubu – powiedziała mama, wstając. – Tylko pomyśl, jak poczuła się Stell na wieść o tym, co zrobiłaś.

Stojąc nade mną, mama wyglądała na tak wysoką jak tata. Nigdy mnie nie uderzyła, nigdy nie spuściła mi lania i nigdy tego nie robi, dopóki ma pod ręką tatę, który wykonuje za nią czarną robotę.

– Przy suszarce stoi kosz z pieluchami. Zamocz jedną i owiń nogi. Przyjdź do mojej łazienki, to dam ci coś, żeby przestało piec. Twoja biała spódniczka jest czysta?

– He?

– Twoja biała spódniczka. Jeśli jest brudna, musimy ją wyprać, potem możesz ją wyprasować na jutrzejsze wyjście do kościoła. Możesz założyć mokasyny i podkolanówki, żeby zasłonić nogi...

– Podkolanówki i mokasyny do kościoła?

– Albo możesz zostać w domu. Może tak będzie lepiej. – Mama pociągnęła nosem. – Dlaczego tu śmierdzi wybielaczem? – Dostrzegła przewróconą butelkę z chloroksem. – Pewnie się wylał podczas

szamotaniny.

Skinęłam głową.

Mama poszła na górę do kuchni i powiedziała: – Mary, trzeba posprzątać podłogę w piwnicy.

Oburącz przytrzymując się poręczy, z trudem wdrapałam się na schody.

Kiedy weszłam do kuchni, Mary stała przy barku zapłakana. Szeroko rozłożyła ręce i przyciągnęła mnie do siebie. Łkałam w jej ramię, a ona szepnęła mi na ucho: – Twój ojciec postąpił wrednie. – Mocno mnie przytuliła i pogłaskała po plecach. – Dobra z ciebie dziewczyna, Jubie. Czasem zdarza ci się zrobić coś złego, ale jesteś dobrą dziewczyną. Pamiętaj o tym.

– Pospiesz się, June – zawołała mama z holu.

– Twoja mama ma coś, co ci pomoże. – Obie spojrzaliśmy na moje nogi. Czerwone pręgi i skaleczenia zaczynały sinieć.

W łazience mama podała mi krem na skaleczenia i odwróciła się do wyjścia.

– Mogłabyś posmarować mi nogi z tyłu?

Mama posmarowała w kilku miejscach, po czym oddała mi krem.

– Resztę możesz zrobić sama. To jest tłuste. Kiedy siadasz, podłóż ręcznik. – Spojrzała na moje majtki.

– Czemu jesteś cała mokra?

Zsikałam się.

– To chyba clorox.

– Zdejmij majtki, zanim się poparzysz. – Mama zamknęła za sobą drzwi sypialni.

Posmarowałam nogi kremem, a potem owinęłam się w pasie ręcznikiem i poszłam na górę. Kiedy mijałam pokój Stell, zauważyłam, że leży na łóżku, zakrywając głowę rękami.

Puddin siedziała plecami do drzwi, obok siostry, poklepując ją.

– Spójrzcie na mnie! – wrzasnęłam.

Puddin się odwróciła. Stell uniosła głowę.

– Wynoś się – powiedziała ochryple.

– Popatrzcie, co zrobił tata – powiedziałam, opuszczając ręcznik.

Stell otworzyła szeroko oczy.

– Dałam Puddin połowę pieniędzy, które dostałam od Cartera za to, żebym przeczytała twój dziennik.

Wzięła pięćdziesiąt centów, a potem i tak wypaplała.

– Wzięłaś pieniądze i obiecałaś, że nie powiesz? – Stell odepchnęła od siebie Puddin, która przytaknęła. Stell ją uderzyła. Puddin z płaczem runęła na podłogę.

– Przepraszam! Przepraszam!

Stell odwróciła się do mnie plecami.

– Zostawcie mnie samą, obydwie.

Przycupnęłam na skraju stołeczka przed toaletką, uważając, żeby nie poplamieć kremem obicia w kwiaty. Po raz pierwszy tata mnie sprął, kiedy miałam siedem lat.

Niechący wylałam atrament na czyste białe prześcieradła mamy. Nigdy nie tykał Stell ani Puddin, czepiał się tylko mnie.

Przyjrzałam się sobie w lustrze: rumieńce na policzkach, opuchnięte oczy.

Przynajmniej lanie nie zostawiło śladów na twarzy. Na toalecie leżała szminka marki Revlon.

Stell wyrzuciła ją, bo była zbyt jaskrawa i wyzywająca, jak to określiła. Wysunęłam pomadkę i pomalowałam zarys ust. Potem przeczytałam napis na opakowaniu i bezgłośnie wymówiłam słowa do lustra, składając usta w ciup jak Marilyn, „ogień i lód”.

## Rozdział 3

Mama stała na podwórzu motelu Sleep In, paliła i zerknęła na zegarek, podczas gdy Stell trzymała Daviego, a ja pomagałam Mary zapakować rzeczy do auta. Potem ruszyliśmy, jakby ktoś nas ścigał, mama na wpół rozbudzona i tak zdenerwowana, że ktoś mógłby pomyśleć, że zaraz nas aresztują za poplamienie materaca, który już wcześniej był brudny. W samochodzie panował jeszcze większy ścisk, bo Mary nie udało się wepchnąć kosza turystycznego z powrotem do bagażnika. Mama kazała mi go trzymać, bo będzie nam potrzebny, kiedy zechcemy zjeść śniadanie w drodze. Z koszem na kolanach siedziałam za Stell, wiklina drapała mnie w nogi przez dzinsy.

Minęliśmy tablicę z napisem: „GRANICA MIASTA WICKENS. WRACAJCIE NIEDŁUGO!”.

– Mało prawdopodobne – powiedziała mama. Obejrzałam się, żeby sprawdzić, czy tu też obowiązuje godzina policyjna. Tak było.

Mama przyglądała włosy, które spięła kłamrą ze skorupy żółwiowej.

– Zjemy śniadanie, kiedy tylko znajdę miejsce, gdzie można się zatrzymać.

Rozglądajcie się za stołami turystycznymi. – Raz po raz odwracała głowę i uśmiechała się do Daviego, żeby pogodzić się z nim po tym, jak dała mu po łapie za zmoczenie łóżka. Davie siedział na kolanach Puddin, trzymał Mary za rękę i ssał kciuk.

Zaledwie po kilku minutach jazdy mama zmarszczyła nos.

– Co to za smród?

Wcześniej Mary opłukała piżamkę Daviego pod zlewem w motelu, a ja rozwiesiłam ją na tylnym siedzeniu, żeby wyschła. W porannym słońcu piżamka zaczynała cuchnąć.

Udawałam, że drzemię.

Spod półprzymkniętych powiek zerkiałam na Mary. Co ona myślała o mamie?

Podśledzałam, jak Mary rozmawia z córką, Młodą Mary, kiedy przyszła do nas przed naszym wyjazdem z Charlotte. Mary objaśniała córce, jak ma się opiekować tatą pod naszą nieobecność.

– Chce, żeby mu lekko krochmalić koszule – mówiła Mary łagodnie i cicho. – Musisz je prasować, kiedy są jeszcze wilgotne. Do sałaty podawaj jasny ocet. – Objęła córkę, gdy stanęły w spiżarni. – Ten razowy chleb pasuje do gotowanej fasoli i kotletów wieprzowych.

– Chleb z puszki? – Głos Młodej Mary brzmiał piskliwie i lękliwie. Gdyby tata spytał ją o godzinę, chyba by podskoczyła. Co robiła teraz, kiedy jechaliśmy przez Georgię?

– Ciekawe, jak Młoda Mary radzi sobie z tatą – powiedziałam.

– Twoja córka? – spytała Puddin, a Mary przytaknęła.

– Przez parę dni w tygodniu będzie się zajmować gotowaniem i sprzątaniami.

– Twój ojciec sobie poradzi – odezwała się mama. – Zawsze umiał znaleźć sobie kogoś, kto się nim zaopiekuje.

Mama zawsze nazywała tatę „twoim ojcem”. Dawniej mówiła na niego Bill albo William, a kiedy się droczyła, Willie. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio nazwała go Willie. Chyba nigdy tego nie zrobiła, odkąd zamieszkaliśmy przy Selwyn Avenue.

W Alabamie mijaliśmy miasteczka o takich nazwach jak Opelika, Loachapoka, Notsaluga. Powtarzałam sobie te dziwne słowa. Nie przypominałam sobie, żebym u nas widywała takie znaki jak w



Tuskegee: „NIEKTÓRE RZECZY SIĘ NIE MIESZAJĄ! OLIWA I WODA. KOLOROWI I BIALI!”. Przed szkołą widniał napis: „DLA BIAŁYCH, NIE DLA BRUDASÓW!”.

W mieście Andalusia mama zatrzymała się przy kafejce, żebyśmy mogli zjeść lunch.

Właśnie minęliśmy bar, gdzie w drzwiach i na chodniku stali kolorowi. Mary powiedziała, że wróci tam coś zjeść. Mama przyglądała jej się w lusterku, kiedy Mary poprosiła o kluczyki do bagażnika.

– Czy mogłabym się odświeżyć przed lunchem?

Mama przewróciła oczami i podała Mary kluczyki.

– Jubie, weź od Mary kluczyki, kiedy skończy. – Mama ujęła Puddin za rękę, a Stell zaniósła Daviego do kafejki.

Mary wyciągnęła z bagażnika torbę w kwiaty i wyjęła różowy kapelusz z włóczki, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Rozłożyła go, rozprostowała, rondo naciągnęła nad brwi i przejrzała się w oknie samochodu. Szybkimi pociągnięciami nałożyła błyszczącą szminkę, potem wyjęła z torby czerwone kolczyki i naszyjnik do kompletu. Tenisówki zamieniła na czerwone buty z lakierowanej skóry na obcasach, w których wyglądała sztywnie mimo zwyczajnej niebieskiej bawełnianej sukienki. Lekko wymachując torebką, ruszyła ulicą, stukając obcasami. Patrzyłam za nią z otwartą buzią. Mary odwróciła się i mrugnęła do mnie przez ramię.

– Czuję się jak w niedzielę.

Przez cały lunch, zanim mama odsunęła talerz i sięgnęła po papierosy, martwiłam się, że Mary nie wróci na czas, a mamę zirytuje jej guzdralstwo. Ten jeden raz nie zamówiłam deseru, ale mama nie zwróciła na to uwagi. W końcu przeprosiłam i poszłam do samochodu.

Mary szła chodnikiem, podśpiewując cicho i kołysząc torebką.

– Hej, Jubie, cieszysz się na mój widok?

– Tak, Mary.

Już wcześniej zdjęła kapelusz i kolczyki, teraz odpinała naszyjnik. Usta wytarła chusteczką higieniczną tak, jak to robię, wracając do domu ze szkoły, gdzie przez cały dzień chodzę umalowana szminką Tangee. Otworzyłam bagażnik, Mary zwała buty na wysokim obcasie. Po chwili miała na nogach tenisówki. Znowu dawna Mary, jakby wcale nie wysiadła z samochodu. Mama wyszła z kafejki, niosąc Daviego, a Puddin i Stell dreptały za nią.

– Jak ci się udał lunch, Mary?

– Znakomicie, pani Watts, znakomicie.

– Nie był za drogi?

– Nie najgorzej. – Kiedy wsiadaliśmy do samochodu, Mary ścisnęła mnie za rękę.

Mary zaczęła u nas pracować, gdy miałam pięć lat, i była pierwszą kolorową osobą, jaką poznałam. Baczenie przyglądałam się wysokiej kobiecie w naszej kuchni, krzątającej się przy zlewie, pralce czy desce do prasowania. Jej dłonie o grubych palcach, brązowe z wierzchu i jasne po wewnętrznej stronie, zaplatały ciasto na szarlotce, przewijały moją nową siostrzyczkę, dźwigały kosze z mokrym praniem. Kiedy przyłapywała mnie na tym, że przyglądam się jej zza drzwi kuchni, machała.

Zza krzesła z wysokim oparciem obserwowałam, jak Mary odkurza, albo patrzyłam przez okno, jak rozwiesza moją piżamę na sznurze. Pewnego ranka, gdy myła kuchenną podłogę, pomrukiwała: – Migocz, migocz, gwiazdeczko. – Kiedy płukała mopa, dodała słowa: – Jesteś tam, mała myszko, siedzisz za starym fotelem? – Nagle odwróciła się i zobaczyła, że się jej przyglądam.

– Dlaczego masz takie duże stopy? – przerwałam milczenie.

– Żeby się nie przewracać.

Ucieszyłam się, że dorosła osoba traktuje mnie poważnie. Kiedy spytałam Mary, co o mnie myślała, kiedy się poznałyśmy przed laty, odparła: – Chyba robiłaś wszystko, żeby przestać być najmłodsza.

Dotknęłam jej ręki, a Mary się odwróciła.

– Tak?

– Pamiętasz mały dom w lesie za Selwyn Avenue, gdzie mieszkaliśmy po przeprowadzce do Charlotte?

– Pamiętam.

– Właśnie tam zaczęłaś dla nas pracować. Miałam pięć lat.

– Mhm. Miałaś na głowie pełno jasnych loków. Nie odstępowałaś mnie na krok.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez Pensacola, próbowałam przyjrzeć się miastu, gdzie mieliśmy spędzić następny tydzień. Szybko przemknęliśmy obok szyldu w kształcie kanapki, pośrodku którego migotało przyzywające oko. Zdążyłam dostrzec tylko słowa „Dziewczyna o trzech nogach”.

– Dobry Boże – powiedziałam. – Widzieliście ten znak?

– Licz się ze słowami, młoda damo – skarciła mnie mama. – Dojeżdżamy do Taylora.

Mijaliśmy wesołe miasteczko o nazwie Nadmorska Kraina Radości. W popołudniowym słońcu obracało się diabelskie koło, rozbrzmiewała skoczna muzyka.

– Och, popatrz, mamó. Musimy tam pójść podczas naszego pobytu. Jest bajeczne.

– Z samochodu one zawsze wyglądają bajecznie.

Stell czytała wskazówki z mapy przysłanej przez wuję Taylora.

– Skręć w dziewięćdziesiątą ósmą nad Zatoką Pensacola i Santa Rosa Sound.

W milczeniu jechaliśmy wzdłuż wody. Co prawda trwało to tylko kilka minut, ale spoglądałam na migotliwy błękitny przestwór, jak okiem sięgnąć ani śladu lądu, wyobrażałam sobie, że samochód jest statkiem sunącym po falach. Zerknęłam na Mary. Jej oczy w poważnej twarzy wydawały się ogromne.

Przed domem wuja Taylora mama zahamowała i oznajmiła: – Wpół do czwartej! Mamy dobry czas. Weźcie jakieś bagaże i dopilnujcie... – Wygramoliliśmy się z auta i pobiegliśmy chodnikiem do wejścia. Tylko mama wiedziała, czego miałyśmy dopilnować.

Ponieważ nikt nie odpowiedział na dzwonek, mama weszła do domu. W ocienionej sieni na stole leżała kartka z wiadomością: „Pauly, jesteśmy na plaży. Naciśnij mosiężny dzwonek na werandzie, żeby nas zawiadomić, że przyjechaliście. Witajcie!!! Taylor”.

Słowo „Witajcie” napisano na całą szerokość kartki. Pod spodem wuj Taylor starannie się podpisał. Puddin przebiegła przez dom na werandę i nacisnęła dzwonek, który zabrzmiał jak dzwony okrętowe w filmach.

– Jesteśmy! – wydierała się. – Jesteśmy!

Wróciłam po bagaże. Silny wiatr rozwiewał mi włosy, pachniał solą, słońcem i odległymi miejscami za tą roziskrzoną wodą, znacznie bardziej błękitną niż Atlantyk, jedyny inny ocean, jaki znałam. Ocean? Nie, nie ocean, jak przypominałam sobie z lekcji geografii.

Zatoka Meksykańska.

Z samochodu przyniosłam płócienną torbę Mary, torebeczkę mamy i papierowe torby z rzeczami, które nie zmieściły się w walizkach; wszystko złożyłam w holu do czasu, aż wuj Taylor powie nam, gdzie mamy spać.

Czy zawsze panował u niego taki porządek, czy posprzątał na nasz przyjazd? Żadnych zabawek, ani śladu książek na stoliku czy gazet na sofie, ani odrobiny tego, co mama nazywała rupieciarnią. Jak będzie nam się mieszkało w tak schludnym domu? Mama odchrząknęła i powiedziała: – Mary, przynieś mi, proszę, szklanek wody. Umieram z pragnienia.

Na twarzy Mary malowała się niepewność co do tego, dokąd ma się skierować, ale poszła.

W salonie usiadłam na zielonym krześle bez poręczy, niskim i wygodnym. Pokój pełny był zakrzywionych i kolistych kształtów, jasnego drewna i pastelowych barw. Czyżby ciotka Lily urządziła go na wzór zdjęcia z „House Beautiful”? Beżowa kanapa z zakrzywionym oparciem kusiała bardziej, by się

na niej położyć, niż maminy sheraton, sofa obita bordowym pluszem. Stoły ze skośnymi nogami przypominały roboty, a chromowana lampa stojąca obok mamy najwyraźniej ją kępowała. Z Daviem na biodrze, chodziła tam i z powrotem, a za nią rozwiewały się pionowe żaluzje.

Pomyślałam o naszym salonie, małym fortepianie, orientalnym dywanie, brokatowych draperiach, krzesła z wysokim oparciem przy kominku.

– Rozkoszny dom – oświadczyła Stell, która mówiła w ten sposób, odkąd została zbawiona.

Mama przełożyła Daviego na drugie biodro.

– Dziewczynki, musicie się zachowywać przyzwoicie. Taylor ma wszystko na tiptop.

Mary wróciła do salonu i podała mamie szklanek wody. Mama upiła łyk i zmarszczyła nos.

– Plażowa woda, co za wstrętny smak. Podczas tego pobytu będę piła herbatę.

– Wujek Taylor i Sarah wracają z plaży – oznajmiła Puddin, wbiegając do salonu. – Ten dzwonek działa świetnie.

Mama podała Daviego Stell, ściągnęła włosy i wygładziła spódnice.

– Idę się umalować.

Wcześniej nie zauważyłam, jak Mary wychodzi, ale teraz zobaczyłam przez żaluzje, jak idzie przez podwórze.

– Pójdę po Mary.

Mary stała przy chodniku.

– Co robisz? – spytałam.

– Patrzę na Florydę. To jakieś dziwne miejsce. Prawie nie ma drzew, tylko karłowate krzaczki pochylone przez wiatr. I one. – Wskazała palmy przy ulicy. – Wyglądają tak, jakby ktoś ogolił dobre drzewa.

– To są palmy. Pamiętasz Niedzielę Palmową z Biblii?

– Pewnie, że pamiętam. Hosanna i chwalmy Jezusa. Nadeszła chwila, by wyśpiewywać Jego... – Urwała. – Chcesz powiedzieć, że to jak gałązki palmowe, którymi machali do Jezusa?

– To samo.

– Coś podobnego – zdumiała się Mary. – Coś podobnego...

Drzwi się otworzyły i uśmiechnięty wuj Taylor rozłożył szeroko ręce.

Nie widziałam go ponad rok, odkąd on i ciotka Lily odwiedzili nas, nim Davie zaczął chodzić. Wuj Taylor był tak przystojny, jak zapamiętałam, z włosami pojaśnionymi od słońca i błyszczącymi niebieskimi oczyma. Teraz chwycił mnie i porwał z chodnika.

– Jubie! Jak się miewa moja ulubiona siostrzenica? – Mimo że to samo mówił do Puddin i Stell Ann, wiedziałam, że tylko do mnie mówi serio.

– Cześć, wujku Taylorze. – Odwzajemniłam uścisk. Taylor pachniał cytrynami.

Wuj Taylor postawił mnie na ziemi, odsunął się i przyjrzał mi się uważnie.

– Wyrosłaś, dziewczyno. Co ty jadłaś? Szpinak i gotowane witaminy?

– Za dużo wszystkiego, jeśli spytasz mamę. – Sięgnęłam po dłoń Mary. – Pamiętasz Mary, wujku Taylorze?

– Naturalnie. Jak się masz, Mary?

– Świetnie, komandorze Bentley, naprawdę świetnie.

– Mam dla ciebie miły pokój na górze. Wejdźcie wszyscy, rozgośćcie się, a potem pójdziemy na plażę. Jubes, gdzie jest ta twoja atrakcyjna matka?

– Poszła do łazienki.

Wuj Taylor otworzył drzwi przede mną i Mary.

– Znajdziemy ją.



Mama stała w holu. Wuj Taylor objął ją i powiedział: – Cześć, starsza siostró, właśnie cię szukałem!

Mama wtuliła twarz w jego pierś, raz po raz powtarzając jego imię. W końcu zaczęła się śmiać.

– Och, Taylor, tak się cieszę, że przyjechałam. – Śmiech przeszedł w płacz, najpierw płacz radości, ale po chwili mama płakała tak, jakby jej serce miało pęknąć. Znałam ten rodzaj płaczu, podobne do czkawki łkanie, które nie chciało ustać. Zrobiło mi się wstyd za mamę.

– Pauly-Wauly. – Wuj Taylor mocno tulił mamę. – Przeżyłaś ciężkie chwile, staruszko.

## Rozdział 4

Zanim pojawiła się Mary, był w moim życiu czas, kiedy mama i tata nie walczyli ze sobą, kiedy wciąż zwracali się do siebie Pauly i Willie. Może gdybym nie znała rodziców jako szczęśliwych, nie martwiłabym się tak bardzo ich problemami. Ale pamiętam górę Shumont i czteropokojowy drewniany dom nad jeziorem Rainbow, gdzie mama z tatą spędzili miesiąc miodowy. Przenieśliśmy się tam latem 1944 roku, kilka miesięcy po śmierci babci Bentley, która zostawiła mamie i wujowi Taylorowi sporą sumkę. Tata powiedział, że zostaniemy tam do zakończenia wojny, kiedy będzie mógł założyć firmę w Charlotte. W okresie, gdy mieszkaliśmy na Shumont, tata noce spędzał w domu i prawie nigdy się nie upijał.

Nasz dom stał w dolinie między dwoma szczytami, dokąd dojeżdżało się drogą, na której było dwadzieścia jeden ostrych zakrętów, a ilekroć wjeżdżaliśmy lub zjeżdżaliśmy z góry, tata i ja głośno liczyliśmy i przynajmniej raz stawaliśmy, żeby Stell mogła zwymiotować. Ta droga była czymś niezmiennym. Kiedy po latach pojechaliśmy tam na wakacje, musieliśmy przemierzyć te same dwadzieścia jeden zakrętów między Bat Cave a Shumont.

Tamtego lata Stell miała siedem lat, ja prawie cztery, więc mama i tata mieli dla siebie sporo czasu, bo Puddin i Davie jeszcze się nie urodzili. W domu nad jeziorem Rainbow nie było prądu ani bieżącej wody, a mama jeszcze dziś powtarza, że piekło nie jest gorące, ale lodowate jak góra Shumont w środku zimy. Jednak było to także miejsce światła i roślin zwanych pałkami, pomidorów na podwórzu przed domem, jazdy konno z tatą, żeby zrywać jabłka, i wspólnych kąpieli w jeziorze, po których pachnieliśmy trochę rdzą. Kiedy przypominam o tym mamie, mówi: – Tak, były też te rzeczy.

Na Shumont przyjechaliśmy w czasie, gdy dojrzewały jeżyny i wkrótce miały zacząć dojrzewać jagody. Wskazując je, mama powiedziała: – Moglibyśmy się świetnie bawić przy robieniu galaretki, gdybyśmy tylko umieli. – Podczas następnej wyprawy na zakupy do Black Mountain kupiła książkę Owoce Appalachów. Legendy i przepisy, którą czytała po kolacji przy świetle lamp naftowych, robiąc listę potrzebnych rzeczy: pektyna, słoiki z zakrętkami, cukier, gaza.

W dniu robienia galaretki tata palił ognisko przed domem, a mama wyszła na werandę.

– Jesteś nieźle wystrojona jak na kogoś, kto zaraz po łokcie utyliła się sokiem owoców.

Mama okręciła się w bawełnianej wzorzystej sukience i sandałach, dół sukienki uniósł się, gdy tanecznym krokiem zeszła po schodach. Włosy ściągnęła do tyłu i związała różową satynową wstążką.

Złote kolczyki w kształcie kół i bransolety migotały w słońcu, kiedy mama mieszała w garnkach nad ogniskiem, które rozpałił tata. Stell i ja przeciskałyśmy gorące owoce przez gazę, sok ściekał nam po rękach na koszule. Pani Straley, sąsiadka, która przyszła pomagać, powiedziała: – Macie bardziej kolor jagód niż dziewczynek. – Strzepnęłam resztki owoców z koszuli i spodenek. Stell odstłoniła w uśmiechu białe zęby, kontrastujące z fioletową twarzą.

– Pyszna! – pochwalił tata, kosztując galaretki. – Ale czy stężeje?

– Oczywiście – odparła mama, ale w jej głosie pobrzmiwała niepewność.

Po skończonej pracy przy balustradzie werandy stały dwa tuziny słoików połyskujących jak ametysty i szafiry. Mama wręczyła nam mydło Ivory.

– Idźcie do jeziora i zmyjcie plamy. Stell Ann, pilnuj siostry.

Z pianą na rękach, stałam po pas w wodzie, kiedy mama zbiegła ścieżką z domu.

Zrzuciwszy sandały, przemknęła po pomoście i dała nura do jeziora w poplamionej owocami sukience. Po wynurzeniu się wydała z siebie okrzyk, który poniósł się echem wśród gór. Stell usiadła na końcu pomostu i obserwowała mamę, która zanurkowała ponownie, długo się nie wynurzała, wreszcie wychyłała pośrodku jeziora. Tata stał uśmiechnięty na przeciwległym brzegu, ze strzelbą opartą na wewnętrznej stronie łokcia.

– Chodź, Willie, woda jest cudowna!

Tata odłożył strzelbę, rozebrał się do bielizny i wskoczył. Pani Straley, która wyszła na pomost, oświadczyła: – Wasz tata zwariował.

– Zrobił to już wcześniej – odparła Stell.

– Zwariował czy pływał?

Stell nie odpowiedziała.

Galaretka udała się wybornie. Tata najbardziej lubił pikantny brązowy mus jabłkowy robiony przez mamę jesienią, jadł go z gorącymi biszkoptami i smażonymi żabimi udkami, kiedy pani Straley nauczyła nas łapać te płazy. Tata pozwalał mi stać w nocy na mokradłach i patrzeć, jak pani Straley oślepia żabę latarką, a on nadziewa ją na kij od szczotki zakończony gwoździem. Żaby wrzucali do worka zawieszzonego na gałęzi drzewa. Worek się poruszał, od czego robiło mi się słabo. Mama smażyła żabie udka przynajmniej raz w tygodniu, ale nigdy ich nie jadłam. Wystarczała mi cała reszta: fasola półksiężycowata i szparagowa, kolby kukurydzy, pomidory i zielony groszek, kapusta gotowana z boczkiem, młode kartofle i skórzaste suszone jabłka.

Nasza łazienka mieściła się w wygodce za potokiem, ale mama nie pozwalała mi korzystać z niej w nocy. Stell i ja spałyśmy w jednym łóżku, a sikałyśmy do emaliowanego nocnika, który zarówno latem, jak i zimą był lodowaty w zetknięciu z moją pupą. Po skorzystaniu z nocnika wpełzałam do łóżka obok Stell, próbowałam nie zasypiać i słuchać rodziców. Czasami śmiali się tak głośno, że trzęsła się ściana między naszymi pokojami.

Zimą, kiedy frontowy pokój pachniał naftą i dymem drzewnym, Stell i ja grałyśmy w parcheesi i chińskie warcaby przy dźwięku tasowanych i wykładanych kart, którymi mama z tatą grali w remika. W domu stała stara pianola z muzyką nagrałą na wałkach. Rodzice podśpiewywali w takt The Darktown Strutter's Ball, A Bicycle Built for Two albo ulubionego utworu taty Wait Till the Sun Shines, Nellie. Stell spytała tatę, czemu tak bardzo lubi tę piosenkę.

– Twoja mama wie.

– Dlatego, że się zakochaliście? – Stell spojrzała na mamę.

– Nie od razu – mama potrząsnęła głową.

– Mów za siebie – powiedział tata. – Kiedy tylko cię zobaczyłem, straciłem głowę dla twoich loków i cudownych piwnych oczu.

– Potem się pobraliście i urodziły się wam dwie córki – dodałam.

– Coś w tym guście. – Mama się uśmiechnęła.

Wieczorem tata pompował wodę przy kuchennym zlewie i śpiewał: „Poczekaj, aż zaświeci słońce, Pauly”.

Jeszcze przed ślubem rodzice mieli kłopoty z matką taty, Cordelią Watts, która uważała, że dziewczyna po studiach w rodzaju mamy nigdy nie da szczęścia wiejskiemu cieśli, jakim był tata. Zdaniem mamy Meemaw nie zaaprobowałaby żadnej kobiety, którą poślubił jej ukochany synek. Natychmiast starły się o religię. Meemaw spytała mamę, do jakiego kościoła chodzi, na co mama odparła: – Oczywiście do metodystów. – Do tego kościoła uczęszczały dziewczęta z West Virginia Wesleyan.

– Wattsonie są baptystami, praktykującymi pełne zanurzenie podczas chrztu – odparła Meemaw. –

Zawsze tak było.

Mama opowiadała nam, że raz poszła na chrzest i nigdy nie widziała czegoś równie prymitywnego. Pozostała, jak mawiała Meemaw, „miejską metodystką”, a tata po pewnym czasie poszedł w jej ślady.

Kiedy myślę o Shumont, przypominam sobie pewien czerwcowy poranek po narodzinach Puddin. Wróciliśmy w góry na wakacje. Mama kołysała Puddin w jednej z drewnianych kołyszek na werandzie; ramiona otuliła chustą, by się ochronić przed chłodem.

Tata rąbał drewno, Stell i ja pomagałyśmy pani Straley kręcić masło. Tata zdjął koszulę i mimo chłodu pocił się i sapał. Mama podśpiewywała, kołysząc Puddin. Pani Straley pozwoliła nam kręcić, póki się nie zmęczyłyśmy, potem sama dokończyła, jak gdyby nigdy nic ubijając tłuczkiem. Po wszystkim nałala sobie maślanki, dla mnie i Stell świeżym masłem posmarowała kromki domowego chleba. Właśnie tamten ranek przychodzi mi na myśl, kiedy wspominam dom na Shumont i trudno mi pojąć, jak bardzo popsuło się potem między rodzicami.

## Rozdział 5

Stell stała przy budynku między domem wuja Taylora a wydmami. Przekrzykując huk fal, zawołała:

– Zostajemy tu z Sarah.

Domek przy plaży przypominał mi łącznik u nas w domu: pełen światła, podszyty wiatrem, z bambusowymi żaluzjami opuszczanymi podczas deszczu. Na podłodze położono słomiane maty, z sufitu zwisały sznury z japońskimi lampionami. Stały tam trzy prycze przykryte kraciastymi kapami, z cienkimi kocami złożonymi na każdej. Nasze walizki spoczywały na stojakach.

– Nasza własna łazienka – pokazała Stell.

– Super! A gdzie jest... – Wtedy ją zobaczyłam, taką zwyczajną i cichą, siedzącą na trzeciej prycy.

– Cześć, Sarah.

– Cześć.

Była jakaś taka kanciasta. Jej ciemne włosy, tak jak włosy jej matki, były gęste i lśniące, związane ciasno zieloną wstążką. Zamglone oczy spoglądały smutno zza grubych szkieł okularów w rogowej oprawce, które raz po raz poprawiała palcem. W niczym nie przypominała miłej kuzynki, którą zapamiętałam.

– Jak się masz? – spytałam.

– W porządku.

Siatkowane drzwi trzasnęły i weszła Puddin.

– Chodźcie na plażę! Jest świetnie... O, cześć Sarah.

Sarah spojrzała na Puddin.

– Widziałam twojego tatę – powiedziała Puddin. – Gdzie jest twoja mama?

– Odeszła.

– A kiedy...

– Cicho, Puddin – przerwała jej Stell.

Mama powinna była wyjaśnić jej sytuację.

Sarah przeszła obok mnie, chuda jak patyk, długonoga. Mary na pewno zacznie w nią wciskać jedzenie.

Siatkowe drzwi za nią trzasnęły.

– Co jej się stało? – zdziwiła się Puddin.

– Nie pytaj jej o mamę, dobra? – powiedziałam.

– Dlaczego?

– Po prostu sobie odpuść – dodała Stell.

Dogoniłam Sarah idącą w stronę domu.

– Przepraszam.

– Wszyscy pytają o matkę. – Znowu poprawiła okulary. Paznokcie miała zupełnie obgryzione. –

Odeszła. Nie ma o czym mówić. – Przez werandę z tyłu domu ruszyła do kuchni. Łopatki sterczały jej pod bluzką. Wpatrzona w piaszczystą ziemię stałam na ścieżce.

Sarah i ja tak świetnie się bawiłyśmy, kiedy odwiedzili nas w Charlotte: jeździliśmy na rowerach do parku Freedom, kładliśmy się na plecach w trawie, szukałyśmy w chmurach słoń i królików, gadałyśmy i śmiałyśmy się, aż mijała wyznaczona godzina powrotu. Oprócz Maggie nigdy nie miałam tak dobrej

przyjaciółki.

Gdzie się podziwiała ciotka Lily? Czy Sarah ją widywała?

Weszłam do domu. W kuchni i jadalni nie zastałam nikogo, ale usłyszałam głosy mamy i wuja Taylora, dobiegające z pokoju w końcu korytarza. Otwarte drzwi wychodziły na wąskie, strome schody na strych. Kiedy spojrzałam w górę, zobaczyłam Mary.

– Hej! – zawołałam i weszłam po schodach.

Jej pokój był długi i wąski, gorący i duszny, z pojedynczym łóżkiem pod jedynym oknem, krótką komódką pod okapem i metalowym krzesłem z podartym winylowym siedzeniem. Po obu stronach łóżka dach opadał stromo, tak że wyprostowane mogłyśmy stanąć tylko na środku pokoju.

– Wygodnie ci tutaj? – spytałam.

– Trochę ciepło. – Mary, z twarzą lśniącą od potu, stała przy otwartym oknie.

W otworze w podłodze, gdzie kończyły się schody, ukazał się wuj Taylor.

– Mary, masz tu wentylator. Wszystko w porządku?

– Tak, proszę pana – odparła Mary.

– Tu jest naprawdę gorąco – wtrąciłam się.

Wuj Taylor włączył wentylator tak, żeby się obracał.

– To pomoże – stwierdził. W pokoju mocno powiało.

– Dziękuję – powiedziała Mary. – To spora różnica.

– Przebierz się w kostium kąpielowy, Jubie – polecił wuj Taylor. – Woda jest świetna.

– Zaraz zejść.

– Dobrze. Aha, Mary... Drzwi na korytarz muszą być zamknięte. Klimatyzacja...

– Tak, proszę pana.

Po jego wyjściu spytałam: – Naprawdę jest ci tu wygodnie?

Mary położyła torbę w kwiaty na łóżku.

– Będę tu pewnie tylko dwa razy dziennie.

– Przywiozłaś kostium?

– Nie umiem pływać. – Potrząsnęła głową przecząco.

– Nie wejdiesz do zatoki?

– Raczej nie – odparła, wyglądając przez okno.

W naszym domku przebrałam się w jednoczęściowy kostium, mając nadzieję, że na plaży będą chłopcy, którzy zauważą, jak świetnie w nim wyglądam. Przed wyjściem owinęłam biodra ręcznikiem, żeby ukryć pęgi.

Nigdy nie widziałam równie białego piasku i błękitnej wody. Fale nie były tak silne jak na plażach Południowej Karoliny, przez co ocean wydał mi się przyjazny. Drewniane płoty biegły od domu wujka Taylora przez wydmy aż do punktu przypiływu, odgradzając całą posiadłość. To wydało mi się dziwne. Posiadanie plaży na własność było dla mnie jak posiadanie góry czy wyspy, jak umieszczanie swojego nazwiska na czymś, co należy do całego świata.

– Hej, Jubes! – Puddin biegła przez wydmy. Mary szła za nią, niosąc Daviego w kąpielówkach. Mary wciąż miała na sobie sukienkę, w której przyjechała. Postawiwszy Daviego, usiadła na wydmie za nami.

– Mary! – przywołałam ją gestem, ale potrząsnęła głową.

– Juhu! – Po piasku brnęła kobieta, wymachując rękami. Kragła i gruba, miała chude nogi, wyglądała jak beczka na kijach od szczotki. Dysząc, podeszła do mnie. – Ty jesteś siostrzenicą Taylora?

– Tak, proszę pani, June Watts.

– Miło mi cię poznać, June Watts. Jestem Lula Willingham, sąsiadka twojego wujka Taylora. Wiedziałam, że tu dziś przyjdziecie. Od czterech lat mieszkam obok, a Taylor o wszystkim mi opowiada.



Chciałabym poznać twoją mamę i całe twoje rodzeństwo. – Wskazała na Mary. – To wasza dziewczyna?

– Tak, proszę pani – odparłam, zerkając na Mary, która, jak wiedziałam, nas słyszała.

Dwuczęściowy kostium pani Willingham ciasno opinał jej brzuch i uda; zarówno nad nim, jak pod nim widniały paski spalonego na słońcu ciała. W życiu nie widziałam równie niewygodnego kostiumu.

– To musi być miłe: mieć pomoc w podróży. Wiem, że twoja mama potrzebuje jej przy takiej chmarze dzieci. Jest was piątka czy szóstka, prawda? Taylor martwił się, czy wystarczy mu...

– Czwórka.

– Czwórka? To nie tak dużo. Mimo to dzięki dziewczynie twoja mama będzie mogła wypocząć. W przeciwnym razie musiałyby podawać jedzenie, taszczyć mokre kostiumy i nosić tego szkraba. To twój brat i siostra?

– Tak, proszę pani. Puddin i Davie.

– Za pół godziny wrócę i chcę poznać wszystkich. Wszystkich!

– Do widzenia, pani Willingham.

– Do widzenia – zawołała przez ramię. – Idę na codzienny spacer. Dzięki niemu nie czuję się taka stara. Nie mam jeszcze pięćdziesiątki, chociaż lata galopują jak szalone. – Zbliżając się do płotu, nie przestawała mówić.

Sarah zeszła na plażę i minęła miejsce, gdzie Puddin i ja siedzieliśmy na ręcznikach.

Rozłożywszy ręcznik plażowy, postawiła na nim sandały i okulary, po czym weszła po pas do wody. Jej posępne milczenie było złowrogie. Pobiegłam do wody i weszłam.

– Hej – zawołałam, przekrzykując szum fal. – Wszystko w porządku?

Sarah drgnęła.

– Było w porządku, dopóki mnie nie wystraszyłaś. – Ruszyła na plażę.

– Wcale się nie przstraszyłaś. – Wyszłam za nią.

– Po prostu daj mi spokój.

– Dobrze, jeśli powiesz, co się stało.

– Chcesz wiedzieć, co się stało? Zapytaj swojego tatę! – Złapała okulary i pobiegła.

Wciąż tam stałam, kiedy od strony wydm nadeszła mama z wujkiem Taylorem. Stell Ann podążała za nimi. Mama miała na sobie czarny, jednoczęściowy lateksowy kostium i wyglądała na szczęśliwą. Z rumianymi policzkami, rudozłotymi włosami w popołudniowym słońcu, trzymała wujka Taylora za rękę. Mama stanęła przy siedzącej Mary i coś powiedziała.

Mary wstała i ruszyła w stronę domu.

– Byłaś już w wodzie, Jubie? – Widziałam, że wuj Taylor przygląda się pręgom na moich nogach.

– Sarah też była – przytaknęłam. – Poszła na spacer. – Wskazałam ręką na kuzynkę daleko na plaży.

– Woda jest zimna? – chciała wiedzieć mama.

– Nie, jest super. Dokąd poszła Mary?

– Przygotować kolację.

Wuj Taylor rozłożył ręcznik plażowy, a mama położyła na nim okulary.

– Była tu pani Willingham, sąsiadka – oznajmiłam. – Powiedziała, że wróci.

– O, Boże – westchnął wuj Taylor do mamy. – Opowiadałem ci o Luli. Wściubia nos we wszystko. – Chwycił mamę za rękę i pociągnął do zatoki. – Kto ostatni, ten jest krabem piaskowym. – Dawno nie słyszałam, żeby mama śmiała się tak głośno.

Podeszłam do Stell, która rozkładała ręcznik.

– Mama dobrze się bawi.

– Wujek Taylor ma na nią dobry wpływ. Czyż ta plaża nie jest boska?

– Mhm. – Stell się sadowiła, a ja powiodłam wzrokiem wokół siebie. – Rozmawiałaś już z Sarah?



- Tylko się przywitałam. Czemu pytasz?
- Dziwnie się zachowuje. Kiedy spytałam ją, co jej jest, odparła, że powinnam spytać tatę.
- Tatę? Naszego tatę?
- Tak powiedziała.
- Skąd tata miałby wiedzieć, co dolega Sarah?
- Uważa, że przez niego jest nieszczęśliwa.

Stell spojrzała na mamę i wuję Taylora hasających w wodzie.

– Nie wiem, co bym poczuła, gdyby mama i tata się rozwiedli.

– Wiesz, dlaczego ciotka Lily odeszła?

– Myślę, że miała chłopaka. – Stell otworzyła torbę plażową i wyjęła domowej roboty olejek do opalania: oliwkę dla dzieci zmieszaną z jodyną.

– Masz na myśli cudzołóstwo?

– Może. – Stell natarła się olejkiem. – Zgaduję na podstawie tego, co mama mówiła o ciotce Lily.

– Nie mogę sobie wyobrazić, żeby mama nas opuściła.

– Ja też nie. Nie wyobrażam sobie też mieszkania tylko z tatą.

## Rozdział 6

Nie miałam jeszcze siedmiu lat, kiedy po raz pierwszy usłyszałam, jak tata strzela ze strzelby. Wojna dobiegła końca, przeprowadziliśmy się z góry do nowego domu w Charlotte i Mary zaczęła u nas pracować. Rodzice zaczęli się kłócić, ale w obecności Mary byli dla siebie mili. Zawsze ogarniał mnie niepokój, kiedy nie przychodziła na czas, w dniach, kiedy autobus numer 3 się spóźniał.

Meemaw odwiedzała nas i zostawała na kilka tygodni, ale Mary świetnie sobie z nią radziła: robiła jej kawę, nastawiała ulubione programy radiowe, przynosiła aspirynę, gdy Meemaw skarżyła się na ból głowy. Kiedy mama słyszała, jak rozmawiają, zwracała się do Mary tak głośno, aby Meemaw słyszała: – Nie pozwól, żeby Cordelia odrywała cię od pracy. – Nawet z Mary w roli pośredniczki, mama i Meemaw się nie dogadywały, sprzeczały się o drobiazgi, na przykład o krowi dzwonek, który mama zawiesiła na drzwiach kuchennych, żeby przypominał jej o Shumont. Dzwonek brzęczał, ilekroć ktoś wchodził lub wychodził.

– Cholerny dzwonek – mówiła wtedy Meemaw i marszczyła czoło. Mama była jednak nieprzejednana i dzwonek został. Zwracałam Mary uwagę na takie rzeczy, na przykład słowa mamy wypowiedziane do ciotki Rity: „Życie jest dobre, pomijając Cordelię”, ale Mary potrząsała głową, jakby dawała mi do zrozumienia, że powinnam puszczać to mimo uszu.

Meemaw całymi dniami przesiadywała na sofie, słuchała radia i szydełkowała. Mama mówiła tacie, że czuje się jak więzień we własnym domu.

– Cordelia siedzi tam jak Budda, na jej kolanach rosną te kosmate rzeczy, obserwuje mnie. Jest strasznie podejrzliwa.

– Skąd wiesz, że jest podejrzliwa?

– Poznają to po jej twarzy. Ma wyraz podejrzliwości.

– Popadasz w paranoję.

– Słyszałam, co powiedziała Ricie: „Paula myśli, że jest dla nas za dobra”.

– To były dwa zdania. Naprawdę powiedziała: „Paula myśli. Jest dla nas za dobra”.

Mama próbowała stłumić uśmiech, ale tata zawsze umiał ją podejść.

Ciotka Rita i stryj Stamos wpadali, żeby odwiedzić Meemaw i zagrać w brydża.

Mężczyźni siadali w salonie, przekładali papiery i rozmawiali o firmie Watts Concrete Fabrications, którą założyli za dziesięć tysięcy dolarów ze spadku mamy. Obaj ciężko pracowali, ale różnili się w kwestii wielogodzinnego dnia pracy.

– Rita nie jest zadowolona, kiedy przynoszę pracę do domu – powiedział stryj Stamos.

– Trwa powojenny boom – odparł tata, zwijając projekt. – Musimy kuć żelazo, póki gorące.

– Mamy za dużo obowiązków, idziemy na skróty.

– Tniemy koszty, ale praca na tym nie cierpi. Za dziesięć lat będziemy milionerami.

– Nie mam nic przeciwko temu! – zawołała mama z kuchni.

– Pieniądze to nie wszystko – oświadczyła Meemaw, podnosząc wzrok znad robótki.

Mama zamknęła drzwi kuchni.

Stryj Stamos wyciągnął z szafy w holu stolik brydżowy i ustawił na środku salonu.

– Gotowa na brydża, kochanie? – On i ciotka Rita byli nierozłączni, stale się dotykali.

Mama powiedziała kiedyś, że Rita mogłaby zrzucić parę kilo, ale widziałam, że dla stryja Stamosa jest piękna. Może nie była taka śliczna jak mama, ale sprawiała, że czułam się ważna i zawsze dawała mi jakieś drobiazgi. Tego wieczoru podarowała mi broszkę z czerwonymi kamyczkami.

– Założysz, jak będziesz starsza. – Zamknęła mi place na zapięciu. – Gdybym miała córkę, chciałabym, żeby była taka jak ty.

– Czego się napijecie? – spytała mama, wchodząc do salonu i wycierając ręce.

– Lekkiego drinka – powiedział stryj Stamos. Bez względu na to, ile jadł, był szczupły jak Fred Astaire, a kiedy siadał, wydawało się, że on się składa.

– Przyniosłaś Carlisle’a... To znaczy, jego list? – zwróciła się Meemaw do ciotki Rity, która wyjęła z kieszeni kopertę.

– Miewa się świetnie. Masz, możesz przeczytać. – Uwielbiałam, kiedy ciotka Rita i stryj Stamos opowiadali o swoim jedynym dziecku, Carlym, który miał piętnaście lat, uczył się w szkole wojskowej i miał nadzieję dostać się do West Point.

– Czas do łóżka, Jubie – oznajmiła mama. – Powiedz Stell i Puddin, że za chwilę przyjdę.

Razem z siostrami mieszkałam w pokoju z dwoma oknami, ozdobionymi zwiewnymi zasłonami. Miałyśmy pojedyncze łóżka z drewnianymi wezłowiami w kształcie czerwonych jabłek z brązowymi gałązkami. Tata i stryj Stamos zbudowali te łóżka, kiedy Puddin wyrosła z kołyski.

Po tym, jak mama pocałowała nas na dobranoc, Stell i ja szeptałyśmy do siebie, leżąc w łóżkach. W progu stanął tata.

– Miałyście spać, dziewczynki. Doigrałyście się, rozdzielię was. Idziemy, Jubie.

To było typowe: miałam się położyć w łóżku rodziców, żebym nie rozmawiała do późna ze Stell.

Ich pokój był dwa razy większy od naszego, z łóżkiem przed dużym frontowym oknem. Kiedy tata zaczął dobrze zarabiać, mama kupiła do sypialni łóżko z wiśniowego drewna, dwie wysokie komody i toaletkę do kompletu. Bardzo lubiłam szperać w ich rzeczach, zwłaszcza w drobiazgach taty. Jego górna szuflada pachniała cedrem, płynem do zapalniczki, miętową gumą do żucia Doublemint i smarem do czyszczenia strzelby, którą trzymał pod skarpetkami i chustkami do nosa. Sam jej widok mnie przerażał. Szperając w rzeczach taty w poszukiwaniu gumy do żucia, nigdy nie dotykałam strzelby. Tata mówił, że podczas wojny nie mógł dostać gumy Doublemint, a żadna inna jej nie dorównuje. Ja też najbardziej lubiłam właśnie ją.

Pościel na łóżku była świeża i szorstka od słońca. Zasnęłam na poduszce taty, a obudził mnie głośny brzęk tłuczonego szkła nad moją głową. Krzyknęłam.

Drzwi sypialni otworzyły się z hukiem.

– Co się stało? – Tata zapalił światło, które mnie oślepiło, i zmrużyłam oczy. – Coś ty zrobiła z łóżkiem?

– Coś mnie przestraszyło. – Rozplakałam się.

Mama, ciotka Rita i stryj Stamos wpadli do sypialni.

– Okno! – wykrzyknęła ciotka Rita.

We frontowym oknie widniał otwór, drewniana rama zwisała luźno.

– Usiądź ostrożnie, Jubie – powiedział tata.

Wezłowie z wiśniowego drewna pękło na pół. Zaczęłam łkać.

– Ja tego nie zrobiłam. Usłyszałam hałas... – Tata podniósł mnie z łóżka i postawił obok ciotki Rity, która mnie objęła.

Tata wszedł na łóżko, przesunął dłonią po wezłowiu, w końcu wyjął coś zza poduszek.

– Na Boga, spójrzcie na to. – W dłoni trzymał białą skarpetę, wypchaną jak na Gwiazdkę, w wyrzuceniu w dużym palcu. – Kamień. Wrzucili przez okno.

Stryjek Stamos podniósł mnie i przytulił.

– Mógł trafić June. – Oparłam głowę na jego kościstym ramieniu. – Już dobrze, jesteś bezpieczna.

– Założę się, że to te dzieciaki, które obrzuciły petardami dom na końcu ulicy – powiedziała mama.

– Wszystko w porządku, robaczku? – Tata dotknął mojego policzka.

– Tak. – Poczulałam się lepiej, kiedy nazwał mnie robaczkiem.

Tata wyjął z szuflady strzelbę.

– Dopadnę drania, który myśli, że ujdzie mu to na sucho.

– Bill, nie – zaprotestowała mama. – Zawiadom policję.

– Sama ich zawiadom. Ja złapię tego śmiecia.

– Uspokój się, Bill. – Stryj Stamos położył dłoń na ramieniu taty, ale on ją strząsnął.

– Nie mów mi, co mam robić. – Ciężkim krokiem wymaszerował z sypialni i ruszył korytarzem. Po chwili trzasnęły za nim drzwi. Na podwórzu rozległ się głośny wystrzał.

– Dopadnę was! – zawołał tata.

– Bill, proszę! – krzyknęła mama przez okno. – Jest lepszy sposób, żeby sobie z tym poradzić!

Kolejny wystrzał.

Do sypialni wbiegła Meemaw w długiej falującej koszuli nocnej. Przepchnawszy się obok mamy, zawołała: – Billy Watts, wracaj natychmiast! Ale już! – Ponieważ odpowiedziała jej tylko cisza, Meemaw dodała: – Mówię poważnie, Billy. Zachowujesz się jak idiota!

Drzwi wejściowe się otworzyły. W holu rozbrzmiały kroki taty.

– Kimkolwiek byli, uciekli.

– Zadzwońmy na policję – poprosiła mama.

Jednak ktoś już to zrobił, bo wóz policyjny właśnie wjechał na nasz podjazd.

Stryj Stamos postawił mnie na podłodze obok Stell, która, blada i milcząca, stała w kącie korytarza.

Wzięłam ją za rękę, wróciliśmy do naszego pokoju i razem położyliśmy się do łóżka.

– Gdzie jest Puddin? – spytałam.

– Była tu przed chwilą. – Puddin miała dopiero dwa lata, ale już zaczęła się chować.

Spod łóżka Puddin dobiegało jakby miauczenie. Położyłam się na podłodze i uniosłam kapeę.

– Cześć, Puddin.

Nasza najmłodsza siostrzyczka wypęzła spod łóżka, na jasnych lokach miała kurz, twarz całą w czerwonych plamach.

– Tata mnie przestraszył. – Położyła się do łóżka razem ze Stell i ze mną. Z salonu dobiegały donośne głosy.

– Ma pan pozwolenie na broń? Jeśli pan jeszcze raz strzeli, możemy pana zamknąć.

Do naszego pokoju weszła Meemaw. Kwiatowy zapach, jakim emanowała, przekonał mnie, że wszystko będzie dobrze.

– Wasz tata... po prostu się zdenerwował. Powinniście iść spać, dziewczynki.

Towarzystwo pomaga, kiedy człowiek się boi. Dobranoc. – Meemaw wyszła. W półmroku widziałam jej gruby, siwy kucyk na plecach. Po odjeździe policji zajrzała do nas mama.

– Mam nadzieję, że sąsiedzi nie wezmą nas za wariatów po tym, co wyprawiał wasz tata. – Ściszyła głos. – Dzięki Bogu, Cordelia... Cóż, przynajmniej raz byłam wdzięczna, że tu jest.

Puddin i ja położyliśmy się do swoich łóżek. Mama przykryła nas, zgasiła światło w korytarzu i zamknęła drzwi. Za każdym razem, gdy już prawie zasypiałam, przypominałam sobie: tata był gotów kogoś zastrzelić.

## Rozdział 7

Wujek Taylor urządził przyjęcie, żeby jego przyjaciele mogli poznać mamę. Mary przez cały dzień przygotowywała w kuchni hektolitry mrożonej herbaty, piekła biszkopty i szarlotki. Pomogłam jej rozłożyć stół w jadalni i nakryć białym obrusem, który opadał do podłogi. Mary pociągała obrus najpierw z jednej, potem z drugiej strony.

– Musi zwisać równo – powiedziała.

Mama ustawiła na stole sześć długich, cienkich świec wśród kwiatów, które zerwała w ogrodzie brata. Spodziewali się czterdziestu osób. Na dużych przyjęciach czułam się nieswojo, a od samego myślenia o tym, które miało nastąpić, kręciło mi się w głowie.

Dwie osoby przyszły wcześniej i zostały do późna. Pierwszą była pani Lula Willingham, sąsiadka poznana na plaży. Usadowiwszy się na taborecie w kuchni, pilnowała, by brudne naczynia myto natychmiast po przyniesieniu, kierowała pracą Mary, kazała jej sprawdzać, czy tace z jedzeniem są pełne. Kiedy pani Willingham objęła dowodzenie, mama opuściła kuchnię i dołączyła do przyjęcia. Chyba się cieszyła, że nie musi pilnować Mary.

Drugim wczesnym gościem była wojenna wdowa, którą wuj Taylor poznał w kościele, pani Kay Macy Cooper. Mówiła cicho, jasne włosy związała koralową wstążką pasującą do sukienki. Zawsze przedstawiano ją pełnym imieniem i nazwiskiem, ponieważ była spokrewniona z właścicielem domu towarowego w Nowym Jorku. Mama mówiła, że przy Macy's sklep Ivey's wygląda lichy. W Charlotte Ivey's zasłaniał w niedziele witryny, żeby nie rozpraszać dobrych chrześcijan w dniu pańskim, a zdaniem niektórych w ten sposób sklep wyprzedzał Macy's o krok.

Mary stała przy kuchennym zlewie, wycierając dłonie w ściereczkę, gdy pani Cooper klepnęła ją w ramię.

– Chyba się jeszcze nie poznałyśmy.

– Jestem Mary Luther. Pracuję dla pani Watts.

– Miło mi panią poznać, pani Luther – powiedziała pani Cooper i zerknęła na obrączkę Mary. – Pani, nie panna, prawda?

– Tak, proszę pani.

– Jestem Kay Macy Cooper. – Podała rękę Mary, która wyglądała na zaskoczoną, ale ją uścisnęła.

– Miło mi panią poznać, pani Cooper.

Pani Willingham podała Mary tacę z plastrami szynki.

– Sądzę, że na stole znajdzie się na to miejsce. – Mary wyszła z kuchni z pełną tacą.

– Kay Macy, Taylor potrzebuje cię w salonie – powiedziała pani Willingham, jak zwykle uśmiechnięta.

Uśmiech jednak nie sięgał jej oczu.

Pani Cooper bez słowa wyszła z kuchni.

W kącie jadalni siedziałam na krześle, opierając talerz na kolanach. Kiedy ktoś się do mnie odzywał, mruczałam coś i odwracałam wzrok. Odgłosy przyjęcia przypominały gulgotanie indyków, nieskładne głosy przetykane muzyką, podzwanianie szklanek, brzęk srebrnej zastawy. Kiedy płyta się skończyła, ktoś zawołał: – Przewróć na drugą stronę, przewróć na drugą stronę!

Pod sufitem zebrał się kłęb dymu, poruszający się w takt wchodzących i wychodzących ludzi.



– Niech wszyscy się zbiorą – rozbrzmiał donośny głos wuja Taylora. – Chcę wam przedstawić moją starszą siostrę.

Jadalnia opustoszała, bo ludzie poszli poznać mamę. Gawędziła z każdą poznaną osobą. Uwielbiała przyjęcia.

Właśnie miałam się wymknąć tylnymi drzwiami i pójść na plażę, bo z pewnością nikt by za mną nie tęsknił. Pod rąbkiem obrusa dostrzegłam coś błyszczącego. Czubek lakierka.

– Puddin!

– Nie wygadaj się, Jubie.

Dałam nura pod obrus, wciągnęłam stopy i zaczęłam chichotać z siostrą w ciemnej grocie.

– Od jak dawna tu jesteś? – szepnęłam, opierając się o nogę stołu.

– Przez całe przyjęcie. – Wręczyła mi ciastko. – Mam ich dużo. Mogę dać ci więcej.

– Dzięki.

Mama wygłaszała przemowę o tym, jaka jest szczęśliwa, że przyjechała do Pensacola, jacy wszyscy są mili, mówiła też, że nie wie, gdzie się podziałyśmy, Puddin i ja. Ludzie zaczęli wypełniać jadalnię, gwar rozbrzmiał ponownie; spod obrusu widziałyśmy mrowie stóp.

Usłyszałam głos Stell: – Dziękuję, to prezent od mojego chłopaka. – Jej złoty krzyżyk. – Mieszka w sąsiedztwie. – Opowiadała, jak poznała Cartera. – Razem utworzyliśmy pierwszą grupę Young Life w Charlotte. – Razem, dobre sobie! Musiała tam Cartera wręcz zawlec.

– Young Life? – spytała jedna z kobiet.

– To klub chrześcijański dla nastolatków – wyjaśniła z dumą Stell.

– Paula jest szczęściarą, że ją ma – rozległ się głos pani Willingham. – Powiedziałam to jednej z jej córek. – Jej głos wtopił się w ogólny gwar, kiedy się oddaliła.

Do jadalni weszła Mary, którą poznałam po czarnych sznurowanych butach.

– Komandorze Bentley, chyba już czas na szarlotkę?

– Jak myślisz, Kay? – spytał wuj Taylor.

– Wszyscy pochłonęli pani biszkopty, pani Luther, jestem pewna, że szarlotka będzie przepyszna. Tak, już czas.

Nie mogłam wyjść ze zdziwienia, słysząc, jak mówi „pani Luther”. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak zwracał się do Mary.

Stojąca przy stole pani Willingham oświadczyła: – Zwracanie się do kolorowej dziewczyny po nazwisku to popisywanie się swoimi szerokimi horyzontami. Kay Macy to jankeska, jak wiecie. Może byłaby dobra dla Taylora i Sarah, a może i nie.

– Na szczęście ta decyzja nie należy do ciebie – powiedziała mama.

– Och, Paulo, nie zauważyłam cię. Cóż, mam własne zdanie.

– Może powinnaś zachować je dla siebie.

– Nigdy nie byłam w tym dobra. Zawsze mówiłam, co myślę, prosto z mostu.

Obcasy mamy zastukały w sieni i oddaliły się do salonu. Wszystko przycichło. Puddin i ja wypełzłyśmy spod stołu.

– A więc tu jesteście – powiedziała pani Cooper od kuchennych drzwi. – Mama was szukała.

– Jubie znalazła mnie pod stołem – powiedziała Puddin.

– Przyjęcia nie są zbyt zabawne dla dzieci. – Wzięła Puddin za rękę. – Usiądź na stołku, to poprawię ci kłamry we włosach. – Pani Cooper mnie przytuliła. – W kuchni nikogo nie ma.

Jeśli wykradniecie się tylnymi drzwiami, nie będziecie musiały pomagać przy naczyniach.

Kiedy siatkowane drzwi zamykały się za mną, usłyszałam, jak pani Cooper zwraca się do mamy: – Pani Luther musi być zmęczona. Może pozwolimy jej się położyć, a ja tu skończę.

– Jeszcze pół godziny jej nie zabije – odparła mama. – Przywiozłam ją do pomocy.



## Rozdział 8

Jesienią 1952 roku tata oznajmił, że dom, który budował dla nas przy Queens Road West, jest gotowy. W dniu przeprowadzki Mary posadziła mamę w gabinecie w należącym do taty fotelu na sprężynach.

– Nie najlepiej – powiedziała Mary. – Nowy dom i nowe dziecko w tym samym czasie.

– Kiepski zbieg okoliczności – przyznała mama. Siedziała w drzwiach łącznika, paliła, piła kawę z termosu i mówiła ludziom od przeprowadzki, gdzie co postawić. Z płóciennej torby, do której spakowała ostatnie rzeczy – papier toaletowy, mydło, magnesy z lodówki – wyjęła krowi dzwonek i podała Mary do zawieszenia na drzwiach kuchennych.

Mary powiesiła dzwonek i w pustych pokojach rozbrzmiał znajomy dźwięk.

– Teraz jesteśmy w domu – oświadczyła mama.

Dom był tak duży, że nasz dobytek go nie wypełnił – pięć sypialni, trzy łazienki – trzy piętra, strych, piwnica oraz garaż na dwa samochody, a nad nim służbówka. Mama powiedziała, że będzie dobrze się bawić, kupując nowe meble, kiedy już dziecko się urodzi.

Brzuch miała olbrzymi; ilekroć wstawiała, myślałam, że się przewróci. Na opuchnięte stopy wkładała tylko tenisówki albo kapcie.

Kiedy zauważyłam, że jestem wyższa od mamy, Mary zmierzyła mnie i oznaczyła wzrost na framudze drzwi łazienkowych.

– Metr sześćdziesiąt osiem, a nie masz nawet dwunastu lat – powiedziała. – Przypuszczam, że jeszcze urośniesz. – Nie miałam nic przeciwko temu, bo lubiłam patrzeć z góry na mamę i Stell Ann. Nie byłam zachwycona dużymi stopami, ale tata pokazał mi swoje, rozmiar czterdzieści osiem, i powiedział, że duże stopy dostaje się w pakiecie ze wzrostem.

W nowym domu po raz pierwszy w życiu miałam własny pokój z podwójnym łóżkiem, w którym czułam się zagubiona. Ściany pomalowano na kolor, który mama określiła jako lilaróż; na łóżku leżała biała pikowana kapa, zasłony były w kwiaty, u dołu łóżka biegł ozdobny pasek materiału o takim samym wzorze jak na zasłonach. Nasze łóżka z wezglowiem w kształcie jabłka mama sprzedała kobiecie z trojaczkami.

– Są prześliczne! – zawołała kobieta.

– Zaprojektował je mój mąż, a jego brat wyciął je i pomalował – wyjaśniła mama.

– Och nie, mam na myśli pani córki. Są urocze.

– Aha.

– Dlaczego sprzedaje pani łóżka?

– Najstarsza ma czternaście lat.

– Przecież może pani urodzić jeszcze jedną córkę. – Kobieta spojrzała na brzuch mamy.

– Mam nadzieję, że nie. Płaci pani czekiem czy gotówką?

Czasami wolałabym nie słyszeć tego, co mówi mama.

Tydzień po przeprowadzce mama poczuła bóle porodowe, kiedy razem z Mary okładały papierem półki w spiżarni. Mama stwierdziła, że takie bóle jeszcze o niczym nie świadczą, ale Mary kazała jej się położyć i całe popołudnie spędziły w sypialni rodziców.

Stell i ja słyszałyśmy ich głosy, śmiech, niekiedy pojękiwania mamy.

O trzeciej nad ranem tata obudził Stell i mnie.

– Zabieram waszą mamę do szpitala. Zmieńcie pościel w naszym łóżku. Odeszły jej wody – powiedział tak, jakbyśmy wiedziały, o co chodzi. – To nie zajmie wiele czasu. – W głosie taty brzmiało podniecenie. Otulił mamę kołdrą i zaniósł do samochodu, jak to robią mężczyźni na filmach.

Przed południem miałyśmy braciszka. Kiedy tata do nas zadzwonił, powiedział tylko, że to chłopiec, nazwali go David William, waży ponad trzy kilo i ma dużą głowę.

Natychmiast poszłam do gabinetu i zdjęłam z półki Biblię Króla Jakuba. Kilka lat wcześniej Stell i ja zaczęłyśmy spisywać historię rodziny, zaczynając od pradziadków; umieszczałyśmy tyle dat i nazwisk, ile tylko udało nam się zebrać, w tym śmierć siostry mamy, Hanny Eudory Bentley w 1932 roku. Potem zapisałyśmy urodziny i ślub mamy i taty, następnie daty urodzin dzieci. Teraz dodałam wpis: „David William Watts, urodzony 27 września 1952 roku”. Na widok mojego charakteru pisma Stell zmarszczyła brwi, ale Biblia nie należała do niej.

Mama spędziła z czwartym dzieckiem dwa dodatkowe dni w szpitalu, ponieważ przeszła zabieg podwiązania jajowodów. Wystarczająco dużo podsłuchałam rozmów między ciotką Ritą i Mary, by się domyślić, że mama i tata nie chcieli więcej dzieci. Dobrze się stało, że mama miała już czwórkę, bo w przeciwnym razie lekarz nie zgodziłby się na zabieg.

Od pierwszej chwili, gdy ujrzałam Daviego, chciałam go nieustannie tulić, wąchać, głaskać po jedwabistej główce i pozwalać, by chwycił moje palce małą rączką. Kiedy miał zaledwie kilka dni, mama nauczyła mnie i Stell przewijać go, ale szybko miałam tego dość.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłam jego interes, zebrało mi się na wymioty. Wyglądał jak surowe mięso. Jak chłopcy chodzili z tym wszystkim zwisającym między nogami?

Davie zaczął podnosić główkę dopiero w szóstym tygodniu życia, co martwiło mamę.

Sądziła jednak, że może jest geniuszem o dużym mózgu. Nie rozumiałam słów taty wypowiedzianych do stryja Stamosa: – Głowa tego chłopca zniszczyła najlepszą rzecz, jaką człowiek miał w życiu.

Davie miał sześć miesięcy, kiedy zrobił nam zdjęcie człowieka, który fotografował najlepsze rodziny. Fotograf ustawił mamę w fotelu trzymającą Daviego oraz Puddin, która przysiadła na oparciu. Tata, Stell i ja staliśmy z tyłu. Przypominałam tatę, ze swoimi jasnymi włosami, niebieskimi oczami i śniadą cerą. W dodatku byłam o głowę wyższa od Stell, która miała mamine piegi i piwne oczy. Portret powiększono, podkolorowano, oprawiono w mahoń i powieszono nad kominkiem. Uważnie mu się przyglądałam, ciekawa, co ludzie myślą o tej szczęśliwej rodzinie na zdjęciu.

Podczas drzemki Daviego musiałyśmy siedzieć cicho, ale czasami wydawało mi się, że potrzeba hałasowania mnie rozsadzi. Kiedy nie mogłam już wytrzymać, szłam do garażu i wchodziłam po schodach do pomieszczenia nazywanego przez mamę mieszkaniem zastępczym, przez tatę zaś pokojem zabaw. Według mnie było tam bosko i kilkakrotnie sugerowałam, że ktoś powinien mieszkać tam na stałe, aby odstraszać włamywaczy. Całymi godzinami przesiadywałam w oknach wychodzących na Westfield Road, obserwowałam ludzi wyprowadzających psy, jeżdżących na rowerach lub pchających chodnikiem wózki. Nasi sąsiedzi zachowywali się przyjaźnie, lecz nie sądziłam, bym kiedykolwiek stała się jedną z nich, byłam taka pospolita i niezadana. Po wstąpieniu do Myers Park Country Club pomyślałam, że co prawda zostaliśmy członkami tutejszej wspólnoty, ale nadal nie mieliśmy prawa tu być. Mama chciała, by przyjęto nas do Charlotte Country Club, ale za mało ludzi nas poleciło. Tata stwierdził, że tym lepiej, bo Charlotte Country Club znajdował się za daleko.

– Nie ma czego żałować – skomentowała mama. Sama próbowała wstąpić do Junior League. Kiedy jej się to nie udało, powiedziała ciotce Ricie, że o wiele bardziej wolałaby należeć do Junior Woman's Club. Nie mogłam przestać myśleć o słowach mamy.

Stell martwiła się, że mama nie dostała się do Junior League.

- Nigdy nie zadebiutuję.
- Co to takiego? – spytałam.
- Wejście do dobrego towarzystwa. To bardzo ważna rzecz.
- Co Junior League ma z tym wspólnego?

– Charlotte to zabawne miejsce – powiedziała Stell, ścierając z twarzy krem Pond. – Jeśli twoi rodzice nie należą, ty też nie należysz.

- Do czego?
- Daj mi spokój.

Stell chodziła do pierwszej klasy liceum; zaczęła prasować sobie ubrania w niedzielne wieczory i szykować w szafie pięć kreacji na nadchodzący tydzień.

- Według niej twoje prasowanie nie jest wystarczająco dobre – powiedziałam do Mary.
- Po prostu chce to robić po swojemu.

Mary nie chciała słyszeć, że krytykuję Stell, ale nie wahała się przed wytykaniem mi moich wad.

– Zamknij tę książkę, Jubie, i pomóż matce. Musisz być cicho, twój brat śpi. Odkładaj po sobie rzeczy na miejsce.

- Dlaczego nigdy nie rozkazujesz Stell?
- Jeśli zajdzie taka potrzeba, na pewno to zrobię.

Tata poszedł do klubu na spotkanie przy kolacji, a mama powiedziała do mnie i Stell, że czas obejrzeć *The Family at Home*. W zapowiedzi programu można było usłyszeć, że „Rodzina Henry Robertsa rozwiązuje problemy z miłością, humorem i przy pomocy swego psa Woofersa”. Dowcip polegał na tym, że Woofers nigdy się nie pokazywał, tylko szczekał zza kamery.

Stell zrzuciła pantofle, stopy w pończochach podwinęła pod siebie, tymczasem mama majstrowała przy antenie. Kiedy w końcu udało jej się ustawić obraz, program już trwał.

Tom Roberts, wysoki i chudy nastolatek, stał w kuchni ze swoją siostrą Milly.

– Ależ ona ma na sobie śliczny strój – zauważyła mama, przez co umknęła mi wypowiedź Toma. Siedział na stołku barowym, który wyglądał zupełnie jak jeden z naszych, aż zaczęłam się zastanawiać, czy siedzenie jest pokryte czerwoną sztuczną skórą. Długie nogi wyciągnął przed siebie, wzrok utkwiał w podłodze, przez krótko przystrzyżone włosy przezierała skóra.

– Nawet jeśli nie dostaniesz się do drużyny, najważniejsze, że próbowałeś – powiedziała Milly. Jeśli w to wierzył, był prawdziwym kretynem.

Do kuchni wszedł pan Roberts i wyjął z ust fajkę.

– Witajcie, synu, księżniczko. Co słyszać? – Do dzieci mówił „Milly” i „Tom” tylko wtedy, kiedy był surowy.

– Cześć, tatko – powiedziała Milly. Nigdy nie zwróciłabym się do taty „tatko”.

– Milly przyszedł do głowy nieziemski pomysł, że dostanę się do drużyny futbolowej – oznajmił Tom.

Pan Roberts usiadł na stołku, wsunął fajkę z powrotem do ust i sięgnął po słój z ciastkami. Nosił okulary w czarnej oprawce i miał odstające uszy jak Clark Gable.

- To jak, synu, dostaniesz się?
- Jasne – odparł Tom, w jego głosie brzmiał smutek.

Co robił pan Roberts, kiedy wściekał się na Milly i Toma? Usiłowałam wyobrazić go sobie rozniewanego. Do kuchni weszła pani Roberts w szpilkach, sukience i bluzce.

Mama wygładziła spódnice.

– Dzień dobry, dzieci. – Pani Roberts odebrała mężowi ciastko i odłożyła do słoja. – Henry, stracisz apetyt. Pieczeń jest prawie gotowa. – Założyła fartuch i poprawiła perłowy naszyjnik.

– Och, Louise, chciałem zjeść tylko jedno.

– Po kolacji.

– Ha! – zawołała Stell. – Spróbujcie odebrać ciastko tacie.

Pani Roberts poprawiła kosmyk jasnych włosów. Kok na czubku głowy obwiązała wstążką, a kiedyś na pikniku nosiła balerinki. Uroczą i sympatyczną, nigdy nie paliła ani nie piła za dużo, nigdy nie zwracała się do nikogo nieprzyjemnie. Wiedziałam, że to tylko telewizja, ale chciałam, żeby tak było naprawdę.

– Jubie? – odezwała się mama. – Czemu się marszczysz?

– Koncentruję się.

Za kamerą zaszczekał pies.

– O co chodzi Woofersowi? – spytała pani Roberts.

– Czas na wieczorną gazetę – odparła Milly. – Skąd on to wie?

– Sprawdza na zegarku. – Pan Roberts dźgnął powietrze fajką. Publiczność wybuchła śmiechem, na ekranie pojawiła się reklama Camay, mydła dla pięknych kobiet.

– Od Milly można się sporo nauczyć o makijażu i pielęgnacji – stwierdziła mama.

– Ona nosi kostiumy i perukę – odparła Stell.

– To szykowna, elegancka młoda dama. – Mama pociągnęła nosem i poszła do kuchni.

Drzwi garażu otworzyły się ze zgrzytem i zatrzęsnęły.

– Tata przyjechał – zawołałam do mamy. Ze szklanką mrożonej herbaty wróciła do pokoju w chwili, gdy otworzyły się drzwi łącznika.

– Cześć wszystkim. – Tata ściągnął kapelusz, mierzwiąc włosy, i rzucił go przez pokój na stół w jadalni.

– Cicho – powiedziała mama. – Oglądamy program.

– Ups! – Uśmiechnięty tata przeszedł obok nas na palcach. Wypił akurat tyle, żeby dobrze się poczuć i miałam nadzieję, że pójdzie prosto do łóżka.

\*

Napięcie między mamą a Mary pojawiło się podczas ostatniego lunchu z brydżem, który się u nas odbył. Mary chyba nie zachowywała się tak dziwnie z powodu dodatkowej pracy. Może przygotowania do podjęcia kółka brydżowego sprawiły, że stała się drażliwa, kiedy więc usłyszała, co pani Feaster powiedziała do mamy, ostatnia kropla przepełniła czarę goryczy.

Dom nigdy nie świecił czystością tak jak w przeddzień brydża; w lodówce było pełno jedzenia, ale nie wiedziałyśmy, co możemy jeść, a co jest dla pań. Mama w istnym amoku co dziesięć minut sprawdzała przygotowane w lodówce jedzenie, przy czym zawsze miała w rezerwie co najmniej dwie inne potrawy na wypadek, gdyby auszpik pomidorowy nie zgęstniał.

Przy brzęku krowiego dzwonka do kuchni wszedł Carter Milton.

– Dzień dobry, pani Watts – powiedział Carter. – Przyszedłem pomóc.

– Witaj, Carterze – ucieszyła się mama.

Stell i Carter organizowali spotkanie Young Life w tym samym dniu, gdy spotykało się kółko brydżowe, jakby już się dość nie działo.

Ze wszystkich znajomych Stell mama najbardziej lubiła Cartera. Zawsze wyglądał elegancko. Tego dnia był ubrany w kraciastą madrasową koszulę i starannie uprasowane spodnie. Carter dbał o wygląd, co, jak sądzę, podobało się Stell. Długo strzygł się na jeża, ale teraz zapuścił nieco włosy i modelował je na płask. Według mnie wyglądał znacznie lepiej.

Mama wręczyła mu tacę ze szklankami.

– To na wasze spotkanie. Stell szykuje inne rzeczy w bawialni.



Stell założyła w Charlotte grupę Young Life po tym, jak została zbawiona przez Leightona Forda, szwagra Billy'ego Grahama, który dla mieszkańców Charlotte jest kimś w rodzaju szwagra samego Boga.

Kiedy Stell oznajmiła, że została zbawiona, tata spytał, czy to to samo, co urodzić się na nowo.

– Tak, tato – rozpromieniła się Stell. – Ponownie narodziłam się w Chrystusie. – Na jej twarzy malował się wyraz silnego oczekiwania; pewnie myślała, że tata powie jej, jakie to jest wspaniałe. On jednak rzucił tylko: – W porządku. – I wrócił do czytania gazety.

– Jubie – zawołała do mnie mama, kiedy Carter ruszył do bawialni. – Weź żłobkowaną misę z górnej półki. Mary, jesteś pewna, że Rita nie dzwoniła?

– Ja z nią nie rozmawiałam.

– To nie jest w stylu Rity. – Mama zmarszczyła czoło.

– Moją przyjaciółkę Reese też czasem trudno znaleźć. Nie dzwoni przez jakiś czas, a potem widzę ją w kościele i zachowuje się jak gdyby nigdy nic. – Mary wrzuciła do durszlaka czerwone kartofle i umyła je. Paznokciem kciuka wydlubała oczka z pędami, jej długie, sękaty palce, niemal koloru kartofli, ginęły wśród bulw. – Reese, zna pani Reesy, w zeszłym roku przyszła tu pomóc przed przyjęciem dla pana Stamosa, ale potem... Ona nie uważa, że trzeba oddzwaniać. Ale przyzwoici ludzie oddzwaniają.

– Wiem, że nie wyjechali z miasta – powiedziała mama, wręczając Mary misę ze żłobkowanego szkła.

– Do Reesy dzwonię czasem po dwa, trzy razy. – Mary wsypała do misy płatki mydlane.

– Muszę spytać Ritę, czy znaleźli kogoś do prac na podwórzu – powiedziała mama. – Dostałam nazwisko od dziewczyny, która zamiata w salonie piękności. Znasz niejakiego Bobbo Scotta? Nadałby się na pracownika dla Rity i Stamosa? Nazywa się Bobbo, tak?

– Owszem. Nieszczególne imię i nieszczególny człowiek.

– Ach tak? – Mama uniosła brwi.

– Zagląda do butelki.

Wiedziałam, że Bobbo nie może liczyć na pracę.

– Rita dostała też jedno nazwisko od Safronii. Woodrow Addison. Znasz go?

– Mhm. – Mary wytarła bar. – To awanturnik. Ma kłótliwą naturę, jak cała jego rodzina.

Ani mama, ani ciotka Rita nie aprobowały kolorowej osoby, nie sprawdzivszy jej wcześniej u Mary. Jeśli Mary jej nie znała, znała kogoś, kto ją znał.

Mary podniosła kosz z wypraną pościelą i wyszła rozwiesić ją na sznurze. Mama nigdy nie pozwalała Mary pakować pościeli do suszarki, bo po słońcu wspaniale pachniała.

– Jubie, zamiotłaś chodnik? – spytała mama.

Kiedy zamiatałam, podjechała pani Feaster z kółka brydżowego mamy.

– Witaj, June – zawołała. – Przyjechałam pomóc twojej mamie.

– Tak, proszę pani. Mama wspominała, że pani przyjdzie. Jest w kuchni. – Weszłam za panią Feaster do domu.

Mama wręczyła mi durszlak z kartoflami.

– Hej, Susie, dzięki, że wpadłaś. Jubie, obierz je, proszę.

– Cieszę się, że mogę pomóc – powiedziała pani Feaster, wieszając kapelusz i płaszcz.

– Myślałam, że Mary je obierze – powiedziałam do mamy. Kartofle pachniały mokrą ziemią.

– Po rozwieszeniu prania musi jeszcze prasować. – Mama podała mi obieraczkę.

– Na ceratowym obrusie na stole są wypisane zasady licytacji – powiedziała pani Feaster. – Diana Sawyer zawsze tam patrzy, kiedy licytuje. Równie dobrze mogłaby przekazywać partnerce notatki.

– Lniane obrusy są mi potrzebne na stoły w salonie. Nie mogę zostawić gołego stołu w gabinecie. Ten ceratowy obrus wygrałam w klubie zeszłej jesieni.

– Jeśli podczas licytacji musisz patrzeć na obrus, nie powinnaś grać. – Pani Feaster zaniósła szklaną



misę do jadalni, skąd wróciła z dwiema srebrnymi tacami, które położyła przy mnie na kuchennym stole.

– Chciałabym mieć takie włosy jak ty, June, gęste i jasne.

Moje siwieją z dnia na dzień, a trwała się na nich nie trzyma. Ale masa kartofli.

– Tak, proszę pani. – Spojrzałam na durszlak.

– Ile osób macie dziś wykarmić?

– Je z nami Carter i moja przyjaciółka Maggie Harold, ale to tylko osiem osób.

– Tylko osiem – powtórzyła pani Feaster. – Przysięgam, Pauly, gdybym miała tylu gości naraz, tobym zwariowała.

– Czasami wariuję.

Woda chlusnęła do zlewu, naczynia zabrzęczały.

– Skoro mowa o wariowaniu, czy Brenda jutro przyjdzie? – spytała pani Feaster.

– W końcu tak – westchnęła mama. – Wpadnie zadyszana, kiedy będę podawała deser, i zacznie się usprawiedliwiać.

– Może spóźniła się o godzinę na własny poród i nigdy tego nie nadrobiła?

– Brenda nie bardzo sobie ostatnio radzi – stwierdziła mama. Nie dodała: „Niech jej wyjdzie na zdrowie”, co zwykła czynić, kiedy krytykowała drugą kobietę.

– Jesteś zbyt dobra, Paulo. Przy Brendzie Simpson nawet czarnuch wyglądałby mądrze.

– Susan! – Mama wyglądała na zszokowaną, ale się roześmiała. Po chwili śmiech zamarł jej w gardle.

W drzwiach stała Mary z koszem na pranie na biodrze.

– Nie powinna pani mówić takich rzeczy, pani Feaster. – W ogóle nie brzmiała jak ona, zupełnie nie jak służąca.

– Mary – powiedziała mama. – Nie wiedziałyśmy, że tam stoisz.

– To nie usprawiedliwia mówienia bzdur.

– Mary... – Głos mamy zabrzmiał chłodno i cicho. – Zapominasz się.

– Nie, proszę pani. – Mary wyszła z kuchni, po czym wróciła w płaszczu i kapeluszu.

Nie patrzyła na mnie.

– Bardzo przepraszam. – Mama poszła za nią.

– Przyjdę rano. Nie zostawię pani, kiedy ma przyjść tyle kobiet. – Mary zamknęła za sobą drzwi gabinetu.

## Rozdział 9

W Krainie Radości nad Morzem, tuż za Pensacola, na ogrodzonej sznurami łące stało zaledwie kilka samochodów.

– W Krainie Radości radości jest niewiele – stwierdziła Stell. Na niebie zwieszały się niskie chmury; zupełnie inną pogodę wymarzyliśmy sobie na popołudniową wyprawę do wesołego miasteczka.

Mary stała przy aucie z Daviem na biodrze, ja tymczasem wyjmowałam wózek z bagażnika.

– To dzień pański. Może ludzie zostali w kościele.

Minęliśmy szyld w kształcie kanapki, który widziałam z samochodu w dniu przyjazdu do Pensacola.

WĘDROWNE WESOŁE MIASTECZKO BRYSONA McCURDY!!

CZŁOWIEK WAŻ

DZIKI PIES Z EVERGLADES

DZIEWCZYNA O TRZECH NOGACH

oraz WIELE INNYCH ATRAKCJI!!!

WSTĘP WOLNY!

– Kurczę! – wrzasnęła Puddin. – Jest nawet wesołe miasteczko.

Przez Krainę Radości biegł szeroki pas piasku i trocin, ze straganami i różnymi atrakcjami po obu stronach. Gdzieś przed nami rozlegały się dźwięki organów parowych.

Znaki wskazywały drogę do wesołego miasteczka, które rozłożyło się przy placu zabaw.

Wózek trudno się pchało. Ilekroć uwalniałam go z trocin, musiałam wytrząsać je z sandałów. Mimo to cieszyłam się, że włożyłam te buty; nie przeszkadzał mi nawet pył na paznokciach palców u stóp, które z okazji wyprawy do Krainy Radości pomalowałam na jaskrawoczerwony kolor.

Mary przejęła wózek.

– Nie musisz zwalniać z naszego powodu. – Najwyraźniej było jej gorąco i żałowałam, że nie włożyła szortów jak Stell i ja, ale wujek Taylor poradził jej ubrać się w uniform, żeby było jasne, że pomaga przy dzieciach.

Stell i ja ruszyliśmy przodem, mijając starą kobietę w spodenkach, która siedziała na stołku przy straganie z lemoniadą. Na nogach miała nabrzmiałe żyły, uśmiechała się szeroko do przechodniów. Gdybym straciła większość zębów, tobym się nie uśmiechała.

Niechący wpadłam na grubasa, który szedł z rodziną.

– Przepraszam. – Usilnie starałam się nie patrzeć na olbrzymie brzuszysko przelewające się nad paskiem.

– Nic nie szkodzi, młoda damo. – Dotknął mojego ramienia.

– Tato, chodźmy na karuzelę – poprosiła go chuda dziewczyna, mniej więcej w moim wieku. Czemu nastolatka chciała robić coś tak dziecinnego? Mimo to pomyślałam, że to fajne, że chce się przejechać z ojcem. Jej kościste kolana i czarne włosy przywodziły mi na myśl moją kuzynkę. Kiedy zaproponowałam Sarah, żeby wybrała się z nami do wesołego miasteczka, odparła, że woli pojechać do bazy z mamą i wujem Taylorem.

Gdy rodzina grubasa poszła dalej, kobieta w zielonym kombinezonie zaczęła nawoływać: – Zapraszam

na kolejkę górską!

– Możemy się później przejechać – powiedziała, szturchając mnie, Stell.

Mężczyzna o błyszczącej łysinie mrugnął do Stell i zaczął ją przyzywać, wymachując proporczykiem.

– Rzucanie monetami i kólkami! Dalej, dziewczęta, spróbujcie szczęścia!

Przed nami pewien człowiek pociągnął jakąś kobietę między namioty. Kiedy ich mijaliśmy, spojrzałam. Całowali się namiętnie, jego dłonie wędrowały po jej plechach, od łopatek do pośladków. Stell zauważyła, że podglądam, i pociągnęła mnie za rękę.

– To obrzydliwe. – Zabrzmiała jak mama.

Otoczyło nas czterech marynarzy w białych rozszerzanych spodniach.

– Witajcie – powiedział najwyższy, chudy rudzielec.

Niski brunet zdjął czapkę marynarską i uklonił się przed Stell.

– Czy mogę cię zaprosić na diabelskie koło? – Na pewno był jankesem.

– Mam chłopaka – wyjąkała Stell.

Jeden z marynarzy chwycił mnie za rękę. Spod czapki wysuwały mu się gęste, jasne loki.

– Dzień dobry, panienko. Jestem Tucson Tom z Nowego Meksyku. Może pomyślałaś, że z Arizony, ale to nieprawda. – Miał silną, ciepłą dłoń. Jak by to było: zwiedzić cyrk z tym ślicznym chłopcem, chodzić z nim, trzymając się za ręce?

– Gdzie zatem jest ten twój osławiony chłopak? – spytał Stell pierwszy marynarz.

Stell wyrwała mnie blondynowi.

– Przestańcie nas zaczepiać.

Po chwili nadeszła Mary, pchając wózek, z Puddin trzymającą się jej spódnicy.

– Co tu robicie, chłopcy?

– Oto ich niania – oznajmił trzeci marynarz. Pierwszy zasalutował Mary.

– Chcemy zabrać te miłe dziewczęta na przejażdżkę.

– Dajcie nam spokój – powiedziała Mary.

Tuż obok przeszły w obłoku perfum trzy dziewczyny, trzymając się pod ramię i uśmiechając do marynarzy. Wszystkie miały we włosach kokardy, białe bluzki i czerwoną szminkę na ustach. Kiedy chłopcy pobiegli za nimi, poczułam zawód.

– Dzięki Bogu – powiedziała Stell, ale czy mówiła serio?

Wszystko mnie kusiło: gabinet osobliwości; rejs łódką wokół zaczarowanego zamku, gdzie czekała para – chłopiec karmił dziewczynę wata cukrową; szalona jazda na wirującej platformie, z której schodziły zataczające się dzieciaki. W ciepłym powietrzu unosiły się zapachy, od których zrobiłam się głodna – hot dogów, fistaszków, kandyzowanych jabłek.

– Karuzela! – zawołała Puddin.

– Chcesz się przejechać z Daviem i Puddin? – zwróciłam się do Mary.

– Zapytaj tego człowieka – odparła, marszcząc brwi.

Kiedy podeszłam do kasy, ujrzałam napis:

KARUZELA, DZIESIĘĆ CENTÓW.

Poniżej, większymi literami:

OPRÓCZ PONIEDZIAŁKÓW

TYLKO DLA BIAŁYCH.

Spojrzałam na Mary.

– Hej, młoda damo, chcesz się przejechać? – Mężczyzna w kasie mówił z cygarem w ustach.

– Tak, ale... To znaczy nie ja, tylko moja siostra i braciszek. I nasza dziewczyna, która będzie go trzymać.

Kasjer wyjął cygaro z ust i wskazał napis.

– A jeśli zapłacę podwójnie, a ona nie usiądzie? – Położyłam na ladzie cztery dziesięciocentówki. Mężczyzna ponownie wsunął cygaro do ust.

– Pozwolę jej, jeśli będzie tylko stała i przytrzymała go na koniu.

Gdy wręczałam Mary bilety, stojący nieopodal klaun uśmiechnął się do mnie i uchylił kapelusza.

Mary, Davie i Puddin wirowali w takt muzyki organów parowych. Grubas, na którego wcześniej wpadłam, stał obok córki na wirującej karuzeli, z dłonią na jej szyi, i machał do rodziny. Davie uśmiechał się, ilekroć nas zobaczył, Mary stała przy nim rozpromieniona, tupiała nogą w takt muzyki, a spódnica jej uniformu falowała. Warto było wydać dodatkowe dziesięć centów.

– Ho! To była frajda! – powiedziała Mary, zsiadając z Daviem na rękach i ściskając dłoń Puddin. Potem przełożyła Daviego na drugą stronę. – Zostawcie małych ze mną, dziewczynki. Idźcie się same zabawić.

Stell i ja pobiegliśmy kupić bilety na Największe Diabelskie Koło Na Świecie. Po chwili siedzieliśmy na szczycie, bujając się w przód i w tył, kiedy koło się zatrzymało, by załadować dolne gondole. W gondoli przed nami siedział rudy marynarz z jedną z dziewczyn.

Powiedział jej coś na ucho, a ja zapragnęłam znaleźć się na jej miejscu, pachnieć perfumami, nosić kokardę we włosach i flirtować z chłopcem, który lada chwila mógł pojechać na wojnę.

Z góry widzieliśmy zatokę, błękitną i gładką pod pochmurnym niebem, chłodną i przejrzystą za poszarpanymi namiotami wesołego miasteczka rozdymanymi przez wiatr.

Mary, Puddin i Davie daleko w dole wyglądali jak zabawki. Mary pomachała do mnie.

Chłopiec wzrostu Puddin podszedł do nich, rozdając ulotki. Cały był ubrany w połyskliwą czerwień, ale nawet z dużej wysokości widziałam, że jest w nim coś dziwnego. Puddin odepchnęła go i uciekła za namiot, gdzie ją widziałam.

– Mary! – zawołałam, ale wiatr stłumił mój głos.

– Co? – spytała Stell.

– Puddin ucieka. – Diabelskie koło zaczęło się obracać, marynarz objął dziewczynę. W dole Mary kręciła się na wszystkie strony, szukając Puddin, która wyszła zza namiotu, machając ręką.

– O, jest. – Usiadłam i pozwoliłam, by wiatr smagał mi twarz.

Po przejeździe na diabelskim kole tanecznym krokiem podszedł do mnie klaun, który wcześniej uchylił kapelusza; jego za duże buty klapały o ziemię przy każdym roku. Wyjął mi różę zza ucha. Pot ściekający po jego pomalowanej twarzy wyglądał jak łzy, co pasowało do smutnych pomarańczowych ust. Wręczywszy mi różę, skłonił się i odszedł tanecznym krokiem w dal, zostawiając za sobą woń papierosów.

– O co w tym chodziło? – spytała Stell.

– O moją wrodzoną urodę. – Przytknęłam do policzka różę w kolorze paznokci u nóg, pachnącą trochę jak woda toaletowa Meemaw.

Chłopak w czerwonym garniturze z cekinami wręczył Stell ulotkę, a kiedy się odwrócił, ujrzałam cygaro w jego ustach i zarost na brodzie – nic dziwnego, że Puddin przed nim czmychnęła. Nie miał nawet metra dwudziestu centymetrów, ale był stary.

– To karzeł – wyjaśniła Stell i podała mi ulotkę z obrazkami atrakcji z gabinetu osobliwości. Dziewczyna o Trzech Nogach. Zaklinacz Pytonów, czyli mężczyzna owinięty przez węże. Madame Koziorożec, Wschodnia Mistyczka, kolorowa kobieta z ręcznikiem na głowie.

– Gabinet osobliwości. Idę.

– Powiem mamie. – Stell z zaciętym wyrazem twarzy chwyciła mnie za ramię.

– Idę.

– Ale nie sama – powiedziała Mary.

Właśnie mijala nas inna grupa marynarzy. Jeden z nich puścił do mnie oko.

– Ja cię zaprowadzę.

Stell ujęła mnie pod ramię, nie zważając na chłopaka.

– O, jest. – Wskazałam ręką szyld gabinetu osobliwości i podeszłam do kasy. – Poproszę dwa.

Kasjer spojrzał na Mary. Wrzuciłam trzy dziesięciocentówki do miseczki.

– Ona może stać z tyłu.

Kasjer przyjął pieniądze.

W namiocie na składanych krzesłach siedziało najwyżej dwanaście osób, które wachlowały się z powodu skwaru i kurzu. Usiadłam w ostatnim rzędzie, żeby Mary mogła stanąć za mną, nikomu nie zasłaniając. Werble zagrały tusz. Wysoki kolorowy chłopak w żółtej satynowej marynarce i czarnych spodniach odciągnął kurtynę. Gdy się poruszał, cylinder na jego głowie przechylał się na wszystkie strony.

Dziewczyna o trzech nogach siedziała na wózku inwalidzkim; nogi miała przykryte różowym kobiercem, spod którego wystawały trzy stopy. Twarz okalały jej jasne loki.

Pociągnięte różem policzki pasowały do czerwonej szminki. Skoro miała trzy nogi, chciałam zobaczyć, jak chodzi. Ale dziewczyna tylko siedziała, wierciła się i poruszała nogami, żebyśmy się mogli przekonać, że są prawdziwe. Nosila lakierki z kokardami, dwa lewe i prawy. Pomyślałam, że majtki muszą stanowić dla niej problem.

Chłopak znowu przeszedł przez scenę, zaciągając kurtynę. Mary złapała mnie za ramię i zawołała: – Leesum! – Chłopak podskoczył jak postrzelony, przez co tak szarpnął kurtynę, że spadła. Trzynożna dziewczyna stała obok wózka inwalidzkiego na dwóch zdrowych nogach, trzecią trzymając w objęciach. Po chwili upuściła nogę i uciekła.

Mary ruszyła w stronę sceny, ciągnąc mnie za sobą.

– Leesumie Fields, nie ruszaj się.

– Oszustwo! – wołała publiczność. – Oddajcie pieniądze!

Kasjer przeszedł przez scenę, wymachując rękami.

– Siadajcie, siadajcie. Przedstawienie zaraz zostanie wznowione. Wierzcie mi, to warto zobaczyć.

– Buu – wołał jakiś mężczyzna. – Chcemy nasze pieniądze.

Jedną ręką trzymając mnie, drugą chłopaka, Mary wyciągnęła nas z namiotu, gdzie, po panującym w namiocie półmroku, nawet mimo pochmurnego nieba było za jasno. Mary puściła mnie i chwyciła chłopaka za obie dłonie.

– Leesum Fields, co ty, na Boga, robisz w tym cyrku?

– Hej, pani Luther. Znalazłem sobie pracę. – Głos chłopca brzmiał głęboko i donośnie.

– Twoja mama nie wstaje z łóżka ze zgrzyoty, tak się o ciebie martwi.

– Akurat! – Najwyraźniej niezbyt się troszczył o mamę.

– Masz okazywać matce szacunek, chłopcze.

– To zwykła dziwka, co jara trawę i wciąga koks.

Z trudem rozumiałam, co mówi.

– A jednak to twoja mama.

– Tak, zwykła dziwka.

Z namiotu wyszedł kasjer i zaczął wrzeszczeć.



– Co ty sobie wyobrażasz, smarkaczu, dlaczego zerwałeś kurtynę?

– Nie mogłem się powstrzymać.

– Dziewczyno, przez ciebie straciłem dolara i trzydzieści centów! – Kasjer wygrażał Mary pięścią.

– Chciałam porozmawiać z Leesumem. – Mary nie wyglądała na przestraszoną.

– Jesteś mi winna dolara i trzydzieści centów.

– Nie sądzę.

– Licz się ze słowami, dziewczyno.

– Prowadzi pan oszukańczy cyrk. Ten chłopak pewnie pracuje dla pana nielegalnie.

Wujek tych białych dzieciaków jest komandorem w bazie marynarki wojennej.

Twarz mężczyzny wykrzywiła się z wściekłości. Próbowałam odciągnąć Mary, ale ona nie potrzebowała pomocy. Kasjer tupnął i zwrócił się do Leesuma.

– Zwalniam cię, gówniarzu. I tak byłeś do niczego. Wynoś się stąd, zanim rzucę twojego fiuta psom. –

Zerwał cylinder z głowy Leesuma. Sznury włosów rozsypały się na wszystkie strony. – Oddawaj kostium.

Leesum zdjął żółtą marynarkę.

– Nie mogę zdjąć spodni, panie McCurdy, nie mam nic pod spodem.

– Więc śmigaj po ubranie. I żebym cię tu więcej nie widział.

Chłopak pobiegł w kierunku metalowego wozu, podobnego do puszki na kołach; włosy mu podskakiwały.

– Czekamy tu, Leesumie – zawołała za nim Mary.

– Co się dzieje? – spytała Stell Ann, podchodząc razem z dziećmi.

– Z tym chłopakiem od roku są kłopoty – potrząsnęła głową Mary. – Ma dopiero piętnaście lat, a zeszedł wiosny uciekł z domu. Jego mama odchodzi od zmysłów. Oni należą do mojego Kościoła.

– Co to za chłopak? – zapytała Stell Ann.

– Chłopak, który zaciąga kurtynę w gabinecie osobliwości – wyjaśniłam.

– Gdzie on teraz jest?

– Ubiera się.

– Nie miał na sobie ubrania?

– Wyrzucili go z pracy. Musiał zdjąć kostium.

Leesum w brudnej koszuli i szortach podszedł do nas z papierową torbą. Bose stopy miał zakurzone.

Stell przyglądała się jego włosom.

– Co teraz zamierzasz, Leesumie? – spytała Mary.

– Znaleźć inną pracę.

– Niby jak?

– Pójdę do miasta.

– Nie wolałbyś wrócić do domu?

– Nie mam pieniędzy na bilet, a mama stłukłaby mnie tak, że nie mógłbym chodzić.

– A gdybym kupiła ci bilet na autobus i na pewien czas zamieszkałbyś u wielebnego Perkinsa?

Leesum wpatrywał się w ziemię.

– Nie sądzisz, że łatwiej znajdziesz pracę w Charlotte, gdzie jest twoja rodzina z Kościoła, niż na Florydzie?

– Tak, proszę pani.

– Wobec tego jedź z nami do komandora Bentleya. Zobaczę, co się da zrobić.

– Mama się wścieknie – uprzedziła Stell.

– To zostaw mnie.

Opuszczając Krainę Radości, mijaliśmy otwarty namiot, gdzie klaun zmywał przed lustrem makijaż.

Dostrzegłszy mnie w lustrze, pomachał. Ten sam klaun, który dał mi różę, skórę pod makijażem miał ciemniejszą niż Leesum. Wcześniej zamierzaliśmy zostać w Krainie Radości na kolację, ale Stell oznajmiła, że wracamy.

– Mama wystarczająco się wkurzy na widok tego chłopaka. Gdyby któryś ze znajomych wuja Taylora zobaczył, że ten chłopak je z nami hot dogi... – Pomaszerowała w stronę parkingu. – Podjadę po was pod bramę.

Mary i Leesum usiedli ze mną z tyłu. Puddin wdrapała się na przednie siedzenie obok Stell i pomogła umieścić Daviego w płóciennym siodełku. Już po przejechaniu kilku kilometrów pożałowałam, że usiadłam tak blisko Leesuma. Chłopak wydzieliał woń mokrego psa. Mary opuściła okno do samego dołu. Ja zrobiłam to samo.

– Chłopcze, kiedy tylko dojedziemy do domu komandora Bentleya, masz się porządnie wykapać – oświadczyła Mary.

– Tak, proszę pani.

– Szkoda, że obok nas nie ma plaży dla kolorowych. Na początek zanurzyłabym cię w oceanie i zmyła najgrubszą warstwę brudu.

– Tak, proszę pani. – Leesum spojrzał na mnie zawstydzony. Wołałam, żeby Mary nie była dla niego taka surowa.

– Hmm. – Mary chwyciła go za włosy. – Kędzierzawy chłopak z kucykami.

– Pan McCurdy nie pozwalał mi ich ścierać.

– Dlaczego?

– Na koniec przedstawienia kłaniam się i zdejmuję cylinder. Kucyki wypadają.

Publiczność się śmieje. – Leesum wyjrzał przez okno.

– Mogę ci ładnie obciąć włosy, Leesumie – powiedziała Mary, dotykając jego głowy. – Zawsze to robiłam dla pana Luthera i Linka.

W drodze powrotnej rozmyślałam o chłopcu w łódce pod zaczarowanym zamkiem, który odrywał kawałki niebieskiej waty cukrowej i wsuwał je w usta dziewczyny, a jej czerwone wargi zamykały się na opuszkach jego palców.

W domu umieściłam zwiędniętą różę w szklance z wodą i postawiłam na stole w jadalni w nadziei, że nabierze życia. Stell przyglądała się z powątpiewaniem.

Mary wzięła od Leesuma papierową torbę i postawiła na kuchennej podłodze przy pralce. Potem pchnęła Leesuma korytarzem w stronę łazienki.

– Podaj mi ubranie przez drzwi i napuść gorącej wody do wanny.

– Tak, proszę pani.

Mary poszła do swojego pokoju, wróciła z długim kordonkowym szlafrokiem i upuściła go pod drzwiami łazienki.

– Tu masz szlafrok.

Po kąpieli Leesum wszedł do kuchni w szlafroku Mary. Co prawda okrycie było żałośnie małe, ale zakrywało go, więc mógł wyglądać przyzwoicie do czasu, aż wyschnie jego ubranie. Próbowiałam się na niego nie gapić, ale on najwyraźniej się nie przejmował.

Wcześniej sądziłam, że jest dość ciemny, teraz dziwiłam się, jak bardzo pojaśniał po kąpieli.

Strączkowe włosy wyglądały na suche, ale woda ściekała z nich na złocistobrazową twarz.

Oczy Leesuma miały hipnotyzujący zielony kolor; usta miał pełne, zęby lśniły białością.

Dziwiłam się, że kolorowy chłopak może być taki przystojny.

Czyste ubranie Leesuma Mary włożyła do suszarki, potem przygotowała kolację: kanapki z sałatką z tuńczyka, chipsy kartoflane, mrożoną herbatę. Nikt z nas nie przepadał za tuńczykiem, ale nikt też się nie

skarżył. Kiedy wszystko było gotowe, usiedliśmy przy kuchennym stole. Leesum i Mary także.

– Jak długo występowałaś w wesołym miasteczku? – spytała Stell.

– Pod koniec maja przestałem chodzić do szkoły i do nich dołączyłem. – Leesum zaciągnął pasek szlafroka.

– Dokąd pojechaliście? – zapytałam.

– Knoxville, Chatt’nooga, ‘Lanta, M’gomery. W innych miastach zatrzymywaliśmy się w takich miejscach jak Kraina Radości.

– Ile zarabiałaś?

– Piętnaście dolarów tygodniowo, spanie i jedzenie miałem opłacone.

– Jakie spanie i jedzenie? – zainteresowała się Mary.

– Siennik w jednym z wozów. Podczas deszczu spałem na sofie w wozie pana McCurdy’ego. Miałem całe żarcie z wesołego miasteczka, jakie tylko chciałem.

– Kanapki z szynką i coca-colę – powiedziała Mary. – Zgadza się?

– Watę cukrową – dodała Stell.

– Nie było źle – powiedział Leesum takim tonem, jakby sądził, że się z niego nabijają.

– Przynajmniej odżywiałem się regularnie.

– W Charlotte, gdzie mieszka Leesum, jego mama nie pracuje codziennie i nie zawsze mają pieniądze – wyjaśniła Mary.

– Robi, co może – powiedział Leesum.

Znowu zaczęłam się zastanawiać nad słowami „dziwka”, „trawa” i „koks”.

– Mówiłaś, że Leesum mógłby zamieszkać u jakiegoś wielebnego? – spytałam.

– U wielebnego Perkinsa i jego żony. Oni przyjmują ludzi, którym się nie wiedzie. – Mary zaczęła sprzątać ze stołu. – Jubie i Stell Ann, doprowadźcie kuchnię do porządku.

Puddin, idź poczytać Daviemu. Leesumie, wyjmij ubranie z suszarki i chodź na górę.

Właśnie chowaliśmy ostatnie talerze do kredensu, kiedy otworzyły się drzwi wejściowe.

– Jesteśmy – zawołała mama. – Gdzie są wszyscy?

– W kuchni – wrzasnęłam.

Do kuchni weszła mama, wuj Taylor i Kay Macy Cooper. Mama zapaliła papierosa i naląka kawy do dzbanka. Sarah przemaszerowała bez słowa i zamknęła za sobą drzwi.

– Dobrze się bawiliście w Krainie Radości? – spytał wuj Taylor.

– Tak, proszę pana – odpowiedziałyśmy ze Stell chórem.

– Co się dzieje? – Mama ściągnęła usta w ciup.

– Nic – odparłyśmy.

– Akurat. Wy dwie coś kręcicie.

– Paulo, czy ty masz radar? – zapytała pani Cooper.

– Wyglądają, jakby obrabowały Fort Knox. – Mama postawiła popielniczkę na stole. – Co jest grane?

Już miałam się odezwać, gdy do kuchni weszła Mary.

– Dobry wieczór – powiedziała z niewzruszoną miną, jakby obecność kolorowego chłopaka na strychu była czymś całkowicie normalnym.

– Mary, co się stało Jubie i Stell Ann?

– One nie zrobiły nic złego. To wszystko moja wina i mogę to naprawić, nie potrzebuję pomocy. Chcę go tu tylko zatrzymać do czasu, aż kupimy mu bilet powrotny i...

– Chwileczkę – przerwał jej wuj Taylor.

– Kawy? – spytała mama, która postanowiła, że sobie poradzi. Bez względu na to, co Mary miała do powiedzenia, mama wypije kawę, wypali papierosa i zachowa spokój.

## Rozdział 10

Nazajutrz po rozmowie mamy z panią Feaster Mary przysłała do pracy i zachowywała się, jakby wszystko było w porządku, ale między nią a mamą wyczuwało się napięcie; mówiły tylko niezbędne rzeczy związane z pracą Mary. Chciałam, żeby znowu zaczęły się śmiać i żartować, ale po pewnym czasie przywykłam do tej chłodnej uprzejmości.

Meemaw miała nas odwiedzić w domu przy Queens Road West, którego nigdy nie widziała. W noc poprzedzającą jej przyjazd Mary pracowała do późna, nakrochmaлиła zasłony w bawialni i zwinęła, żeby je później wyprasować. Dywaniki rozwiesiła na sznurze do suszenia, wytrzepała miotłą, potem zaniosiła środki czystości do mieszkania nad garażem.

Nazajutrz sznur odkurzacza leżał na dywanie w salonie jak wąż, na sofie rozłożono świeżo wyprasowane półprzezroczyste jedwabne zasłony w kolorze kości słoniowej. Na maminy sosnowym stole w jadalni leżały wypolerowane sztucce. W porannym świetle lśnił srebrny serwis babci Bentley ułożony na wózku do herbaty. W powietrzu unosił się zapach pasty do polerowania srebra zmieszany z wonią piekących się ciast. W kuchni Mary zagniała chleb.

– Już wpół do dziesiątej. Czemu nikt cię wcześniej nie obudził?

– Mam szczęście. Gdzie mama?

– W salonie piękności. Zrób sobie płatki z mlekiem. – Mary skinęła głową w stronę spiżarni. –

Chciałabym, żebyś przyniosła mi coś z zamrażarki, kiedy już skończysz śniadanie.

– Dziś rano rządysz się bardziej niż mama.

– Chyba tak – odparła z zadowoleniem.

Wciągnąwszy brzuch, wcisnęłam się między kuchenny blat a deskę do prasowania, gdzie na prześcieradle leżał najlepszy obrus mamy, by nie stracił nieskazitelnej adamaszkowej bieli. Po przyszykowaniu płatków usiadłam przy blacie. Na kuchence bulgotał dzbanek.

– Chcę kawy – powiedziałam tylko po to, by sprawdzić, jak Mary zareaguje.

– Trzeba zahamować twój wzrost. – Wręczyła mi kubek do połowy wypełniony kawą i uzupełnioną mlekiem.

– Kiedy ostatnio widziałaś Meemaw? – spytałam, wsypując cukier.

– Może rok temu, kiedy zatrzymała się u twojej ciotki Rity.

– Dlatego, że ona i mama się kłóciły, tak?

– Gdzieś to słyszała?

– Wszyscy o tym wiedzą. – Łyknęłam kawy i dosypałam cukru.

– Nie wiem, czy się kłóciły, czy nie, ale rzadko się widywały, kiedy twoja babcia tu była. Od tamtej pory nie przyjeżdżała, tyle ja wiem. – Mary wyjrzała przez okno, kręcąc głową. – On jest synem jednej i mężem drugiej. Niedobrze, że kobiety się nie dogadują.

– Co mam przynieść z zamrażarki?

– Kwartę truskawek, funt bekonu, dwa pudełka kukurydzy. Chcesz to sobie zapisać?

– Kwarta bekonu, funt kukurydzy, dwa pudełka truskawek.

Wróciłam do kuchni z naręczem produktów. Mary wręczyła mi kartkę.

– Mama mówiła, że masz zrobić te rzeczy.

– Umyć okna w bawialni – jęknęłam. – Wyczyścić dywan w łączniku i frontowy chodnik. Najpierw przejechać odkurzaczem, potem zetrzeć kurze w salonie i gabinecie. – Listę wcisnęłam do kieszeni. – Zawsze mi przypomina o odkurzaniu przed ścieraniem kurzu, jakbym była kretynką.

– Moja mama zawsze mówiła, żeby najpierw ścierać kurze. Jajo i kura.

– Wiesz, dlaczego Meemaw musi mieszkać w gabinecie?

Mary uniosła brwi, wiedząc, że w moim pytaniu kryje się podtekst.

– A ty myślisz, że wiesz?

– Po to, żeby ona i mama nie musiały korzystać z jednej łazienki.

– Hmm. Lepiej weź się do robienia rzeczy z listy.

Spojrzałam na zegar nad kuchennym zlewem.

– Stell wie, jak się wykręcić od pracy.

– Po nauce Biblii musi wypolerować wszystkie srebra.

– Znacznie lepiej poleruje jabłka.

– Mhm. – Mary wręczyła mi płyn do mycia okien. Tego ranka postanowiła zachować bezstronność.

W bawialni nastawiłam radio na WGIV, kanał z muzyką jive, którego mama nie cierpiała. Umyłam okna, słuchając Chatty Hattie Show. W dywan na werandzie wgniotły się liście i trawa, a zanim skończyłam zamiatać, Mary przyszła na inspekcję.

– Wiem, że to trudne, ale musisz powtórzyć. Mama chce, żeby z tego dywanu znikły wszystkie plamy czerwonego błota.

Ponownie wyczyściłam dywan, udając, że jestem służącą zamożnej rodziny w Bostonie w 1850 roku. Nosiłam szare uniformy z długimi spódnicami i białe fartuszki z falbankami. Do pani zwracałam się „Tak, proszę pani” i dygałam. Nie wiedziała, że mam zamiar korespondencyjnie zaręczyć się z cichym i przystojnym kowbojem z nieujarzmionego Zachodu.

Mama wróciła z salonu piękności pachnąca płynem do płukania włosów, z bukietem mieczyków i chryzantem.

– Kurczę, mam, aleś ty śliczna.

– Dziękuję, Jubie.

– Co jeszcze zrobiłaś oprócz włosów?

– Woskowanie nóg, pedicure, manicure... – Kwiaty położyła na barze i poruszyła lśnącymi paznokciami. – Do tego twarz. Dziś rano zobaczyłam dołki na udach. Przez resztę życia z każdym dniem będą coraz bardziej oklapłe. Czuję, jak się trzęsą przy każdym kroku. – Z torebki wyjęła papierośnicę, wyciągnęła camela i postukała nim o bar. – Myślałam, że nigdy nie skończą w tym salonie. – Przy każdym słowie wydmuchiwiała dym. – Suszarka do włosów się zepsuła, więc stłoczyły nas i musiałyśmy na zmianę korzystać z dwóch pozostałych. – Kciukiem i palcem serdecznym zdjęła drobinę tytoniu z języka, odrzuciła i spojrzała na zegarek. – Pójdę się przebrać. Weranda i chodnik wyglądają dobrze. Bawialnia jest gotowa?

– Tak, proszę pani.

– Jubie, lepiej łap za odkurzac. Robi się późno.

– Uch.

– Nie ma sensu narzekać, młoda damo. Zrób wszystko, co jest na liście, albo nie dostaniesz kolacji.

Wpełzłam pod sofę i próbowałam włączyć odkurzac, mając nadzieję, że mama nie dowie się o kłębki kurzu, kiedy zawołała z kuchni: – Jubie, zanim zaczniesz, przynieś mi niebieski wazon z jadalni.

Zdjęłam wazon z górnej półki szafki w kącie, zdmuchnęłam kurz z kobaltowego kryształu, który lśnił jak szafiry na pierścionku mamy. Nigdy wcześniej nie pozwalała mi brać tego wazonu, więc nie wiedziałam, jaki jest ciężki. Tuląc go w ramionach, zaniósłam mamie.



Włączywszy odkurzacz, usiadłam na sofie i przesuwiałam rurą po dywanie. Kiedy mama wróciła do salonu, zerwałam się z sofy.

– Zostaw to i pomóż mi zabrać rzeczy do bawialni. – Trzymała niebieski wazon z kwiatami. Ruszyłam za nią z naręczem ręczników frotte i najlepszych perkalowych prześcieradeł.

W drzwiach gabinetu pojawiła się Stell.

– Trzeba wypolerować srebra i wyprasować obrus – powiedziała mama. – Jak było w Klubie Biblijnym?

– Wielebny Coonts ma nieświeży oddech.

– Nie powinno się mówić takich rzeczy o duchownym.

Stell zerknęła na paznokcie, które zeszłego wieczoru polerowała przez godzinę.

– Jeśli będę polerować srebra, zniszczę sobie paznokcie.

– Załóż gumowe rękawiczki. Do roboty, młoda damo.

Stell posłała mamie spojrzenie, za które ja dostałabym lanie, i wyszła z pokoju.

– Dokąd idziesz? – spytała mama.

– Przebrać się – odparła Stell, nie odwracając się.

– Estelle Annette!

Stell zatrzymała się, plecami do mamy.

– Co? Nie chcę zniszczyć dobrej bluzki.

– No, dobrze. Chodź, Jubie. Musimy to skończyć.

Mama postawiła wazon na środku stołu śniadaniowego w bawialni i ułożyła kwiaty.

Ręcznik kąpielowy powiesiła na wieszaku w łazience, po czym zaczęła chodzić po domu i dotykać rozmaitych przedmiotów.

– Co to jest? – Wskazałam na kieliszki do wina i karafkę z płynem na tacy w kuchence.

– Sherry – zmarszczyła nos mama. – Twoja babcia lubi wypić kieliszek przed snem. – Przyjrząwszy się oknom, stwierdziła: – Może być. Pokój wygląda dobrze, nie sądzisz?

– Jeśli Meemaw się nie spodoba, może zamieszkać w moim. Z radością będę tu spała.

– Cóż, cieszę się, że możemy zapewnić Cordelii prywatność. – Mama stanęła na środku pokoju, trzymając dłoń na podbródku. Nagle pstryknęła palcami, podeszła do szafy i rzuciła mi nierówną poduszkę. – Przynieś swoją poduszkę. Cordelia nie zechce spać na niczym innym niż gęsi puch.

Kiedy wróciłam z puchową poduszką, zobaczyłam, że mama przesunęła kwiaty na stole pod okno.

– Łapią światło – stwierdziłam.

– To zbyt eleganckie na bawialnię, ale Cordelia zrozumie, że poczyniliśmy przygotowania specjalnie dla niej. – Poprawiła miękki i dodała: – Twój ojciec nie może się skarżyć. Pamiętałam nawet o sherry.

Gdy schodziłyśmy po schodach, mama pociągnęła nosem.

– Weź prysznic, zanim się ubierzesz.

– Rano już się myłam.

– June, nie pachniesz jak dama.

Wzięłam prysznic, ale nie użyłam mydła. Potem włożyłam szarą wełnianą spódnicę, białą bluzkę z kołnierzykiem Piotrusia Pana, czerwony pasek pasujący do butów. Na koniec wyjęłam bajeczną broszkę od ciotki Rity i przypięłam pod szyją. Czerwone kamyczki migotały.

Siedziałam w fotelu, gdy Stell zeszła po schodach, wyglądając jak zwykle nienagannie. Nagle otworzyły się drzwi i do gabinetu wbiegła Puddin.

– Przyjechali! Tata i Meemaw.

Ruszyłam za Puddin do garażu. Tata właśnie otworzył drzwiczki auta i ujrzałam Meemaw, z twarzą ukrytą pod rondem brązowego kapelusza. Babcia podała rękę tacie, żeby pomógł jej wysiąść. Była

znacznie grubsza, niż zapamiętałam, a szczyt jej kapelusza nie sięgał mi nawet do ramienia.

– Jak się masz, June, ach i Carolina, dziewczynki, dziewczynki. – Meemaw uściśniła moją dłoń, a Puddin objęła babcię, przy czym jej chude rączki nawet w połowie nie ogarniały jej talii.

– Ależ, Carolino, nie jesteś już małą... A gdzie jest mój wnuk? Estelle, stoisz tam taka milcząca, prawdziwa dama. Ostatnim razem w głowie mi się kręciło od twojej paplaniny. – Pospiesznie się objęły. Były takiego samego wzrostu, choć nigdy nie zauważyłam, że Stell jest taka niska.

Tata ujął Meemaw pod łokieć i rzekł: – Chodź, mamó, wejdźmy do domu. – Dziwnie było słyszeć, jak nazywa kogoś mamą.

Mama powitała nas pod drzwiami gabinetu słowami: – Witaj, Cordelio. Jak miło cię gościć. – Dotknęły się policzkami.

– Wezmę pani kapelusz i płaszcz, pani Watts. – Mary wyszła zza mamy, ubrana w czarny uniform, wykrochmalony fartuszek i sztywny czepek na głowie podobny do bitej śmietany. Służąca prosto z filmu.

Bez filcowego kapelusza i wełnianego płaszcza Meemaw wyglądała łagodnie. Siwe włosy miała zebrane w gruby kok na czubku głowy, kosmyki opadały po obu stronach twarzy. W gabinecie usiadła w fotelu na sprężynach, opierając stopy na otomanie. Jej skórzane sznurowane buty na dużym podnóżku taty wyglądały jak buty lalki, a kostki tak nabrzmiały nad krawędzią butów, że miałam ochotę je dźgnąć.

Meemaw głośno westchnęła.

Tata odchrząknął i powiedział: – Paulo, może napijemy się kawy?

– Mary? – zawołała mama przez ramię. – Prosimy o kawę. W serwisie.

– Gdzie jest David? – zainteresowała się Meemaw. – Sądziłam, że... Musiał bardzo wyrosnąć.

– Śpi – powiedziałam.

– Prawdziwy z niego śpioch, tak?

– Zazwyczaj – odparłam. – David jest świetny.

Mama utkwiała wzrok w broszce połyskującej na mojej szyi. Ze zbolałym wyrazem twarzy zamknęła oczy, wygładziła jedwabną spódnicę w kolorze bursztynu, dotknęła złotego naszyjnika.

Mary weszła z tacą ze srebrnym serwisem. Wszystko postawiła na stoliku kawowym, po czym wyszła. Wolałabym, żeby została.

Mama naląła kawy do filiżanki i zwróciła się do Meemaw: – Śmietanki i cukru?

– Nie piję o tak późnej porze – potrząsnęła głową Meemaw.

– Jak przebiegła ci podróż, Cordelio? – spytała mama, podając tacie kawę.

– Byłoby dobrze, gdybyśmy dostawali to, za co płacimy. Tłuc się pociągami od wczesnego ranka...

Nikt nic nie powiedział, gdy Meemaw kołysała się lekko, z lampą do czytania za plecami, włosy jej lśniły.

– Miałaś wygodny przedział? – zapytał tata.

– Byłby wygodny, gdyby zostawili mnie w spokoju.

– Zarezerwowaliśmy ci prywatny przedział.

– Nie mogliście przewidzieć, że oni... Ludzie po prostu się wpychają. – Wszyscy czekali, aż dokończy, ale babcia siedziała tylko z dłońmi splecionymi na podołku.

– Chcesz powiedzieć, Cordelio, że inni ludzie siedzieli w twoim przedziale? – spytała mama.

– Trójka. Weszli i się rozgościli.

– Dlaczego nie powiadomiłaś o tym konduktora? – zapytał tata.

– To był jego pomysł. Spytał, czy miałabym coś przeciwko temu, by dosiadła się do mnie kobieta z dwójką dzieci. Jej ojciec umarł na serce, więc wybrała się, no wiecie, w podróż na pocieszenie. Co można było powiedzieć... Dali mi darmowy bilet na powrót. – Z torebki na podłodze wyjęła kartkę i podała tacie.

- Darmowy bilet. To bardzo miłe, mamó.
- Nie mogłam czytać ani spać. Wyglądała przez okno i płakała, w ogóle nie zwracała na nie uwagi.
- Płakałaś? – spytała mama.
- Nie ja, tylko matka – prychnęła Meemaw.
- Te dzieci były grzeczne? – włączyłam się do rozmowy.
- Chłopiec siedział obok mnie. Po prostu go posadziła, kopał w siedzenie.

Dziewczynka, mniej więcej w twoim wieku, June, śpiewała Tennessee Waltz i Some Enchanted Evening, bynajmniej nie cicho.

– Musisz być wykończona, Cordelio – stwierdziła mama. – Może ulokujemy cię przed kolacją? – Zwróciła się do taty: – Bagaże twojej matki są jeszcze w aucie?

– Mam tylko jedną sztukę. – Meemaw odchrząknęła. – Zawsze pakuję się skromnie.

– Przyniosę. – Tata zaczął wstawać.

– Nie ma potrzeby, Williamie. – Mama położyła mu dłoń na kolanie. – Stell i Jubie, zaprowadźcie babcię do jej pokoju. Zanieście jej torbę i pomóżcie jej się rozgościć. Obiad będzie za półtorej godziny, Cordelio, zdążysz nieco wypocząć.

– Ja też idę, Meemaw. – Puddin zerwała się na równe nogi. – Wszystkie twoje wnuczki pomogą.

Stell podała Meemaw rękę, by pomóc jej wstać. Pobiełam przodem.

– Weźmiemy walizkę. Chodź, Puddin.

Wyjęłam walizkę Meemaw z samochodu, zaniiosłam do bawialni i położyłam na półce na bagaże. Meemaw, stojąca na szczycie schodów, przytknęła dłoń do piersi i spytała: – Gdzie jest... toaleta?

– Drzwi w kącie – pokazałam.

– Muszę zażyć... na artretyzm. Powinam była to zrobić już wcześniej. – Zamknęła za sobą drzwi łazienki.

– Co to jest artretyzm? – Puddin usiadła na sofie.

– Jej stawy nie funkcjonują, jak należy – wyjaśniła Stell.

Drzwi łazienki otworzyły się i do pokoju chwiejnym krokiem weszła Meemaw, rozsiewając woń różanej wody kolońskiej. Otworzywszy walizkę, każdej z nas wręczyła zapakowaną paczuszkę.

– Proszę, dziewczynki. – Meemaw usiadła obok Puddin.

– Jak miło – powiedziała Stell, otwierając kopertę, przyklejoną do prezentu taśmą. Na karcie widniało wydrukowane błyszczącymi literami słowo „Wnuczka”. W paczusce Stell znajdowała się srebrna bransoletka z zawieszka.

– Och! Cudowna! – Stell zerwała się, by uściskać babcię.

– Na gwiazdkę i urodziny będę ci dawać amulety.

– Teraz ja! – Puddin szarpała opakowanie, ale Stell upomniała siostrę: – Najpierw karta, Puddin.

– Ups. – Puddin przeczytała kartę i wymamrotała: – Dziękuję – po czym rozdarła paczuszkę. Na podłogę posypały się wstążki do włosów w pastelowych kolorach. – Meemaw!

Skąd wiedziałaś, że mam już długie włosy?

– Spytałam Ritę. Jutro zaplotę ci warkocz. – Meemaw oparła się na sofie. – Teraz ty, June.

Najpierw przeczytałam kartę. Meemaw wypisała drobnym maczkiem: „Na górze róże, na dole fiołki, my się kochamy jak dwa aniołki”. W środku dopisała: „To ci pomoże”.

Chociaż nie byłam pewna, co miała na myśli, powiedziałam: – Dziękuję, Meemaw.

Babcia podarowała mi puszkę dezodorantu w proszku oraz dwa metalowe prety zakończone haczykami.

– Co to jest?

– Szydełka. Nauczę cię szydełkowania podczas mojego pobytu. Na puszcze jest instrukcja.

– Umieć używać talku.

– Przeczytaj, to zobaczysz. – Meemaw wymościła się na poduszkach sofy, zamknęła oczy i westchnęła.

– O, Boże. Niech jedna z was... sznurowadła.

Stell i Puddin uklękły i rozsznurowały jej buty, a ja pomogłam babci wygodnie się wyciągnąć. Potem okryłam ją kraciatym kocem z otomany. Zanim doszliśmy do połowy schodów, chyba już spała.

Siedząc przy toalecie, przeczytałam instrukcję na puszcze z talkiem. „Używać szcudrze pod pachami i w intymnych częściach ciała, aby zapobiec przykrej woni oraz niepokojącym wysypkom. Puder zawiera esencję z gardenii, dzięki czemu jest dyskretnie kuszący”. Czy Meemaw uważała, że moje ciało wydziela przykrą woń? Puskę schowałam do szuflady toaletki, myśląc o zamieszaniu, jakie ludzie robili wokół zapachu ciała. Mama mówiła czasem Mary, żeby używała więcej dezodorantu, ale zapach Mary mi się podobał, niezależnie od tego, czy pachniała mydłem, potem czy talkiem Cashmere Bouquet.

Właśnie cesałam włosy, gdy z dołu dobiegł głos mamy wzywający Puddin, Stell i mnie do jej sypialni. Mama zamknęła drzwi, usiadła na skraju łóżka i strzepnęła papierosa do popielniczki na nocnym stoliku.

– Zachowujcie się najlepiej, jak potraficie. Bądźcie grzeczne. Pamiętajcie o widelcach, wykładamy wszystkie trzy. Łyżka u szczytu nakrycia...

– Do deseru – powiedziała Stell.

– Tak jest. I nie wściekajcie się na Daviego, jeśli coś wyleje. Jubie, na miłość boską, skąd wytrzasnęłaś tę broszkę? Podejdz do mnie.

– Dostałam od ciotki Rity.

Mama odpięła mi broszkę.

– Przynieś krótki sznur pereł z pudełka z biżuterią.

Posłusznie wręczyłam mamie perły i patrzyłam w lustro, jak mi je zakłada.

Wyglądałam, jakby ubrała mnie Stell Ann.

– Zachowujcie się najlepiej, jak potraficie. – Mama zgasiła papierosa. Puddin wdrapała się na jej kolana i powiedziała: – Będę najgrzeczniejszą dziewczynką na świecie. – Mama ucałowała jasne loki Puddin, która wpięła we włosy jedną z nowych wstążek zawiązaną na kokardkę.

– Wiem, Puddinku – powiedziała. Nie pamiętam, żeby mnie kiedykolwiek pocałowała czy przytuliła w ten sposób.

Mama postawiła Puddin na podłodze, z szuflady nocnego stolika wyjęła miętówki Sen-Sen i wrzuciła jedną do ust.

– Cordelia wie, że palę, ale tego nie aprobuje, a ja chcę, żeby myślała o tym jak najmniej. – Mama spryskiwała się wodą toaletową Old English Lavender, kiedy w drzwiach stanął tata z drinkiem w dłoni.

– Który to już, Bill?

– Nalałam sobie tylko słodkiego drinka przed jedzeniem. Nie kłóćmy się, dobrze?

– Dobrze, Billy Boy. Jak mogę być niegrzeczna wobec twojej matki, skoro nie mam pojęcia, co mówi?

– Uśmiechnęła się krzywo do taty i dodała: – Doprawdy – dokładnie takim tonem jak Meemaw.

Ruchem głowy Stell dała mi do zrozumienia, żebym ruszała. Wzięłam Puddin za rękę i wyciągnęłam ją za drzwi. W holu Stell powiedziała: – Panie, dopomóż nam przetrwać tę noc.

Weszliśmy do salonu. Stell usiadła na sofie, skrzyżowała nogi w kostkach, ugrzecznionym gestem poprawiła spódnice tak, by zasłaniała jej kolana, jak zwykła czynić, kiedy się denerwowała. Na przegubie miała nową bransoletkę. Zająłam miejsce w fotelu, Puddin wcisnęła się obok mnie i spytała: – Dlaczego Meemaw nazywa nas June i Caroline zamiast Jubie i Puddin?

– Starsze panie nie używają przezwoisk.

Mary zapaliła świece na stole.



– Druga pani Watts jeszcze się nie pojawiła. Ktoś powinien po nią pójść.

– Jubie, idź powiedziec babci, że kolacja jest gotowa – poleciała mama, wchodząc do salonu.

Kiedy zapukałam do drzwi mieszkania nad garażem, rozległ się starczy, wysoki głos Meemaw: – Wejdz.

– Hej, Meemaw, kolacja podana.

– Może zaczniecie beze mnie? – Meemaw, przykryta kraciatym kocem, siedziała na sofie dokładnie w takiej pozycji, w jakiej ją zostawiłyśmy, tyle że karafka na stoliku do kawy była do połowy opróżniona.

– Wolelibyśmy na ciebie zaczekać.

– Może lepiej przynieś mi tacę. Jestem wykończona po podróży i wspinaniu się na te schody.

– Mama pomyślała, że byłoby ci najwygodniej w tym pokoju, bo ma własną łazienkę.

Pomogę ci na schodach. Mogłybyśmy opracować sygnał...

– June, jestem zbyt zmęczona, żeby... Po prostu przynieś mi tacę. Jestem starą kobietą.

– Tak jest.

– Niezbyt dużo jedzenia, mam delikatny apetyt.

Idąc przez garaż, zapragnęłam wyjść na ulicę, przejść skrótem tylnymi podwórkami do domu Maggie i ukryć się pod jej łóżkiem. Kiedy weszłam do jadalni, tata zapytał: – Gdzie mama?

– No i...? – rzuciła mama w tym samym momencie.

– Meemaw poprosiła, żebyśmy przygotowali dla niej tacę. Nie czuje się najlepiej.

– Nie do wiary – stwierdziła mama.

– Powiedziała, że te schody to dla niej za duży wysiłek – dodałam.

– W jej mieszkaniu sypialnia jest na piętrze.

– Jest chora? – spytał tata, odsuwając krzesło i wstając.

– Wiedziałam, że wykręci jakiś numer – powiedziała mama.

– Jest stara i zmęczona. Niczego nie wykręca.

– Ma zaledwie sześćdziesiąt siedem lat. Poza tym nigdy mnie nie lubiła, dobrze o tym wiesz.

– Och, daj spokój, ona tylko...

– Nigdy nie zwraca się do mnie po imieniu, zauważyłeś?

Davie uderzył srebrnym kubeczkim o blat swojego wysokiego krzeselka. Stell wbiła wzrok w talerz.

Tata stał w progu gabinetu z lnianą serwetą w dłoni.

– Naprawdę myślę, że powinienem pójść i zobaczyć...

– Ona właśnie tego chce – powiedziała ostrym tonem mama. W oczach miała łzy.

Tata cisnął serwetę na stół.

– Wolę skórkę chleba w spokoju niż ucztę podczas walki. – Wypadł z pokoju.

– Dokąd idziesz? – zawołała za nim mama.

– Szukać spokoju. – Drzwi łącznika trzasnęły.

– Chce pani, żebym zniosła tacę drugiej pani Watts? – zapytała Mary, wchodząc do jadalni.

Rozległ się trzask drzwiczek samochodu taty.

– Nie obchodzi mnie to. – Mama wstała. – Nic mnie to nie obchodzi. – Wyszła z jadalni.

– O, Boże – szepnęła Stell.

Tata z piskiem opon wyjechał na Queens Road West.

– Meemaw mówiła, że nie chce zbyt dużo jedzenia – zwróciłam się do Mary.

– Dużo? Hmm. – Ruszyła do kuchni.

– Jestem głodna – powiedziała Puddin.

Davie uderzył rączką w krzeselko.

Przesiadłam się na miejsce taty i pokroiłam szynkę. Stell polewała sosem ananasowym plastry na



podawanych przeze mnie talerzach. Nałożyłam Puddin solidną porcję zupy kukurydzianej, bo wiedziałam, że ją uwielbia, a Stell rozdzieliła zieloną fasolę, którą mama ugotowała specjalnie dla Meemaw. Kolację zjedliśmy przy świecach, krople wody spływały po kryształowych kieliszkach i zbierały się na srebrnych podkładkach. Płomienie świec zachybotwały się, kiedy Mary przeszła przez jadalnię z tacą przykrytą lnianą ściereczką.

## Rozdział 11

Mary weszła z Leesumem do kuchni wuja Taylora. Chłopak znowu miał na sobie własne ubrania, które nawet po wypraniu prezentowały się bardzo lichy. Leesum stał bosy, wyschnięte włosy sterczały mu na głowie jeszcze bardziej niż przedtem.

– To jest Leesum Fields z Charlotte – przedstawiła go Mary. – Rano obetnę mu włosy.

Nikt się nie odezwał nawet słowem.

– Albo dziś wieczorem.

– Byłoby miło – zauważyła mama. – Ale co on tutaj robi?

– Leesum należy do mojej kościelnej rodziny. Ma kłopoty, wpadliśmy na niego przypadkiem, nie chciałam go zostawić, musimy mu pozwolić tu spać, zanim...

– Mary! – Mama wzięła Mary za rękę. – Uspokój się. O czym ty mówisz?

– W wesołym miasteczku, my... On jest synem kobiety z mojego Kościoła. Nie ma gdzie spać, nie ma co jeść. Ma dopiero piętnaście lat. Może spać na sienniku na podłodze...

– Proszę, żebyście wszyscy usiedli – odezwała się Kay Macy Cooper.

– Wy dwie nie – zwróciła się mama do mnie i do Stell. – Idźcie oglądać telewizję. Albo połóżcie Puddin i Daviego spać. Cokolwiek. Tylko tu nie wchodźcie.

Godzinę później mama poszła do siebie i zamknęła drzwi. Wtedy ujrzałam, że Mary posadziła Leesuma na stołku na patio za domem, wokół szyi obwiązała mu prześcieradło.

– Wolałbym widzieć, co robisz – powiedział Leesum, kiedy Mary obcinała mu strąki włosów.

– A ja wolałabym mieć nożyczki fryzjerskie. Pomada też by się przydała, skoro już o tym mowa.

Stell przeszła przez patio w drodze do domku na plaży.

– Mogę zostać i popatrzeć? – spytałam Mary.

– Tak, jeśli Leesum nie ma nic przeciwko temu.

– W porządku. – Próbował na mnie spojrzeć, ale Mary unieruchomiła mu podbródek.

Mary trzymała grzebień do modelowania i kuchenne nożyce. Grzebień wbijała w splecione włosy Leesuma i zanim je obciąła, jak najdalej odciągała je od głowy. Leesum odprowadzał wzrokiem włosy opadające na posadzkę patio.

– Obetniesz mnie na łyso?

– Wyrównam. Myślę, że będziesz zadowolony.

– Z radością pozbędę się tych kudłów.

Mary zdjęła z Leesuma prześcieradło i wytrzepała na wietrze od zatoki.

Obawiałam się, że włosy już mu nie odrosną; sterczały na jego głowie jak szczotka ryżowa.

Mary wyjęła z kieszeni nylonową pończochę.

– Przed pójściem spać porządnie zmocz głowę. Potem naciągnij tę pończochę i śpij w niej.

Leesum przytaknął, jakby wiedział wszystko o nylonowych szlafmycach.

– Przyniosę miotłę, żebyś mógł tu zamieść. – Mary poszła przez patio do kuchni.

Leesum popatrzył na zatokę, niebieskawozieloną w zapadającym zmierzchu.

– Jutro obudzę się przed wszystkimi, żeby wejść do tej wody. Od dawna chciałem, ale pan McCurdy nigdy nie dawał mi wolnego, mówił, że nie ma tu plaży dla kolorowych. Ale i tak pójdę. – Przez cały

czas wpatrywał się w zatokę, nie patrząc na mnie.

Usłyszałam kroki Mary wracającej z kuchni.

– Poskrob w moją żaluzję. – Wskazałam domek przy plaży. – Pójdę z tobą.

O wpół do siódmej rano Leesum poskrobał w żaluzję. Chwyciłam kostium kąpielowy, pomachałam do niego i poszłam do łazienki. Kiedy wychodziłam z domku, Stell i Sarah jeszcze smacznie spały. W świetle poranka ujrzałam wysoką sylwetkę czekającego Leesuma.

– Hej – pozdrowił mnie. Kręcone włosy leżały gładko i schludnie. Mary spisała się na medal.

– Gdybyś mnie nie zbudził, nadal bym spała.

– Ranny ze mnie ptaszek.

Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź, więc tylko rzuciłam się pędem przez wydmy.

– Chodź!

Zanim dobiegliśmy do wody, Leesum się zatrzymał.

– Dobrze pływam. – Oczy miał duże i okrągłe, skórę płową. – Ale nigdy nie wchodziłem do oceanu.

– Dziś rano jest spokojny. Łatwo się unosić na wodzie, kiedy przekroczysz grzywacze.

– Co to takiego?

– Piana na falach.

– Wejdz pierwsza. – Leesum przyglądał się wodzie. – Ja trochę popatrzę.

Dałam nura w fale, wychyłam za nimi, stanęłam w wodzie po pierś i ruchem ręki przywołałam Leesuma. Pobiegł ku mnie, naśladując mnie we wszystkim, wyprostował ręce nad głową i dał nura w fale. W końcu wynurzył się przy mnie, parszkając wodą.

– Nie mówiłaś nic o soli.

Z szerokim uśmiechem odpłynęłam od niego. Leesum ruszył za mną i zobaczyłam, że naprawdę dobrze pływa. Przekreśliłam się na plecy.

– Widzisz, jak łatwo jest się unosić w słonej wodzie.

Leesum rozprostował ręce i nogi.

– To jest coś. W Catawba, gdzie chodzę pływać, nie można się unosić.

W milczeniu dryfowaliśmy na wodzie. Mogłam tak bez końca unosić się na morzu z Leesumem. On pierwszy przerwał czar.

– Panno Jubie?

– Na Boga, mów do mnie Jubie.

– To nie jest w porządku.

– Dlatego, że jestem biała?

– Tak, psze pani.

– Nie mów do mnie pani. Jesteś starszy niż ja.

– Niektóre rzeczy mają znaczenie. – Dreptał w wodzie, zwrócony twarzą do mnie.

– Mów do mnie Jubie, kiedy jesteśmy sami, dobrze?

– Dobrze, panno... Dobrze, Jubie. Mogę cię o coś spytać?

– Jasne.

– Czemu masz takie posiniaczone nogi?

Jego pytanie zdziwiło mnie nie mniej niż moja odpowiedź.

– Tata mnie zbił.

– Za co?

– Za przeczytanie dziennika Stell jej chłopakowi.

– Co to jest dziennik?

– Zeszyt, gdzie zapisuje się własne myśli. Zrobiłam coś okropnego.

– Przecież nie złamałaś przykazania.

Zaśmiałam się. Leesum mówił, że to, co zrobiłam, nie było aż takie złe.

– Co cię tak śmieszy?

– Nic takiego. Czy Leesum to twoje przezwisko?

Zanurkował. Musnął moje stopy i wynurzył się za mną, parszkając jak wieloryb.

– Mama dała mi to imię. Powiedziała, że jestem czymś najbliższym nieba, więc nazwała mnie Leesum.

Rozumiesz?

– Nie.

– Leesum Fields. Inna nazwa nieba. Raj. Coś w tym rodzaju.

– Powiedziałaś Mary, że twoja mama jest dziwką.

– I co z tego? – Twarz mu stężała.

– Ja... To nie ma sensu. Co to jest dziwka?

– Panno June, Jubie, ty i ja żyliśmy w dwóch różnych miejscach. Ja tu, na ziemi, ty na księżycu. –

Znowu zanurkował i nie wypływał tak długo, aż zaczęłam się niepokoić. W końcu wynurzył się piętnaście czy dwadzieścia metrów dalej, kopiąc nogami i parszkając wodą.

Płynął mocno zmiennym stylem, w końcu zatoczył pełen krąg i wrócił do mnie silnym, rytmicznym motylkiem, podwójnie uderzając nogami o wodę. Muskularne ramiona lśniły w słońcu. Kiedy zbliżył się do mnie, oddychał ciężko.

– Gdzieś ty się nauczył latać?

– Pracowałem w Rozelle's Ferry House, gdzie pewien chłopak, student z J. C. Smith mnie nauczył – wydyszał Leesum. – Powiedział, że mam wrodzony talent. – Wyciągnęłam rękę, żeby dotknąć jego włosów, wyglądających dziwnie sucho. Leesum cofnął się gwałtownie.

– Chciałam sprawdzić, czy twoje włosy są tak suche, jak wyglądają.

– Oczywiście, że nie są suche. Po prostu nie przylegają do głowy jak twoje.

– Mogę ich dotknąć? Proszę.

– No, dobra, skoro mnie tak ładnie prosisz.

Jego włosy były wilgotne i miękkie. Sądziłam, że okażą się szorstkie jak druciak do szorowania.

– Więc co to jest dziwka?

– Wiesz, kto to jest prostytutka?

– Czyli twoja mama... – Zszokowana, nie byłam w stanie dokończyć.

Leesum wzruszył ramionami.

– Urodziłem się, kiedy miała siedemnaście lat, dziś ma dopiero trzydzieści dwa.

Opiekowała się mną najlepiej, jak mogła, nie chciała mnie oddać do sierocińca.

– A trawa i koks?

– Marihuana i kokaina. Nigdy nie brałaś?

– Nie – pokręciłam głową. – Nie, nie, nie, NIE!

– Co by zrobił twój tata, gdyby cię przyłapał na paleniu trawy albo wciąganiu koksu?

– Zabiłby mnie!

– A to drań. – Leesum znowu zanurkował i wynurzył się parę metrów dalej.

Usłyszałam głos Daviego i zobaczyłam, że bawi się na falach z Mary, która raz po raz zanurzała go w płytkiej wodzie. Ilekroć zbliżała się fala, z krzykiem przez nią przeskakiwali.

Mary zrzuciła buty. Jej uniform zamoczył się do połowy ud.

– Hej, Jubie! – powitała mnie, kiedy do nich dotarłam. – Zbudowaliśmy zamek z piasku. – Spojrzała za mnie. – Pływałaś z tym chłopakiem.

Zerknęłam przez ramię na Leesuma, który brnął do nas w płytkiej wodzie.

– Przyszliśmy wcześniej.

– Mhm. Chyba nikt inny by z nim nie poszedł.

– Mary! Muszelka. – Davie chwycił Mary za rękę.

Leesum i ja zaczęliśmy zbierać muszle. Całą grupą wypuściliśmy się poza plażę wuja Taylora. Mary kopała dłońmi w mokrym piasku w przybrzeżnej wodzie, gdy podeszła pani Willingham.

– Uważaj, Mary. To jest plaża dla białych. – Mary wyprostowała się i wyszła z wody.

– Tak, proszę pani. – Rozejrzała się po plaży, gdzie prócz nas nie było nikogo.

– Ja nie mam nic przeciwko temu – zapewniła pani Willingham. – Ale inni mogliby się zdenerwować, gdyby zobaczyli ciebie albo tego chłopca.

– Tak, proszę pani.

– Poza tym powinien coś na siebie włożyć. Jest prawie goły. – Spojrzała na Leesuma jak na robaka, którego ma się ochotę rozdeptać.

– Powiem mu.

– Rozumiem, że Taylor odsyła go dziś do domu?

– Tak, proszę pani, organizujemy to – odparła Mary, patrząc na mnie.

– To dobrze. – Pani Willingham posłała nam fałszywy uśmiech. – Prawo jest prawem.

Miewaliśmy tu kłopoty z ludźmi, którzy zapominali, kim są, więc będzie lepiej, jeśli nie będziemy mieszać pewnych spraw. – Spojrzała na muszlę w dłoni Mary. – Bardzo ładna.

– Na zamek. – Mary włożyła buty. Przez resztę tygodnia już nie wyszła za płot, nie zzuła też butów.



## Rozdział 12

Kiedy przyszedłam z domku na plaży, wuj Taylor rozmawiał z mamą o Leesumie.

– On nie może tu zostać, Taylorze.

– Wiem, ale chcę mu pomóc.

– Jak? Zaadoptujesz go? – Mama z trzaskiem otworzyła i zamknęła zapalniczkę. – Mary zadzwoni do swojego pastora, kaznodziei, ktokolwiek to jest. Wszystko już załatwione.

Mama nie miała pojęcia, jak bardzo smucił mnie wyjazd Leesuma. Przez całe lato chciałam poznać miłego chłopca, ale wszyscy których spotykałam, okazywali się drętwi albo obleśni. I oto pojawił się Leesum o tajemniczych zielonych oczach, złotej skórze, z kręconymi włosami, które po zanurzeniu w zatoce wyglądały, jakby były całkiem suche.

Po śniadaniu wuj Taylor zabrał Leesuma do bazy marynarki, żeby kupić mu ubranie i torbę na podróż do Charlotte. Nie mieliśmy już okazji porozmawiać. Poszłam do kuchni i spytałam Mary: – Czy Leesum wraca do Charlotte?

– Tak. Porozmawiam z wielebnym Perkinsem. O nic się nie martw, chłopak sobie poradzi.

– W porządku. – Po wyjściu z kuchni poszłam do gabinetu wuja Taylora, gdzie wcześniej widziałam słownik. Z ciężkim tomem na kolanach usiadłam w fotelu i sprawdziłam synonimy „nieba” i „raju”.

\*

Siedziałam na wilgotnym piasku, przesypując go przez palce i formując w stożkowate wieżyczki, które po chwili rozmywały fale. Od strony wydm nadeszła Sarah i się przywitała.

Rozłożyła koc niedaleko mojego ręcznika i sięgnęła po lornetkę zawieszoną na szyi.

Zaskoczona jej przyjaznym nastawieniem, wstałam i podeszłam.

– Hej.

Włosy miała ściągnięte w węzeł, uszy sterczały nad chudą szyją i kościstymi ramionami. Ubrana była w kostium kąpielowy i obszerne bermudy, zakrywające patykowate nogi.

– Nie pamiętam, żebyś nosiła okulary – powiedziałam.

– Mam je dopiero od sześciu miesięcy.

– Tak szybko popsuł ci się wzrok?

– Od dawna byłam krótkowidzem, ale dopiero pani Cooper to zauważyła.

– W jaki sposób?

– Bez przerwy na coś wpadałam. Tata myślał, że jestem niezgrabna, dopiero pani Cooper... – Poprawiła okulary. – Przepraszam, że byłam nieznośna.

– Nic nie szkodzi. – Wyglądziłam ręcznik plażowy.

– Po prostu nie chcę o tym rozmawiać. – Mówiła tym samym kategorięcznym tonem co mama. – Spójrz tam. – Sarah wręczyła mi lornetkę i wskazała panią Willingham odpoczywającą na płóciennym leżaku.

– Co ona je? – Wyostrzyłam lornetkę.

– Słodycze.

Nie przychodziło mi do głowy nic nudniejszego niż przyglądanie się grubej kobiecie wcinającej słodycze. Oddawszy lornetkę, opowiedziałam Sarah, jak wstrętna była dziś rano pani Willingham dla

Mary i Leesuma.

– Ona potrafi być okropna, ale tata zawsze staje po jej stronie.

Pominięłam część o pływaniu z Leesumem. Ja też nie chciałam rozmawiać o pewnych sprawach. Z głową opartą na rękach, pozwalałam słońcu ogrzewać moje plecy i myślałam o chłopaku.

– Wyjmuję z torby colę – poinformowała Sarah. – Powinnaś zobaczyć jej leżak. Cały jest poplamiony.

– Sarah Dolores! – rozległ się gromki głos.

Oślaniając oczy od słońca, podniosłam głowę. Nad nami stał wuj Taylor.

– Śledzicie panią Willingham?

– Patrzyłyśmy, jak je słodycze – wyjaśniłam.

Wuj Taylor przytknął lornetkę do oczu. W mundurze – w koszuli khaki z krótkim rękawem i spodniach – stał jak oficer na pokładzie okrętu, ustawiał ostrość i lustrował plażę.

– Patrol śmieciowy.

Sarah jęknęła.

– Co to jest patrol śmieciowy?

– Sarah ci pokaże.

– Ile? – spytała Sarah.

– Nasza, jej i ich – odparł wuj Taylor, pokazując na zachód.

– Nie zrobiłyśmy jej krzywdy.

– Naruszyłyście jej prywatność.

– Przecież ona siedzi na plaży, gdzie wszyscy mogą ją zobaczyć.

– Coś ci powiem. Pójdź do niej, usiądź obok i się jej przyglądaj.

– Jubie właśnie mi powiedziała, co pani Willingham zrobiła...

– Porozmawiamy o tym później – przerwał jej wuj Taylor.

– A jeżeli mnie zapyta, czemu sprzątam jej plażę?

– Powiedz, że to z miłości do sąsiadów.

Kiedy wujek Taylor zbierał się do odejścia, rzuciłam: – Myślałam, że masz biały mundur.

– Mam biały mundur galowy. Gdzie go widziałaś?

– W salonie mamy zdjęcie.

– Pewnie z uroczystości ukończenia akademii.

– Ten, który masz na sobie, też mi się podoba.

– Dziękuję, panno June. – Zdjął kapelusz i skłonił się przede mną. Patrzyłam, jak wraca do domu, stawiając zamaszyste kroki, żeby piasek nie nasypał mu się do lśniących butów.

– Kiedy skończymy, tata zrobi inspekcję. Jeśli znajdzie choćby wykałaczkę, każe nam sprzątać kolejny kawał plaży.

Poszłyśmy do kuchni po torby na śmieci i rozejrzałam się za Leesumem, ale nigdzie go nie było.

Opakowania po krakersach, niedopałki, butelki po napojach, zakrwawiony plaster opatrunkowy. Owinąwszy palec papierkiem po cukierku, podniosłam plaster i wrzuciłam do torby.

– Dostaniesz lanie? – spytałam Sarah – Za co?

– Za szpiegowanie pani Willingham.

– Karą jest patrol śmieciowy.

– Tata nigdy cię nie bije?

– Czasem grozi, ale nigdy tego nie robi.

Na białym kuchennym stole rozłożono żółte talerze na lunch. Obok miski z sałatką colesław stał duży talerz z kanapkami z żytniego chleba z szynką, na małym stoliczku – talerz z plasterkami kantalupa i melona oraz koszyk pełen chipsów kartoflanych, pomidory, żółta solniczka i pieprzniczka. Idealny obraz uroczego

lunchu. Wrzuciłam lód do szklanek, Sarah zawołała wszystkich do stołu, Mary stanęła za mną i zaczęła nalewać herbatę.

Wujek Taylor włączył wentylator na strychu i otworzył drzwi na werandę, więc kiedy siadaliśmy, serwetki furkotały. Mary i Leesum zabrali swoje talerze na werandę. Wszyscy pochyliliśmy głowy, wuj Taylor zmówił modlitwę. Spod przymrużonych powiek zerkiałam na Leesuma. Oczy miał zamknięte, dłonie złączył pod brodą. Modlitwę traktował poważnie.

Podczas lunchu prawie nikt się nie odzywał. Kiedy skończyliśmy, Sarah zapytała ojca: – Czy teraz mogę ci opowiedzieć, co zrobiła pani Willingham?

– Tak. – Wuj Taylor odwrócił się do Sarah, poświęcając jej całą swoją uwagę. Mój tata nie słuchałby mnie dłużej niż minutę.

– Mary tylko szła po plażę, ale pani Willingham kazała jej się zatrzymać, powiedziała, że Leesum musi się ubrać i pewne sprawy powinny pozostać oddzielone.

– Kiedy to było?

– Kiedy, Jubie? – zwróciła się do mnie Sarah.

– Dzisiaj wczesnym rankiem. – Patrzyłam w talerz.

– Byłaś tam? – spytał mnie wujek Taylor.

– Tak. Zbieraliśmy muszelki na zamek z piasku.

– Ty i kto jeszcze?

– Ja, Davie, Mary i Leesum. Mary weszła do wody na plaży pani Willingham.

– Co miał na sobie Leesum?

– Szorty.

– Czy to prawda, Leesumie? – Wuj Taylor przesunął krzesło, by zwracać się do Leesuma.

– Tak, proszę pana.

– Wszedłeś do zatoki?

– Na chwilę. – Leesum spojrzał na mnie.

– Czy pani Willingham widziała cię w wodzie?

– Chyba nie. Przynajmniej nic o tym nie mówiła.

– Co powiedziała pani Willingham? – zwrócił się do mnie wuj Taylor.

– Że Mary nie powinna wchodzić do wody, bo to niezgodne z prawem.

Wuj Taylor wziął serwetę z kolan i otarł usta.

– Pani Willingham jest samotną kobietą, która ma za dużo wolnego czasu. Boi się Murzynów. Martwi się o to, by jej posiadłość nie straciła na wartości. – Tata nigdy nie wyjaśniał niczego tak jak wuj Taylor, nigdy nie mówił do nas jak do dorosłych.

Wuj Taylor odwrócił się na krzesło i powiedział do Leesuma i Mary: – Przykro mi z powodu tego, co się stało. Ona ma rację, jeśli chodzi o prawo, ale większość tutejszych mieszkańców ma dość swobodny stosunek do pracowników. – Odchrząknął. – Mary, co powiedział twój pastor, kiedy zadzwoniłaś?

– Z radością przyjmie Leesuma na pewien czas. Dzisiaj o piątej po południu odjeżdża autobus, będzie w Charlotte jutro w nocy. Wielebny Perkins wyjdzie na dworzec.

Tak więc klamka zapadła. Miałam nadzieję, że Leesum wie, jak mi przykro z powodu jego wyjazdu.

Po południu mama, wuj Taylor i Kay Macy Cooper wybierali się z panią Willingham na brydża do klubu oficerskiego.

– Ona jest niesamowitą brydżystką – zachwycił się wuj Taylor. Mama jęknęła.

– Jesteś zbyt miły, Taylorze – stwierdziła pani Cooper. – Po prostu dopisuje jej szczęście. Ten podwójny impas, który wykonała w zeszłym tygodniu...

– Ona liczy karty. To umiejętność.

– Dlaczego ty jej bronisz?

– Szyper Willingham niejedyn raz uratował mi skórę. Wdowa po nim to kapryśne babsko, ale ja się o nią troszczę.

Wuj Taylor chciał odwieźć Leesuma na dworzec autobusowy, ale kolidowałyby to z ich planami, poza tym Stell miała dziką ochotę poprowadzić packarda.

– Poradzisz sobie, Stell Ann – powiedział wuj Taylor. – Będzie jasno jak w dzień. Weź ze sobą Mary i Jubie, niech Mary wysiądzie z Leesumem i kupi mu bilet. Ty i Jubie zamknijcie się w samochodzie. W razie kłopotów poszukaj policjanta, żandarma wojskowego, kogoś w mundurze. Wszyscy mnie znają.

Długo się szykowałam na wyprawę do miasta. Żółty kostium świetnie wyglądał przy mojej opaleniznie, a włosy tym razem zachowywały się dokładnie tak, jak sobie tego życzyłam. Przejrzawszy się w lustrze, stwierdziłam, że jestem ładna. Bardzo chciałam usiąść z tyłu razem z Leesumem, ale to było wykluczone. Znałam reguły i nie cierpiałam ich.

Podczas jazdy przez zatokę do Pensacola zerkałam na Leesuma i przyłapywałam go na tym, że on też na mnie patrzy. Lubił mnie tak, jak ja jego.

Na dworcu roіło się od marynarzy. Kiedy Stell zatrzymała się przed wejściem, wysiadłam, a ona wrzasnęła – tego właśnie się spodziewałam: – Dokąd idziesz?

– Do środka z Mary, żeby się należycie pożegnać z Leesumem.

– Wykluczone! Powiem mamie.

– Zaopiekuję się nią, Estelle Annette – zapewniła Mary. Kiedy posługiwała się naszymi pełnymi imionami, miała posłuch.

Na dworcu Mary zwróciła się do nas: – Pójdźcie tymi drzwiami do autobusów, a ja kupię bilet.

Leesum i ja skierowaliśmy się do podwójnych drzwi z napisem ODJAZDY. Obok drzwi widniał napis MURZYNI WSIADAJĄ NA KOŃCU. Staliśmy tam, dotykając się grzbietami dłoni i patrząc na siebie, jakby wszystko było w jak najlepszym porządku.

– Twoje imię rzeczywiście oznacza niebo. Elizjum albo pola elizejskie. Sprawdziłam.

– Ciekawe, gdzie mama to usłyszała.

– Może w kościele.

– Jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem – powiedział Leesum.

Nie przyszła mi do głowy żadna odpowiedź.

– Pewnie już cię nie zobaczę, ale nigdy o tobie nie zapomnę.

– Ja o tobie też nie.

– Jeśli chcesz, możesz do mnie napisać list albo coś w tym rodzaju.

– Gdzie? – Próbowałam ukryć radość.

– Kościół baptystyczny przy ulicy McDowell w Charlotte.

– Dobrze.

– Wiesz, że nie mogę ci odpisać.

– Tak.

– Umiem pisać, ale nie wolno ci dostawać ode mnie żadnych listów.

– Wiem.

– Autobus odjeżdża za dziesięć minut – powiedziała Mary, klepiąc mnie w ramię. – Lepiej już chodźmy. – Wręczyła Leesumowi bilet.

Tej nocy wuj Taylor zabrał nas na plażę, gdzie ułożyliśmy się na kocach pod gwiazdami. Od wody powiewała spokojna bryza, zginając morską trawę; nad wydmnami płynęła muzyka jazzowa. Leżąc pod gwiazdami, zastanawiałam się, jakiej muzyki słuchał Leesum. Już w myślach pisałam do niego list.

– Och, Taylorze, ależ jest cudownie – powiedziała mama. – Gdybym tu mieszkała, co noc

przychodziłabym na plażę.

– Na szczęście wieje bryza od zatoki – stwierdził wuj Taylor. – W przeciwnym razie przeklinałabys komary.

– Patrzcie! – zawołała Stell. – Spadająca gwiazda.

– Gwiazda – powtórzył Davie.

Wymówiłam życzenie związane z Leesumem.

– To tak naprawdę meteor – powiedział wuj Taylor. – W sierpniu jest ich dużo.

Czułam cytrynowy zapach jego płynu po goleniu.

– Mogłabym tutaj spać – stwierdziła mama.

– Gwiazda Polarna! – ciągnęła Stell. – I Wielka Niedźwiedzica, Wielki Wóz.

– Droga Mleczna. – Patrzyłam na długi gwiazdny szlak przecinający niebo. Gdzie był teraz Leesum w swojej długiej podróży do Charlotte? Czy siedział przy oknie? Czy też widział Drogę Mleczną?

– Zgadza się, nasza galaktyka – stwierdził wuj Taylor. – Widoczna od zmierzchu do świtu.

– Taylor zawsze znał się na niebie – powiedziała mama. – Już kiedy był w twoim wieku, Sarah.

– A moja starsza siostra zawsze się mną chwaliła.

Uwielbiałam brzmienie jego głosu. Jak by to było być jego córką?



## Rozdział 13

Każdej wiosny mama wyjmowała maszynę do lodów na korbę i kazała Mary rozłożyć ją, by się upewnić, że drewniane szpatułki nie spróchniały przez zimę. W czerwcu, kiedy w sklepie A&P pojawiały się truskawki, zaczynałyśmy cotygodniowe kursy do Domu Lodu Jacksona po sól kamienną i paczkowany lód, żeby mama mogła kręcić lody. W mieście patrzyłam na drugą stronę ulicy McDowell, na Dom Modlitwy dla Wszystkich Ludzi oraz budynek, gdzie Daddy Grace się zatrzymywał, kiedy przyjeżdżał do Charlotte – pomalowaną na czerwono, białą i niebiesko posiadłość, z której okien na piętrze dobiegała muzyka... chór, fortepian, tamburyny, bębny.

U Jacksona ludzie w grubych rękawicach za pomocą szczypców zdejmowali kapiące zamrożone bloki z przenośnika taśmowego i ustawiali z nich lodowe ściany w ciężarówkach na rampie załadunkowej. Latem i zimą pot ściekał im po twarzach. Puddin wierciła dziurę w brzuchu pracownikom, żeby dawali jej kawałki lodu, ja tymczasem dygotałam nieopodal i patrzyłam na plebanię Domu Modlitwy. Kolorowi w najlepszych ubraniach wchodzili po kamiennych schodach na werandę okalającą cały dom. Myślałam o tym, żeby wspiąć się po schodach, zapukać do drzwi i wejść do domu jako jedyna biała.

Pewnej soboty, kiedy znalazłyśmy się u Jacksona, ujrzałam siwego Murzyna w kremowym garniturze, siedzącego w fotelu na werandzie posiadłości. Ludzie tłoczyli się wokół niego, podchodzili, stali na schodach i na podwórzu od frontu. Chłopcy wachlowali kołyszącego się mężczyznę. Od jego nozdrzy do górnej wargi biegły zakrzywione, cienkie czarne wąsy. Od czasu do czasu zbliżał knykciec do twarzy i szarpał koniuszek wąsów, najpierw z jednej, potem z drugiej strony.

Tata podszedł do mnie i spojrzał na drugą stronę ulicy.

– Co za bałagan. – W drodze powrotnej do domu rzekł: – Czarnuchy składają w darze ciężko zarobione pieniądze, a nie mają nawet prawdziwego kościoła. Daddy Grace, Tata Łaska, co to w ogóle za imię? On jest Tata Daj Mi Wszystko, Co Masz. Słyszałem, że jego kłamra od paska jest zrobiona ze szczerego złota.

Dom Modlitwy fascynował Stell. Kiedy przeczytała w gazecie o dorocznej paradzie dla Daddy'ego Grace'a, błagała rodziców, żeby pozwolili jej pójść.

– Chcę się dowiedzieć czegoś o innych religiach. Jubie też by pewnie chciała pójść.

Mary może nas zaprowadzić. – Całymi dniami o tym gadała.

Mama stwierdziła, że Stell jest gorsza niż woda, która draży skałę.

– Zwykła parada chyba nie zaszkodzi. Powiem o tym waszemu ojcu.

Już byłam gotowa, siedziałam w kuchni i popijałam colę, kiedy weszła Mary w purpurowej sukience z fiołkami z materiału; kasztanowe włosy upięła pod toczkiem przystrojonym kwiatami w kolorach lilaróż, szkarłatnym i liliowym. Oczy jej lśniły, w uszach połyskiwały sztuczne diamenty. Pachniała Cashmere Bouquet.

– Wyglądasz prześlicznie – powiedziałam.

– Dziękuję. Gdzie jest Stell Ann?

– Tutaj. – Stell była ubrana w beżową lnianą sukienkę, na ramiona zarzuciła różowy kaszmirowy zapinany sweter. Poza tym włożyła mitenki, a torebeczka pasowała do beżowych butów na wysokim obcasie.

– Jesteś wytworną młodą damą – pochwaliła ją Mary. – Ty też dobrze wyglądasz, Jubie.

W brązowym sztruksowym bezrękawniku i białej bluzce wyglądałam jak łyśka.

Spojrzałam na lakierki, w których moje stopy wydawały się strasznie duże.

Pojechaliśmy autobusem numer 3 do miasta. Stell i ja usiadliśmy na ławce za kierowcą, Mary przeszła na tył. Jej chude łydki i duże purpurowe buty przywodziły mi na myśl Myszkę Minnie. Żółta linia na podłodze autobusu oddzielała przód od tyłu. Dalej z tyłu na gumowej wykładzinie widniały resztki dawniejszej linii. Kiedy przedsiębiorstwo komunikacyjne zdało sobie sprawę, że autobusami jeździ znacznie więcej kolorowych niż białych, linię przesunięto do przodu mniej więcej o metr. Mimo to z tyłu i tak panował ścisk.

Jeden z chłopców wstał, by ustąpić Mary miejsca. Stell i ja, jedyne białe, siedziałyśmy samotnie wśród pustych siedzeń z przodu.

Na skrzyżowaniu McDowell i Trzeciej Wschodniej, niedaleko Domu Modlitwy, wysiadliśmy z autobusu. Mary poprowadziła nas przez tłum do miejsca, skąd, jak powiedziała, najlepiej będzie widać paradę. W morzu ciemnych twarzy wyróżniało się kilku białych widzów; na każdym rogu biały policjant obserwował zgromadzonych.

– Tu będzie dobrze. – Mary się zatrzymała i podniosła wzrok, mrużąc oczy od słońca. – Na Daddy Grace’a rzadko pada deszcz.

Nigdy wcześniej nie widziałam tylu kolorowych ludzi w jednym miejscu, w dodatku wszyscy mieli na sobie najlepsze niedzielne ubrania – mężczyźni byli w garniturach i pod krawatami, kobiety w sukienkach, kapeluszach, w butach na wysokim obcasie. W podwójnych, potrójnych szeregach stali wzdłuż krawężnika, ludzie z dziećmi ustawili się najbliżej ulicy, żeby one miały dobry widok; starsi siedzieli na krzesłach.

– Idą! – zawołała Mary, wychylając się.

Ulicą kroczyły godnie czarnoskóre dziewczęta w białych sukienkach, na ich twarzach malowała się powaga, gdy rzucały coś, co początkowo wzięłam za skrawki papieru. Obok nastolatek dreptały małe dziewczynki. Jeden ze skrawków upadł mi pod nogi. Płatek kwiatu.

Dalej szli chłopcy, klaszcząc i tańcząc w takt orkiestry postępującej za nimi. Muzycy szybko i głośno grali *His Eye Is on the Sparrow*. Zza rogu wyszło siedmiu mężczyzn grających na trąbkach i puzonach, którzy tanecznym krokiem przyłączyli do parady; kołysali instrumentami w rytm muzyki.

Po drugiej stronie ulicy policjant zakładał kajdanki czarnemu mężczyźnie, który mówił coś przez ramię, kręcąc głową.

– Co się dzieje? – spytałam Mary.

– Pewnie się upił, a może i nie. Czasem po prostu kogoś zamykają.

Ulica wypełniła się ludźmi, którzy tańczyli, śpiewali, zeskakiwali z krawężnika i z powrotem, dwójkami i trójkami, wskakiwali na chodniki, podwórka, werandy, klaszcząc i kołysząc się w takt muzyki.

Pewien człowiek wyjął z kieszeni marynarki butelkę i zaczął częstować ludzi wokół.

Stojąca za nim kobieta postukała go w ramię i pokręciła głową. Tamten odepchnął ją i wziął kolejny łyk.

Nagle poczułam wilgoć w majtkach. Pociągnęłam Mary za rękaw.

– Zaczął mi się okres, a nie mam nic przy sobie.

– Dobry Boże. Zostań tu. Zaraz wrócę. – Mary odeszła, rozglądając się, potem zawołała: – Siostró Coley?

– Dokąd idzie Mary? – spytała Stell.

– Znaleźć łazienkę.

Mary stanęła za moimi plecami.

– To jest pani Coley, mieszka niedaleko. Pójdź z nią. Siostró Coley, to jest panna June Watts.

– Jak się masz? – pozdrowiła mnie drobna kobietka. – Chodź ze mną. – Ruszyłam za nią, mając nadzieję, że zdążę wrócić i zobaczyć Daddy’ego Grace’a.

Pani Coley zaprowadziła mnie po wysokich ceglanych schodach na werandę. Co by pomyślała mama, widząc, jak wchodzę do domu kolorowej osoby? Pani Coley miała tak ciemną skórę, że w półmroku korytarza jej oczy i zęby zdawały się wyskakiwać z twarzy.

– Łazienka jest na końcu korytarza. Przyniosę, czego potrzebujesz.

Drzwi, które mi pokazała, prowadziły do ogromnej, słonecznej łazienki, pełnej światła odbijającego się od kafelków na ścianach i podłodze. Nad sedesem wisiała fotografia siwowłosej czarnej kobiety. Po obu stronach umywalki na parapetach stały ceramiczne garnuszki z fiołkami. Świeży, słodki zapach. Mamie spodobałaby się ta łazienka.

– Panno Watts? – Pani Coley podała mi przez drzwi papierową torbę. – Przyniosłam wszystko, czego ci potrzeba. Majtki możesz włożyć do torby.

– Przykro mi, że traci pani paradę.

– Już tam wracam. Nie spiesz się.

Majtki przyniesione przez panią Cowley okazały się trochę za duże, ale podpaska i chusteczka higieniczna były takie same, jak te, których używałam w domu. W końcu wyszłam z domu, zamykając za sobą drzwi, z papierową torbą w dłoni. U stóp schodów stały dwie kolorowe nastolatki.

Wyższa z dziewczyn cała była ubrana na seledynowo – kapelusz, sukienka i torebka.

Wyraźnie chwiała się na zielonych szpilkach. Ujęła się pod boki i rzuciła mi groźne spojrzenie spod runda kapelusza.

– Co robisz w domu pani Coley?

Druga dziewczyna, w czerwonym kapeluszu i z masą czarnych loków, wystąpiła do przodu.

– Co masz w tej torbie?

Cofnęłam się na schody i rozejrzałam za panią Coley.

– Musiałam skorzystać z łazienki.

– A torba? – spytała wyższa dziewczyna.

– Hej, June – powiedziała Mary, wchodząc między dziewczyny.

– Znasz ją? – spytała ta w czerwonym kapeluszu.

– To jest panna June Watts – oświadczyła Mary, biorąc mnie za rękę.

– Co ona robiła w domu pani Coley? – dopytywała dziewczyna w zielonym.

– Czy Valora dobrze się miewa? – zwróciła się do niej Mary.

– Znasz moją mamę? – zdziwiła się wyższa.

– Jestem siostra Luther z kościoła baptystów przy McDowell. – Mary wyciągnęła rękę.

– Przyjaźnię się z twoją mamą od czasu, kiedy chodziłam do Domu Modlitwy.

Dziewczyna utkwiała wzrok w chodniku.

– Myślę, że już wszystko w porządku. – Mary ujęła mnie pod ramię i zeszyliśmy do krawężnika. Rozejrzałam się za panią Coley, by jeszcze raz jej podziękować, ale nie dostrzegłam jej w tłumie.

– Dobrze się czujesz? – Mary spojrzała na papierową torbę.

– Tak. – Zmiawszy torbę, wepchnęłam ją do torebki.

Ulicą McDowell nadjechały, jeden obok drugiego, dwa żółte samochody z opuszczanym dachem. Na oparciach tylnych foteli i z przodu siedzieli czarnoskórzy mężczyźni, wszyscy machali.

– To ojcowie z naszego kościoła – wyjaśniła Mary. – Wielebny McHone – zawołała i pomachała do jednego z mężczyzn, który również ją pozdrowił.

Prawie nie poznałam George'a McHone'a. Miał na sobie granatowy garnitur, zieloną muszkę i białą koszulę. W głowie mi się nie mieściło, że był tym samym człowiekiem, który ścinał u nas trawę.

Ulicą przeszły kobiety w strojach chórzystek, śpiewając powoli, żałobnie Czy zbierzemy się nad rzeką? Usłyszawszy kogoś za plecami, odwróciłam się. Przestrzeń między nami a kamiennym murem wypełnili ludzie, którzy napierali, chcąc zobaczyć paradę. Kobieta postukała Mary w ramię.

– Dzień dobry, siostró Luther.

– Siostró French – odparła Mary. – Dobrze wyglądasz. – W powietrzu unosiła się woń perfum i tytoniu.

Ilu ludzi należących do Myers Park Country Club kiedykolwiek miało okazję zobaczyć taki widok jak parada Daddy'ego Grace'a? To był pomysł Stell, sama nigdy bym na to nie wpadła i cieszyłam się, że jest moją siostrą. Spojrzałam na Stell. Policzki miała zarumienione, jej piwne oczy błyszczały, miodowobrazowe loki przyłgnęły do czoła. Nie posiadając się z radości, pstrykała palcami i poruszała nogami w takt muzyki.

Obok nas przeszła kolejna orkiestra dęta, grając When the Saints Go Marching In, jakby to było wygrywane na trąbkach ogłoszenie Boga.

– Jedzie – powiedziała Mary. – Biskup Grace. – Biały cadillac z opuszczanym dachem, zdobiony złotem zamiast chromu, przejechał tak wolno, że widziałam śruby na felgach.

Daddy Grace siedział z tyłu z rękami uniesionymi w geście Jezusa błogosławiącego tłumy.

Poznałam, że to ten sam człowiek, który siedział na werandzie Domu Modlitwy. Palce przechodziły w tak długie paznokcie, że zakrzywiały się na końcach. Jak on wykręcał numer w telefonie albo zapinał sobie koszulę? Dłubanie w nosie nie wchodziło w grę. Z przodu siedział kierowca i dwóch mężczyzn w smokingach, którzy lustrowali wzrokiem tłum.

– Jego ochroniarze – wyjaśniła Mary.

– Dlaczego ma ochroniarzy? – spytałam.

– Nie wszyscy go lubią. W Filadelfii ktoś próbował go zasztyletować.

– Byłaś tam? – zapytała Stell.

– Siostra Vellines była. Opowiadała mi.

Kiedy Daddy Grace przejeżdżał obok nas, poczułam ekscytację.

– Ale ty lubisz Daddy'ego Grace'a? – zwróciłam się do Mary.

– Jest w porządku.

– Kolorowi traktują religię bardzo emocjonalnie – powiedziała Stell do rodziców po powrocie do domu. – Powinniśmy okazywać więcej uczuć w kościele.

– Ha! – odparł tata. – To będzie wielki dzień.

– Stell ma rację, Bill. Naprawdę zachowujemy się z dużą rezerwą.

– Muzyka była cudowna – zachwycalam się. – Ludzie tańczyli, klaskali i śpiewali.

– Widziałyście tego człowieka? – spytał tata.

– Owszem – odparła Stell. – Widziałyśmy Daddy'ego Grace'a i jego ochroniarzy.

– Ochroniarzy? – powtórzył tata. – O, bogowie!

– On ma tak długie paznokcie, że aż się zakrzywiają na końcach – powiedziałam.

– Poważnie? – zdumiała się mama.

– Mhm – potwierdziła Stell. – Dziwnie to wygląda.

– Gdyby czarna dziewczyna potrzebowała skorzystać z naszej łazienki, co byś zrobiła? – spytałam mamę przy kolacji.

– Oczywiście pozwoliłabym jej.

Od razu poczułam się lepiej.

- Na dole jest toaleta dla Mary – dodała mama, odkładając serwetę.
- Jubie korzystała z łazienki kolorowych – oznajmiła Stell.
- Weszłaś do murzyńskiego domu? – spytała mama.
- Tak. Do znajomej Mary. Mieli olbrzymią łazienkę.
- Była czysta?
- O tak, była piękna.
- Hmm. – Mama potrząsnęła głową, jakby nie mogła w to uwierzyć.



## Rozdział 14

Rano niebo było przejrzyste, od zatoki wiała silna bryza. Przez następne trzy dni nie musiałam wsiadać do samochodu, wreszcie zaczęły się prawdziwe wakacje. Właśnie wkładałam kostium kąpielowy, kiedy Mary zapukała do drzwi domku. Wręczając mi olejek do opalania, powiedziała:

- Twoja mama mówi, żebyś się porządnie nasmarowała, to słońce cię nie poparzy.
- To ona ma zawsze poparzenia, nie ja. – Wzięłam butelkę.
- Faktycznie, jesteś bardzo ładnie opalona. – Mimo wczesnej pory Mary miała wilgotną twarz.
- A ty używasz olejku do opalania?
- Nie, i kilka razy się spaliłam.
- Słońce może cię poparzyć? – Dotknęłam jej ręki.
- Oczywiście. Tylko na mnie tego nie widać tak, jak na twojej mamie. – Z kosza turystycznego Mary wyjęła nasze brudne ubrania. – Muszę zrobić pranie. Leć nad wodę.

Wiem, że nie możesz się doczekać.

Otworzyłam siatkowe drzwi, a Mary ruszyła do domu z naręczem rzeczy do prania.

Poszłam na plażę, żeby poleżeć na słońcu i rozmyślać o Leesumie. Co prawda próbowałam do niego pisać, ale wszystko, co przelewałam na papier, brzmiało jakoś głupio. Raz po raz dochodził do mnie niezbity fakt: nigdy nie mógłby zostać moim chłopakiem.

Na piasku zachrzęściły czyjeś kroki.

- Hej, mała.
- Cześć, mamó. – Nie podniosłam wzroku.

Mama rozłożyła obok mnie ręcznik plażowy, na który rzuciła papierośnicę, książkę i okulary.

- Chodźmy się zamoczyć. – Zsunęła sandały.

Stojąc na wilgotnym piasku, pozwalałyśmy wodzie lizać nasze stopy. Ponieważ mama nie zrobiła makijażu, wyraźnie widziałam jej piegi. Wyglądała na senną.

- Dziś rano jesteś bardzo poważna – stwierdziła.

– Gdzie są wszyscy?

- Niedługo Mary przyprowadzi Puddin i Daviego.

Weszłyśmy do wody, przeskoczyłyśmy przez napływającą falę. Mama krzyknęła i chwyciła mnie za rękę dla zachowania równowagi. Dałam nura w kolejną falę, wypłynęłam na powierzchnię. Kiedy Mary, Puddin i Davie do nas wołali, mama płynęła żabką na głębinię.

- Są – powiedziała, odwracając się.

Ramię w ramię wyszłyśmy z wody.

- To są cudowne wakacje. – Mama potrząsnęła głową, z mokrych włosów poleciały błyszczące krople.

Pozwalałam, by fale kołysały mnie w górę i w dół.

- Mamó, spytałam Sarah, czemu jest markotna, a ona odparła, że tata może mi to wyjaśnić.

– O czym ty mówisz? – Mama zmrużyła oczy i chwyciła mnie za rękę. – June?!

- Au. – Wyrwałam się.

Od strony wydm nadeszły Stell i Sarah z leżakami. Mama pomachała do nich.

- To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Chodźmy pobawić się z dziećmi. Hej, dziewczyny! –

zawołała.

Kiedy weszłam do domku przy plaży, żeby skorzystać z toalety, zobaczyłam, jak Mary mocuje się przy sznurze z mokrym prześcieradłem. Chwyciłam jeden koniec i wspólnie przypięłyśmy prześcieradło, które zaczęło furkotać na wietrze. Wuj Taylor i mama upierali się, by suszyć pościel na słońcu.

– Twoja mama ciągle jest na plaży?

Skinełam głową.

– Dobrze się bawi.

– Chyba tak. – Wytarłam stopy o trawę świętego Augustyna, którą wujek Taylor tak się szczycił, grubszą i bardziej kłującą niż trawnik przed naszym domem. Kiedy rozwieszałyśmy kolejne prześcieradło, spytałam Mary: – Zadzwonisz dziś wieczorem do pastora, żeby się upewnić, że Leesum dotarł na miejsce?

Mary przypięła żabką poszewkę na poduszkę.

– Podałam wielebnemu Perkinsowi numer twojego wujka. Zadzwoni, jeśli Leesum się nie pojawi.

Masz powody, żeby tak myśleć?

– Nie. – Odwróciłam się, żeby pójść do domku.

– Pewnie już nigdy nie zobaczysz tego chłopca.

– Wiem.

Po kolacji położyłam się na podłodze w gabinecie i razem z Puddin i Daviem słuchałam Jacka Benny'ego, podczas gdy Stell i Sarah poszły na spacer plażą.

Co robił Leesum, czy słuchał Jacka Benny'ego?

Kiedy Puddin i Davie położyli się spać, zesłam na plażę. Cudowne, że mogłam ją mieć rano, w południe i wieczorem: miejsce, dokąd mogłam pójść i wyobrazić sobie, że sprawy wyglądają inaczej niż w rzeczywistości. Podążając w kierunku zatoki, wpatrzona w gwiazdy, o mały włos nie potknęłam się o siostrę i kuzynkę, siedzące w świetle półksiężyca.

We trzy siedziałyśmy na piasku, patrzyłyśmy ponad wodą na migające na horyzoncie światła statku.

– Muszę wam coś powiedzieć – oznajmiła Sarah. – Nie wiem, od czego zacząć.

– Od początku – poradziłam.

– Nie znam początku. – Sarah ściszyła głos. Musiałam wyęczać słuch, żeby nie zagłuszały jej fale. –

Mama miała romans z wujkiem Billem.

Fale rozbijały się o plażę, posyłając w powietrze pióropusze wodnego pyłu.

Zanurzyłam dłonie w piasek.

– Ale... – Głos Stell się załamał.

– Tak było – powiedziała Sarah.

Poczułam się zagubiona.

– Właśnie dlatego tata zatrudnił prawnika i rozwiódł się z mamą. Dlatego muszę z nim mieszkać i nie mogę jej zobaczyć.

– Nigdy?

– Nigdy. Wujek Bill przyjechał do Pensacola i zabrał mamę do motelu. Ktoś powiedział o tym tacie. – Sarah zdjęła gumkę z końskiego ogona. Lśniące czarne włosy, bardzo podobne do włosów jej matki, opadły jej na ramiona. – To się zaczęło po narodzinach Daviego. Tata myśli, że nie wiem.

Patrzyłam na fale rozbryzgujące się na plaży, nie chciałam dostrzec mrocznej pewności malującej się w świetle księżyca na twarzy Sarah.

– Mama i tata od dawna byli na siebie wściekli, ale nie sądziłam... – Umilkła, jakby głos porwał jej słowa.

– Jak się tego dowiedziałaś? – spytałam.

- Podśluchałam coś, kiedy myśleli, że już śpię.
- Może spotkali się w motelu tylko, żeby... – Nic nie przychodziło mi do głowy.
- Nie wiem, dlaczego mama nadal z nim jest – stwierdziła Stell.
- Ty zostałeś z Carterem, kiedy cię zdradził. – Wiatr uniósł mi loki z czoła.
- On nigdy mnie nie zdradził – wykrztusiła Stell.
- Zabrał inną dziewczynę na przyjęcie. Przecież się o to kłóciliście.
- Nie jesteśmy parą na stałe. Carter może się spotykać z innymi.
- Ty nigdy tego nie robisz.
- Ale jesteś wstrętna. – Myślałam, że Stell się rozplacze.
- Jeśli nie jesteście parą, to czemu nosisz jego krzyżyk?
- Nie jest jego! – zawołała Stell. – Jest mój. Carter mi go dał.

Jaśniejące w świetle księżycy fale tłukły o brzeg. Nienawidziłam całej rodziny, wszystkich bez wyjątku. Daviego, który był pępkiem świata, ponieważ był chłopcem. Puddin, która doprowadzała mnie do szału nieustannymi ucieczkami. Taty za to, że mnie bił. Mamy za to, że mu na to pozwalała. Stell za... Nie miałam powodu, by nienawidzić Stell.

Wyciągnęłam ku niej rękę i powiedziałam: – Przepraszam.

Stell wstała, wzięła Sarah za rękę i pociągnęła ją na równe nogi.

– No, powinnaś.

– Wybaczysz mi? – Wstałam z piasku...

– Zastanowię się.

Na pewno jej przejdzie, zawsze przechodziło. Nie pierwszy raz zachowałam się wstrętne.

– Tata i ciocia Lily... – powiedziała Stell.

## Rozdział 15

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem 1953 roku lekarz Meemaw zatelefonował do taty i powiedział, że ktoś powinien przyjechać do Kentucky i zaopiekować się babcią. Tata powtórzył mamie słowa lekarza.

– Ona cierpi na artretyzm, wysokie ciśnienie krwi i puchlinę.

Oczywiście wyobraźni ujrzałam, jak Meemaw rozrzuca rzeczy wokół siebie.

– Czego jej potrzeba? – spytała mama.

– Byłoby dobrze, gdyby poleżała w łóżku przez dziesięć dni, może dłużej. Poza tym powinna brać lekarstwa, czego najwyraźniej nie robiła.

Stryj Stamos i ciocia Rita zgodzili się pojechać do Kentucky, jeśli Carly zamieszka u nas na święta.

Nie mogłam się doczekać, aż powiem Stell Ann. Prawie nie widywałyśmy Carly’ego, odkąd wyjechał do West Point przed trzema laty, ale doskonale go pamiętałam. Zawsze traktował nas jak młodsze siostry, a nie po prostu kuzynki.

Carly przyjechał po południu i stanął w drzwiach gabinetu, w mundurze West Point, z workiem marynarskim u stóp i kapeluszem w dłoni. Jego brązowe oczy błyszczały. Tata klepnął go w plecy.

– Dobrze mieć w domu jeszcze jednego mężczyznę.

– Tak jest, proszę pana.

– Wielkie nieba, ależ ty masz bary! – Mama uściskała Carly’ego. – Wojsko wyrobiło ci mięśnie.

– Raczej gra w piłkę – odparł Carly.

– Kolacja już prawie gotowa – oznajmiła Mary, stając w drzwiach jadalni. – Ja już sobie pójdę.

– Carly, pamiętasz Mary – powiedziałam.

– Tak. – Podniósł worek. – Gdzie mam spać?

Mary wróciła do kuchni, a tata rzekł: – Chodź, synu, ulokujemy cię w mieszkaniu nad garażem. –

Nawet przy wzroście stu osiemdziesięciu trzech centymetrów musiał zadzierać głowę, by spojrzeć na Carly'ego, który przewyższał go o jakieś dziesięć centymetrów.

Później Carly wrócił do domu, jak to określił, po cywilnemu – w kraciastej koszuli, płóciennych spodniach i mokasynach.

Stół w jadalni nakryto srebrnymi sztuccami babci Bentley, wypolerowanymi przez Mary, oraz elegancką porcelaną mamy. Czy Carly sądził, że zawsze tak jadaliśmy? Gdy usiedliśmy do stołu, Puddin zwróciła się do niego: – Czemu masz takie krótkie włosy?

– Wiele osób zastanawia się, co się stało z moimi lokami. – Carly przesunął dłonią po czarnej szczecinie. – Tak ludzie strzygą się w wojsku.

– Och – zdumiała się Puddin.

– Mleko! – zaklaskał Davie.

– Zapomniałam – powiedziała mama.

– Ja przyniosę. – Carly odsunął krzesło.

– Nie, nie, Jubie to robi.

Gdy wróciłam z kubkiem Daviego, tata pytał: – Co więc dalej zamierzasz, Carly?

– Zaraz po ukończeniu akademii przechodzę do służby czynnej.

– To niebezpieczny czas dla żołnierzy, jeśli sytuacja w Korei się zaostrzy.

– W wojsku można zrobić dobrą karierę.

Mama podniosła półmisek ze smażonym kurczakiem.

– Poczęstuj się, Carly, potem podaj Billowi. – Zwróciła się do taty: – Cztery piersi, kochanie. Możesz zjeść wszystkie.

– Dzięki, skarbie. – Tata wziął dwa kawałki, po czym powiedział do Carly'ego: – Pauly wie, jak uwielbiam białe mięso. – Wstał, by nalać sobie kolejnego drinka, i nachylił się, żeby pocałować mamę w policzek. – Wspaniała kolacja, kochanie.

Stell spojrzała na mnie, unosząc brwi. Szkoda, że mama i tata nie pili sobie z dzióbków przez cały czas.

Przy deserze tata tłumaczył Carly'emu, jak działa grzejnik gorącej wody w bawialni.

– To niecałe sto dwadzieścia litrów, ale jest na gaz, więc powinno dla ciebie wystarczyć. Kiedy będziesz brał prysznic, nie stawaj na odpływie, bo zalejesz łazienkę. – Pod prysznicem Carly będzie nagi.

Po kolacji Stell i ja zaczęłyśmy sprzątać ze stołu, a Carly pozbiierał półmiski.

– On pomaga przy naczyniach – szepnęła Stell.

Carly wytarł stół i zapytał: – Gdzie jest miotła?

– Robisz to w domu? – spytałam, otwierając komórkę.

– Tata obdarłby mnie ze skóry, gdybym zostawił wszystko mamie. – Zaczął zamiatać.

– Złałby cię?

Carly spojrzał na mnie.

– Odebrałby mi kluczyki do samochodu.

– Nigdy cię nie bije?

– Nie.

Czując na sobie wzrok Carly'ego, odwróciłam się do zlewu.

Pół godziny po pójściu na górę wyszłam z łazienki i ujrzałam na półpiętrze Carly'ego.

– Co porabiacie?

– Szykujemy się do snu. Gdzie byłeś?

– Rozmawiałem z twoimi rodzicami. No wiesz, „kim zostaniesz, jak dorośniesz?”.

– Tak się cieszę, że przyjechałeś. – Dotknęłam jego ramienia. – Chodź, poprzeskadzamy mojej starszej siostrze.

Stell siedziała na łóżku po turecku i czesała włosy. We flanelowej piżamie z długimi rękawami w białoniebieskie kwiatki wyglądała najwyżej na dziesięć lat.

– Hej – powiedział Carly. – Dawno nie byłem tu na górze.

– Jak jest w West Point? – zainteresowała się Stell.

Carly usiadł na dywanie, opierając się plecami o toaletkę.

– Mundury, musztry, pobudka o świcie, tego rodzaju rzeczy.

– Podoba ci się to? – Stell kontynuowała czesanie. Włosy trzaskały i połyskiwały w świetle lampy sufitowej.

– Tak.

– Boisz się? – Usiadłam na łóżku. – A jeśli wybuchnie wojna?

– Przez trzy lata uczyłem się żołnierskiego fachu.

– Dziewczynki? – dobiegł z dołu gromki głos taty.

– Tak? – Stell i ja odpowiedziałyśmy jednocześnie.

– Gdzie jest Carly?

– Tutaj – zawołał Carly. Na schodach rozległy się kroki taty, po czym stanął w progu.

– Co się dzieje?

– Rozmawiamy. – Wstałam.

– Lepiej nie odwiedzaj dziewcząt w sypialniach – zwrócił się tata do Carly'ego. Ten zerwał się na równe nogi.

– Tak jest.

Zażenowanie odebrało mi mowę.

– Na miłość boską, tato, jesteśmy kuzynami – zauważyła Stell.

Tata schodził już jednak ciężko po schodach.

Carly poczerwieniał na twarzy, otworzył usta i spojrzał na nas.

– Jezu! – wykrztusił. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

Nazajutrz przed śniadaniem usiadłam w swoim pokoju na podłodze i patrzyłam przez żaluzje na okno pokoju Carly'ego nad garażem; obserwowałam, jak się goli przed lustrem, które powiesił nad zlewem w kuchence. Nie cierpiałam ciasnej, zatechłej łazienki nad garażem i byłam pewna, że on też jej nie lubi. Golenie było jedyną ciekawą sprawą osobistą, jaką podpatrzyłam, ale już to sprawiało, że czułam mu się bliższa niż ktokolwiek z rodziny.

Pewnego razu, gdy Carly otrzymał prawo jazdy, on i jego rodzice wybrali się z nami na jeżyny. Stell, Puddin i ja jechałyśmy z nim samochodem stryja Samosa, a Carly poprosił, żebym usiadła obok niego z przodu, to pokaże mi, jak działa sprzęgło. Stell mocno to wkurzyło. Tego dnia wychodziła ze skóry, żeby zwrócić na siebie uwagę kuzyna, ale Carly wolał mnie.

Siedziałam przy stole w kuchni, kiedy zszedł na śniadanie z torbą rzeczy do prania, którą rzucił na podłogę.

– Powiedz Mary, że chcę mieć porządnie wykrochmalone koszule. W razie pytań może zadzwonić do Safronii. – Nalał sobie kawy i podszedł do stołu. – Gdzie są wszyscy?

– Stell jest w Klubie Biblijnym. Mama pojechała do sklepu z Puddin i Daviem, a tata w pracy. Myślę, że Mary...

– Mogłabyś mi podać banana? – przerwał mi Carly.

Sięgnęłam po misę z owocami.

– Musisz się uczyć, czy masz zupełne wakacje?



– Całkowite wakacje. Umówiłem się z przyjaciółmi, ale poza tym zamierzam się objąć.

W ciągu następnych kilku dni prawie go nie widywaliśmy. Zaraz po śniadaniu wychodził, wracał późnym wieczorem, a mama była tak zajęta, że chyba się cieszyła, że nie ma dodatkowej osoby na głowie.

W sobotni poranek przed Bożym Narodzeniem wręczyła mi pudła z ozdobami do rozpakowania.

– Zanim Carly wyjdzie, spytaj, czy mógłby przetestować lampki na choinkę. Zawsze jedna nie działa, a on na pewno potrafiłby to naprawić.

Usiadłam na sofie w gabinecie z pudłami pełnymi ozdób i włączyłam radio, leciały same kolędy. Ponieważ sądziłam, że tata jest pod prysznicem, podkreśliłam głośność, by zagłuszyć odgłosy łazienkowe. Woda płynęła, po czym przestała. Zasłona prysznicowa zaskrzypiała. Kiedy drzwi się otworzyły, ujrzałam Carly'ego z mokrą piersią, owiniętego w ręcznik. Natychmiast wskoczył z powrotem do łazienki i krzyknął: – Zapomniałem szlafroka.

Pobiegłam do jadalni, wołając przez ramię: – Droga wolna.

Po chwili pojawił się na śniadaniu w džinsach i swetrze.

– Wczoraj mój prysznic spowodował powódź. Ciocia Pauly powiedziała, żebym korzystał z łazienki stryjska Billa.

Żadne z nas więcej o tym nie wspomniało, ja jednak nie mogłam zapomnieć czarnych włosów porastających jego tors aż po ręcznik owinięty wokół bioder. Później, ilekroć wiedziałam, że Carly korzystał z łazienki taty, szłam po nim posprzątać, bo wiedziałam że bałagan rozgniewałby tatę. Sądziłam, że po szkoleniu wojskowym Carly okaże się schludniejszy, ale zostawiał zachlapaną podłogę, przemoczone ręczniki, mydło w mazistej kałuży. Właśnie wycierałam podłogę, kiedy trzasnęły drzwi gabinetu. Do łazienki wszedł tata.

– Hej. – Udawałam, że nie widzę, jak rozpina rozporek.

– Co ty tu robisz?

– Na podłodze była woda.

– Kto korzystał z mojej łazienki? – Odsunął zasłonę prysznicową.

Mokry ręcznik wcisnęłam do kosza.

– Prysznic Carly'ego znowu się zatkał. Hydraulik przyjdzie jutro, więc... – Przecisnęłam się obok taty.

Na drewnianej podłodze zastukały obcasy mamy, która podeszła do drzwi łazienki.

– Williamie, gdybyś naprawił hydraulikę w bawialni, Carly nie musiałby korzystać z twojego prysznica.

– Nie mam czasu. – Tata zamknął drzwi łazienki, więc mama podniosła głos.

– Ale masz czas, żeby dokonywać napraw obok. – Miała na myśli sąsiadkę, Lindę Gibson, jasnowłosą rozwódkę, która nieustannie prosiła tatę o pomoc.

„Ona rozmawia tylko z Williamem, poza tym nigdy nas nie odwiedza” – tak mama powiedziała kiedyś do cioci Rity.

Dwa dni przed gwiazdką Carly i ja siedzieliśmy w salonie i przeglądaliśmy albumy ze zdjęciami, które trzymaliśmy na półce obok kominka. W połowie pierwszego Carly powiedział: – Są świetne. Kto się nimi zajmuje? – Oprawny w skórę album wydawał się mały w jego dużych dłoniach.

– Mama.

– Chciałbym, żeby moja mama to robiła. Mamy setki zdjęć, które poniewierają się w pudłach po butach. – Carly wskazał fotografię przedstawiającą Stell, Puddin i mnie, stojące na pomoście nad jeziorem Rainbow na górze Shumont. – To jest świetne. – Miałam poobijane kolana, Puddin, mniej więcej czterolatka, opierała się o moje biodro. Stell miała na sobie swój pierwszy kostium kąpielowy ze stanikiem.

Mary przechodziła z miotłą, a Carly spytał: – Mogłabyś mi zaparzyć świeżej kawy?

– Tak jest. – Mary otworzyła drzwi pokoju, wpuszczając podmuch zimnego powietrza, zostawiła miotłę w sieni i szybko zamknęła drzwi.

– Idzie zima. Śmietanka i cukier?

Carly przytaknął.

– Od jak dawna Safronia dla was pracuje? – zapytałam.

– Zaczęła jeszcze przed moim urodzeniem. Czemu pytasz?

– Tak się zastanawiałam. Mary też jest z nami od dawna.

Carly przewrócił kartę albumu i dotknął zdjęcia drobnej kobiety o brązowych włosach, w kostiumie szytym na miarę i pantoflach na wysokim obcasie, z neseserem w dłoni.

– Kto to jest?

– Matka mamy. Nie żyje.

– Dlaczego ma neseser?

– Była komiwojażerką.

– W ogóle nie ma tu zdjęć twojego dziadka.

– On zostawił babcię Bentley z dwiema córkami i synem. Dlatego ona poszła do pracy.

– Zostawił? Dokąd wyjechał?

– Na zachód. Chyba do Oregonu. Znalazł sobie dziewczynę.

– Dwie córki? Nie wiedziałem, że ciocia Pauly miała siostrę.

Przewróciłam stronę i pokazałam mu chudą dziewczynę w obcisłej prążkowanej sukience z białym kołnierzykiem, spoglądającą prosto w obiektyw.

– To starsza siostra mamy, Hanna. Zmarła na białaczkę w wieku dwudziestu jeden lat.

Mama miała wtedy siedemnaście.

– Kurczę, to okropne.

– Tak. Z całej rodziny zostali tylko mama i wuj Taylor.

Mary wniosła do pokoju tacę z dwiema filiżankami, dzbanuszką śmietanki, cukiernicą, łyżeczkami i serwetkami.

– Proszę bardzo – zwróciła się do Carly'ego.

– Postaw tutaj. – Wskazał koniec stołu.

– Przygotowałam ci gorącą czekoladę – powiedziała do mnie Mary.

– Dzięki Mary – odparłam. Wyszła.

Carly wlał śmietankę do kawy, dosypał cukru.

– Kurczę, nie widziałem tego. – Zdjęcie z lipca 1933 roku przedstawiało stryja Stamosa i ciotkę Ritę w zaawansowanej ciąży. – To tuż przed moim urodzeniem. Wyglądają tak młodo.

Chudy jak patyk stryj Stamos stał obok niskiej, krągłej żony, obejmując ją ramieniem, a dłoń trzymał na jej brzuchu. Dotknęłam zdjęcia.

– Twoi rodzice ciągle się kochają, prawda?

– Czasami jest to niemal żenujące.

– Myślę, że to wspaniałe.

Po chwili milczenia Carly zapytał: – A twoi rodzice... Oni wciąż się kochają?

– Chyba tak.

Tej nocy nie mogłam zasnąć, bo próbowałam znaleźć sposób, by pomówić z Carlym o Mary, o tym, jak się do niej zwracał i że traktował ją jak mebel. Ale on był już dorosły i nie miałam pewności, czy zrozumie.

W Wigilię po lunchu mama wyjęła indyka z zamrażarki, owinęła w ręcznik kąpielowy i położyła na

szklanym blacie stołu w łączniku.

– Zostawisz go tam? – spytałam.

– Nie będzie zawadzał, rozmrażając się, poza tym nie dobiorą się do niego psy sąsiadów.

Mary przysłała z jadalni.

– Srebra są gotowe, pani Watts, zasłony wyprasowane. Jeśli nie powiesimy ich teraz, to się pomarszczą.

Mama wytarła dłonie w fartuch.

– Jubie, wyjmij z lodówki kapustę i oberwij zwiędłe liście.

Utarłam kapustę i marchewkę na surówkę, podczas gdy mama i Mary z powrotem upięły zasłony na karniszach. Kiedy Mary wychodziła na trzy dni wolnego, kosze na brudną bieliznę były opróżnione, a pościel na wszystkich łóżkach zmieniona. Nawet telefon pachniał środkiem czyszczącym, a w sypialni gościnnej stała świeca laurowa.

Z zamkniętymi oczami siedziałam na sofie, wdychałam woń cydru z przyprawami korzennymi podgrzewającego się na kuchni, zapach ciasta unoszący się z piekarnika, świerku ozdobionego lampkami. Zastanawiałam się, czy wszystkie domy pachniały tak na gwiazdkę i czy Carly tęsknił za swoim domem. Gdy otworzyłam oczy, w łuku jadalni stała mama z Daviem na rękach, którego jasne loki opadały na ramię jej czerwonej wełnianej sukienki.

Potarła go po plecach, jej paznokcie lśniły od świeżego manicure'u. Kręcone włosy wsunęła pod siateczkę z czarną aksamitną wstążką. Jej skóra jaśniała od naszyjnika z pereł.

– Wyglądasz tak elegancko, mammo.

Widziałam, że jest zadowolona.

– Czas się przebrać na świąteczną kolację. Włóż bordowy bezrękawnik. Aksamit włożysz jutro. – Wyglądziwszy pokrowiec na poręczy fotelu, wyszła z pokoju.

W Boże Narodzenie w południe salon był zasłany podartym papierem do pakowania i wstążkami. Tata siedział na podłodze z Daviem i składał tory kolejki.

– Jubie, bądź aniołkiem i dolej mi troszkę do szklanki. – Tata mrugnął do mamy. – Odrobinę.

Mama wzięła szklankę od taty.

– Ja to zrobię, Bill. Przy okazji sama też się napiję. – Poszła do jadalni, skąd dobiegło pobrzękiwanie butelek. Stojąc przed barkiem, wypijała coś, po czym nalała whisky do szklanek.

Stell podwinęła nogi i oparła się na fotelu, senna i zadowolona. Słuchaliśmy kolęd z nowej płyty, którą mama dostała od taty.

– Gdzie jest Carly? – spytałam.

– Rozmawia z rodzicami – odparła mama.

– W Kentucky? – zawołała Puddin spod fortepianu, gdzie ubierała lalkę w pizamę.

– Tak. – Mama wręczyła tacie szklankę i usiadła obok mnie na sofie.

Do pokoju wszedł Carly. W niebieskim bezrękawniku, który dostał od nas na Gwiazdkę, wyglądał tak przystojnie, że oblałam się rumieńcem.

– Telefon, stryju. Dzwoni Meemaw.

– Zaraz wracam – powiedział tata i wstał, stękając.

Davie odłożył lokomotywę i podszedł do mnie z uniesionymi rękami.

– Dubi – oświadczył.

– Pauly, chodź przywitać się z mamą – zawołał tata z gabinetu.

Mama jęknęła i uniosła szklankę w stronę Stell.

– Będę miła.

Kiedy mama skończyła rozmawiać z Meemaw, usiadła na sofie razem z tatą. On ją objął, ona oparła

głowę na jego ramieniu. Spod siateczki wysunął się jej kosmyk włosów, który tata owinał sobie wokół palca, delikatnie pociągnął, połaskotał nim mamę w szyję.

Mama wyprostowała się i odsunęła.

O zmierzchu przy świetle świec zasiedliśmy do stołu w jadalni. Mama wniosła półmisek z indykiem i postawiła przed tatą.

– Pokrój, Williamie. Za chwilę wrócę. – Zerknęła na Carly'ego. Po minucie wróciła przez wahadłowe drzwi z tacą, na której leżała gotowana, ozdobiona goździkami szynka nacięta w kratę. – Tadam! – zanuciła i postawiła szynkę przed Carlym.

– Tak mi się zdawało, że czuję zapach gotowanej szynki – rozpromienił się.

– Zrobiłam nawet sos rodzynekowy według przepisu Rity. – Mama wskazała parującą sosjerkę i wręczyła Carly'emu chochelkę. – Nakładaj sobie.

– Dobry Boże, Paulo – zmarszczył brwi tata. – Przygotowałeś dość jedzenia, żeby wykarmić cały pułk.

– Nie będzie taka dobra, jak twojej matki. – Mama położyła dłoń na ramieniu Carly'ego.

– Białe mięso, Pauly? – spytał tata.

Mama usiadła i oznajmiła: – Są jeszcze pieczone kartofle, biszkopty, a na deser szarlotka. Tak samo jak na gwiazdkę u twojej mamy.

– Jubie, podaj mi talerz mamy – powiedział tata.

W niedzielę, kiedy Carly wyjeżdżał do West Point, zmywałam naczynia w kuchni, słuchając, jak mama i tata rozmawiają przy kawie w salonie.

– Następnym razem, kiedy trzeba będzie pomóc Cordelii, my musimy pojechać – powiedziała mama.

Tata coś mruknął. – Musisz stawić temu czoło. – Trzeba zacząć myśleć o domu starców.

– Jeszcze nie jest z nią tak źle.

– Ty tak uważasz. Jeżdżenie tam na tydzień czy dwa to jedynie tymczasowe rozwiązanie.

Carly stanął w drzwiach w mundurze, z kapeluszem i rękawiczkami w dłoniach.

– Jestem gotowy. Gdzie są wszyscy?

Dotknęłam lampasa na jego rękawie. Carly wyglądał jak żołnierz ze starej fotografii ubrany do boju. Nie pomówiłam z nim o Mary, a teraz już wyjeżdżał.

– Rodzice są w salonie z Daviem. Stell i Puddin na górze. Zawołam ich.

– Carly? – Tata wszedł do kuchni. – Wyjeżdżasz?

– Tak jest.

Podeszła mama, niosąc Daviego.

– Zawiadom nas, kiedy dotrzesz na miejsce.

– Moi rodzice do was zadzwonią. – Carly założył kapelusz i dotknął policzka Daviego.

– Do widzenia, Davie.

Do kuchni weszła Stell, wciąż w eleganckim niedzielnym ubraniu. Stanawszy na palcach, pocałowała Carly'ego w policzek. Carly objął ją jedną ręką, drugą mnie i przyciągnął nas do siebie. Na policzku czułam chłód mosiężnych guzików przy jego mundurze. Trzymał nas tak blisko, że głową niemal dotykałam głowy Stell.

## Rozdział 16

Kiedy udało nam się spakować i byliśmy gotowi do wyjazdu z Pensacola, wujek Taylor i mama stali przy samochodzie i rozmawiali. Mama, z twarzą zaczerwienioną od płaczu, potrząsnęła głową i go odepchnęła. Wujek cofnął się kilka kroków, powiedział coś, a potem przytulił mamę i długo trzymał ją w objęciach, nim wsiadła do samochodu.

– Szkoda, że nie możemy tu zostać. – Mama wsunęła kluczyk do stacyjki.

– Wujek Taylor mówił, że możemy – powiedziałam.

– Mam na myśli na zawsze.

– Może pojedźmy prosto do Pawleys Island? – odezwała się Stell. W Pawleys miał się z nami spotkać Carter, a Stell nie mogła się już doczekać.

– Mówiłam ci, że chcę jeszcze kupić keks. – Mama wydmuchała nos, po czym nastawiła w radiu program śniadaniowy, w którym mężczyzna i kobieta rozmawiali o naleśnikach z jagodami. „Cały sekret w świeżych jagodach”, powiedziała kobieta radośnie.

– Nie pojmuję, co jest takiego wyjątkowego w keksie z Claxton – powiedziała Stell.

– Jest najlepszy. – Mama podkreśliła głośność radia.

– Zaśpiewajmy coś, mamo – poprosiła Puddin.

– Do Claxton trzeba zboczyć z drogi – narzekała Stell. – Sprawdziłam na mapie.

– Cicho, słucham tego programu.

Mary ujęła Puddin za rękę, jakby mówiła: „Twoja mama się martwi, maleńka”.

Kilka kilometrów za zachód od rzeki Chattahoochee mama postukała we wskaźnik poziomu paliwa, jak robiła zawsze, kiedy się kończyło. Nad rzeką ujrzeliśmy znak informujący nas, że most jest zamknięty, ale stan Georgia zapewnia przeprawę promową.

Przed nami stał sznur samochodów, a mama poprosiła, żebym poszła na przystań i sprawdziła, ile czasu zajmie nam przeprawa.

– Czy też mogę pójść, pani Watts? Chętnie rozprostuję nogi.

Davie wziął Mary za rękę, więc mama wyjęła go z fotelika.

Mary umieściła Daviego między nami. Kiedy szliśmy poboczem tempem Daviego, liczyłam samochody. Wyraźnie czułam na sobie wzrok gapiów – czarna kobieta, dziecko, wysoka dziewczyna.

– Prom zabiera tylko dziesięć pojazdów – oświadczył człowiek na przystani. – Jak daleko stoicie?

– Przed nami jest dziewięć samochodów i furgonetka – odparłam, dumna, że policzyłam.

– Powiedz mamie, że to zajmie co najmniej czterdzieści pięć minut. Najlepiej, jeśli poczeka. Na północ i na południe są mosty, ale do każdego jest z pięćdziesiąt kilometrów.

– Kończy się nam paliwo.

– Zgaście silnik. Stoczcie wóz po zboczu. W Donalsonville, kilkanaście kilometrów po drugiej stronie rzeki będzie mogła zatankować.

Godzinę później wjechaliśmy na prom i zatrzymaliśmy się na dziobie.

– Zjedziemy pierwsi – powiedziała mama. – Dzięki Bogu. – Prom ruszył, a Davie stanął na przednim siedzeniu i zaczął powtarzać: – Statek. O, statek.

W połowie rzeki wysiadłam z auta. Wydawało się niemożliwe, by prom mógł unieść taki ładunek; mały



motorek terkotał. Trzymaliśmy się kursu tylko dzięki konopnej linie, grubej jak moja ręka. Prom miał tak duże zanurzenie, że woda chlapiąca za burtą spryskiwała mi nogi, a po naprężeniu liny poznałam, że gdybym wypadła za burtę, znalazłabym się za zakrętem rzeki, zanim ktokolwiek zdążyłby rzucić koło ratunkowe. Twarz chłodziła mi wilgotna bryza pachnąca spalinami.

Na przystani wsiadłam z powrotem do samochodu. Gdy tylko opuszczono trap dziobowy, mama uruchomiła silnik. Przednie koła znajdowały się na brzegu, tylne na promie, kiedy silnik zgasł.

– Skończyło nam się... – próbowałam zapytać.

– Cholera! – Mama uderzyła oburącz kierownicę.

– Mamo! – jęknęła Stell.

– Zamknij się. – Mama przekręcała kluczyk, ale bez rezultatu.

Za nami odezwały się klaksony.

– Co się stało, proszę pani? – spytał człowiek z obsługi promu.

– Obawiam się, że skończyło mi się paliwo.

– Pani żartuje, prawda? – Mężczyzna nachylił się, zbliżając twarz do twarzy mamy.

– Nie. – Mama patrzyła prosto przed siebie.

– Potrzebna jest pomoc, kobiecie skończyło się paliwo – zawołał mężczyzna w stronę przystani.

Więcej samochodów zaczęło trąbić.

Za nami na promie stała furgonetka. Kierowca wysiadł i rzekł: – Nie mogę was popchnąć. Mój zderzak jest za wysoko.

Czterech mężczyzn usiłowało zepchnąć nasz samochód z promu, ale droga prowadziła pod górę i wóz okazał się za ciężki, mimo że wysiedliśmy wszyscy oprócz mamy.

– Niech to szlag – zaklął człowiek z promu, kiedy się poddali.

Kobieta, która utknęła za furgonetką, powiedziała, że możemy przelać trochę paliwa od niej.

Pracownik z obsługi promu przyniósł z szopy puszkę i wąż gumowy. Kiedy przelali paliwo do naszego baku, mężczyzna dał mamie znak.

– Teraz łagodnie. Proszę nie dusić. Proszę wcisnąć pedał, przytrzymać, przekręcić kluczyk.

Zauważyłam, że mama raz po raz naciska pedał gazu.

– On powiedział, żeby tego nie robić.

– Chyba znam własny samochód. – Przekręciła kluczyk. Silnik warkotał, ale nie chciał zaskoczyć.

Mama miała tak czerwoną twarz, że bałam się, iż się rozpłacze.

– Silnik się zalał – oświadczył człowiek z promu, podnosząc maskę. – Nie pozostaje nic innego, jak poczekać, aż wyschnie. Dziesięć, może piętnaście minut.

Mama wysiadła z samochodu, z bagażnika wyjęła książkę, którą czytała u wujka Taylora. Zająwszy miejsce z przodu, oparła się o drzwiczki i położyła stopy na tablicy rozdzielczej. Otworzyła książkę i zaczęła czytać. W okularach przeciwsłonecznych i spódnicy podwiniętej tak, że odsłaniała zgrabne nogi, wyglądała jak gwiazda filmowa.

– Żałuję, że nie mogę pani popchnąć – powiedział kierowca furgonetki, podchodząc do naszego auta.

Mama czytała dalej, jakby oglądała.

– Proszę wyłączyć silnik, żeby akumulator się nie wyczerpał – powiedział pracownik obsługi.

Mama przewróciła stronę.

– Zabiorę dzieci pod drzewa, gdzie jest cień – zaproponowała Mary.

Mama nie odpowiedziała.

Davie chciał spać i marudził. Mary wzięła go na ręce, ujęła Puddin za rękę i ruszyła na brzeg. Pod drzewem usiadła, rozkładając nogi tak, by Davie mógł się umościć na jej spódnicy. Puddin rozłożyła się na trawie obok Mary i oparła się o nią. Stell i ja siedziałyśmy nieopodal. Na nogach czułam miły dotyk

trawy.

– Mamy szaloną matkę – powiedziała Stell.

– Mhm. – Wyciągnęłam się na trawie.

– Słyszałaś, co ona powiedziała?

– Jest smutna, że musiała wyjechać od wujka Taylora.

Stell Ann położyła się na plecach na trawie, zakryła ręką oczy.

– Nie chcę rozmawiać.

## Rozdział 17

W Albany w stanie Georgia, dobrze po zachodzie słońca, mama zatrzymała się w motelu – długim budynku z wejściami od strony parkingu. Poszła do recepcji, by nas zameldować. Po powrocie przejechała samochodem na koniec budynku.

– Co z Mary? – spytałam.

– Zamówiłam rozsuwane łóżko i o niej nie wspomniałam. – Mama zahamowała i zwróciła się do Mary. – Wejdz do środka. Jeśli nikt cię nie zobaczy, będzie dobrze.

Przed świtem ruszyliśmy w dalszą drogę, a ja zasnęłam oparta o Mary. Po przebudzeniu ujrzałam, że ślina z moich ust pociekła na rękaw jej sukienki.

– Dobrze spałaś? – Mary pogładziła mnie po włosach.

Puddin też spała. Davie siedział wciśnięty między nami, wyglądał przez okno i trzymał na moich kolanach zaciśniętą piastkę.

– Dubi.

– Hej, malutki.

– Dubi spać. – Zamknął oczy.

Rzadki las karłowatych sosen został w tyle za szerokim rowem z czarną wodą, której nieruchoma, lśniąca powierzchnia przypominała smołę. Puddin otworzyła oczy i oznajmiła: – Muszę skorzystać z toalety.

– Tyty – powiedział Davie.

– Zatrzymamy się, kiedy znajdziemy przyzwoite miejsce – odparła mama.

To oznaczało Esso, ponieważ codziennie sprząтали łazienki. Na drugim miejscu było Texaco, gdzie w soboty puszczały w radiu opery.

– Mamo, naprawdę muszę.

– Boże! Jeśli zatrzymam się tutaj, będziesz musiała sikać na bagnach.

– Siki – oświadczył Davie.

Puddin podskoczyła na siedzeniu, po czym zacisnęła pięści na kolanach i zaczęła się kołysać.

– Dzyń – Davie się zaśmiał.

W oddali, po prawej, pojawił się szyld.

– Czerwona gwiazda na godzinie pierwszej! – zawołałam.

– Godzina pierwsza, dobre sobie. – Mama wjechała na stację benzynową Texaco.

Puddin zerwała się z siedzenia i wybiegła.

– Widzę... toaletę – zawołała przez ramię.

Kiedy wysiadłam, uderzył mnie upał. Mary wygładziła z tyłu moje szorty.

– Jesteś cała pognieciona. Ja pewnie nie wyglądam lepiej. – Ale wyglądała. Jeśli nie liczyć wilgotnych plam pod pachami, wyglądała, jakby dopiero co się ubrała i uczesała, a nie podróżowała na tylnym siedzeniu samochodu wiele godzin z trójką dzieciaków.

Mama wręczyła mi pięć dolarów i kazała pójść do baru na stacji.

– Kup lunch. Frytki. Hot dogi, dla Puddin i Daviego bez cebuli.

Podeszłam do okienka i zawołałam: – Dzień dobry? – Powietrze przesycone było zapachem cebuli.

Z pomieszczenia na tyłach wyszła nastolatka, wycierając dłonie ręcznikiem.

– Tak?

Zanim jeszcze skończyłam składać zamówienie, zabrała się do pracy: włożyła bułki do opiekacza, opuściła frytkownicę w olej, rzuciła parówki na skwierzącą blachę.

Różowa wiejska bluzka miała tak głębokie wcięcie, że widać było górę piersi; na kieszeni białych szortów widniała plama keczupu.

– Skąd jesteście? – spytała, patrząc obok mnie.

– Z Charlotte w Północnej Karolinie.

– Dokąd jedziecie? – Jasne włosy związała pomarańczową wstążką. Stell powiedziała, że to błąd, bo nie powinno się mieszać gryzących się kolorów, a pomarańczowy był tandetny, podobnie jak purpura.

– Do Pawleys Island w Południowej Karolinie.

– Pewnego dnia zobaczę ocean. – Włożyła do bułek przypieczone parówki.

– Pracujesz tu stale?

– Chyba że jestem w szkole. Po ślubie zacznę pracować na pełny etat. – Nałożyła chili.

– Wychodzisz za męża?

– W następne wakacje. Mój chłopak jeździ czołgami w Berlinie.

– Kurczę. Ile masz lat?

– W zeszłym tygodniu skończyłam piętnaście. – Posypała hot dogi posiekaną cebulą.

– Masz świetne włosy – pochwaliłam, chcąc ukryć zaskoczenie.

– Mają ten sam kolor co włosy Jane Powell. – Na zębach miała ślady szminki. – Jecie tutaj? –

Wskazała dłonią na stół turystyczny pod drzewami za stacją benzynową.

– Poproszę na wynos.

Dziewczyna zawinęła wszystko w gazetę i włożyła do torby.

– Te bez cebuli są na gorze. Trzy dolary.

– Chodź, Jubie, tracimy czas. – Mama stanęła za moimi plecami. – Co kupiłaś?

– Sześć porcji frytek i osiem hot dogów.

– Osiem?

– Każdy, kto jest głodny, może...

– Każdy taki jak ty?

– Tak.

– Lepiej przestań rosnać w górę, a zacznij nabierać ciała. – W drodze powrotnej do samochodu mama powiedziała: – Ta dziewczyna powinna się zakryć i umyć twarz.

– Ma włosy tego samego koloru co Jane Powell.

– Gdyby Jane Powell miała takie włosy, obciąłaby się na łyso.

– W przyszłe lato wychodzi za męża.

– Zanim skończy dwadzieścia lat, będzie miała trójkę dzieci.

– Ale jest zaręczona z żołnierzem, który...

– June, nie podziwiaj takiego stylu życia!

Wsiadłyśmy do samochodu. Mimo perspektywy lunchu drżałam na myśl, że muszę dalej siedzieć stłoczona z tyłu. Mama przekreślała kluczyk, kiedy krzyknęłam: – Puddin!

– Dobry Boże, gdzie się podziała tym razem... – Mama się odwróciła.

Pobiegłam na stację benzynową. Puddin nie było w łazience, w małym biurze ani na pustym placyku. Mama stała przy dystrybutorze paliwa i wołała: – Carolino Wendy Watts! Natychmiast tu wracaj.

Pobiegłam za stację. Puddin siedziała w zielsku, z głową opartą o budynek stacji benzynowej i płakała.

– Puddin! Co się stało?

– Mama nie chciała się zatrzymać. Zmoczyłam się – zawyla.

– Co się dzieje? – Mama wyszła z za budynku.

– Puddin zmoczyła majtki. – Pomogłam siostrze wstać.

Na twarzy mamy walczyły ze sobą dwie emocje: „jestem naprawdę wkurzona” oraz „no cóż”.

– Chodź, Puddin, weźmiemy czyste majtki z bagażnika. – „No cóż” zwyciężyło.

\*

Mary wyjęła cebulę z hot doga i posłała mi spojrzenie, które znaczyło, że mam nie zwracać uwagi. Zaczęła jeść, a ja przypomniałam sobie o jej niestrawności.

Kiedy tylko mama skończyła swojego hot doga, ruszyliśmy w dalszą drogę.

Stell wytarła palce i wetknęła serwetkę do torby ze śmieciami.

– Już za trzy tygodnie szkoła. Nie mogę się doczekać.

– Fu! – Z przykrością myślałam o końcu wakacji.

– Jestem podekscytowana z powodu nowego ślubowania wierności – oświadczyła Stell, ale nie miałam pojęcia, o czym mówi. – Kongres dodał słowa „W Bogu”.

– Gdzie?

– „Jeden naród, niepodzielny w Bogu” – wyrecytowała swoim najbardziej uduchowionym tonem.

– Hmm. – Mary skrzyżowała ręce na piersiach.

– Nie sądzisz, że dodanie Boga do ślubowania to dobry pomysł? – spytałam.

– Umieszczanie Boga w ślubowaniu i na pieniądzech to jak stawianie na niebie znaku z napisem „powietrze”. – Czasem Mary zaskakiwała mnie swoimi przemyśleniami.

Mama pogłośniła radio i dostroiła, łapiąc urywki programu Młody doktor Malone.

Zakłócenia były tak silne, że w końcu wyłączyła odbiornik.

– Głowa mi pęka.

– Mamo, pozwól mi poprowadzić – poprosiła Stell. – Możesz się trochę przespać.

Mama zjechała na pobocze i obeszła samochód, zatrzymując się, żeby się rozciągnąć, opierając ręce na krzyżu. W końcu zajęła miejsce obok kierowcy.

– Jeśli wlepią ci mandat, masz zakaz wychodzenia z domu.

Stell spojrzała na mnie w lusterku. Pomachałam jej. Stell wysunęła język, po czym poprawiła boczne lusterko.

– Wszystko gotowe. – Wjechała na autostradę. Ciężarówka przetoczyła się tuż obok naszego zderzaka, trąbiąc wściekle. Stell aż podskoczyła.

– Stell! – krzyknęła mama. – Wyjechałaś prosto pod niego.

– Jechał za szybko.

Ciężarówka wyminęła nas, samochód się zakołysał, ale Stell utrzymała go na szosie.

Mama oparła się o okno. Przez kolejną godzinę mama spała, a Stell jechała równo dziewięćdziesiątką. Przejechaliśmy obok reklam kremu do golenia Burma Shave, które czytałam na głos: – „Substytuty tylko ruchy krepują. Pewnych problemów nie rozwiązują. Burma Shave”. – Pomyślałam o mamie, która z wysiłkiem naciągała ciasny elastyczny pas i przypinała do niego pończochy. Kiedy chciała oznajmić, że jest prawie gotowa, mówiła: „Mam już pas do pończoch”. Obiecałam sobie, że nigdy nie będę go nosić.

Na opłotkach Claxton minęliśmy farmy, zakłady przetwórstwa bawełny, silosy z paszą i zbożem. Autostrada numer 280 przeszła w ulicę Main, Stell zwolniła. Tata mówił, że w miasteczkach policja łapie kierowców za przekraczanie prędkości.

Davie wdrapał mi się na kolana, rozgrzany jak butelka z wrzątkiem.



– Nie. – Odepchnęłam go.

– Dubi – zajęczał. – Znaczek. – Pokazał mi kapsel z butelki coli.

– Cicho tam z tyłu – powiedziała mama.

Davie opadł na mnie, rozgrzany i wilgotny. Ponownie odmówiłam, usiłując szeptać, a jednocześnie być nieustępliwa.

– Znaczek – zawołał.

Mama trzepnęła za siebie ręką, jakby chciała wymierzyć klapsa.

– Co się dzieje? – Stell zerknęła na mnie przez ramię.

Później mówiłam, że wiem, że to się wydarzy. Tyle razy to powtarzałam, aż nabrałam pewności, że to była prawda.

Nad nami pojawił się cień. Rozległ się jazgotliwy chrzęst, nasz samochód okręcił się i przechylił. Zsunawszy się z foteli, powpadaliśmy na siebie. Samochód zawisł na dwóch kołach, po czym gwałtownie szarpnął w tył. Metal uderzył o chodnik.

Ciszę przerwał płacz Daviego: – Uuu. Uuu.

– Czy wszyscy są cali? – spytała mama drżącym głosem.

– Niech nas Jezus błogosławi – powiedziała Mary.

– Puddin? – odezwała się mama.

– Tutaj jestem. – Głos Puddin drżał. – Pod Jubie.

Davie znowu zawył.

– W porządku, malutki? – Przytknęłam jego rączkę do ust i poczułam na twarzy wilgoć.

– Nie! – Jego rączka krwawiła.

Stell otworzyła drzwiczki i stanęła przy samochodzie z wyrazem oszołomienia na twarzy.

– Chodźcie, wysiadamy – powiedziała Mary.

Sfatygowana stara ciężarówka, która w nas uderzyła, znajdowała się po drugiej stronie ulicy, z przednimi oponami na chodniku.

Mama ujęła Daviego za rączkę i kolejno rozprostowała mu palce.

– Och, Davie. Masz skaleczenie w kształcie kapsla, czy to nie zabawne?

Davie czknał i spojrzał na dłoń.

– Krwawisz, Jubie – powiedziała Puddin. – W miejscu, gdzie przygryzłam sobie wargę, czułam smak krwi.

– Jezu Chryste – rozległ się czyjś głos. Dookoła zgromadził się tłum. Ludzie gapili się, gestykulowali, rozmawiali.

– Pokaż. Nie jest tak źle. – Mama wyjęła z kieszeni chusteczkę higieniczną i przycisnęła ją do mojej wargi. Krew poplamiła mi nową koszulkę z krótkim rękawem. – Nie trzeba tego zszywać, Jubie – oceniła mama, oglądając skaleczenie.

Trzymając chusteczkę przy ustach, rozejrzałam się za Mary. Stała za samochodem i rozcierała sobie głowę.

– Jesteś ranna, Mary? – zapytałam.

– Nie. Trochę się tylko poobijałam. – Spojrzawszy na samochód, potrząsnęła głową. – Trzeba go będzie naprawić.

Obeszłam packarda. Przedni zderzak po prawej stronie został wgnieciony, a samochód obrócił się i znowu stał przodem na zachód. Z kratki na przodzie kapał płyn, tworząc kałużę na jezdni.

– Uderzyłam się w głowę – poskarżyła się mamie Puddin.

Mama rozsunęła Puddin włosy, by zbadać skórę na głowie.

– Rośnie ci guz. Poza tym w porządku?

– Tak.

– Stell Ann?

– Ja też uderzyłam się w głowę.

Mama uniosła podbródek Stell i spojrzała jej w oczy.

– Popatrz w górę. W dół. Na boki. Ile widzisz palców? – Mama wysunęła trzy palce.

– Trzy.

– Usiądź tam w trawie i nie ruszaj się.

– O, la, la! – zawołała jakaś kobieta. – Bobby Joe znowu to zrobił.

Z apteki Rexall na rogu wyszedł mężczyzna w białym kitlu.

– Jestem aptekarzem. Chętnie państwu pomogę.

Mama skinęła głową.

– Mam na to coś w sam raz – oświadczył aptekarz po obejrzeniu rączki Daviego.

Wrócił do apteki, skąd przyniósł buteleczkę merkurochromu. Kiedy aptekarz spróbował dotknąć Daviego, ten wrzasnął i wtulił twarz w pierś mamy. Ona wyciągnęła jego rączkę w stronę aptekarza. Odkaziwszy ranę, założył plaster i wręczył Daviemu wiśniowego lizaka. – Za to, że byłeś takim dzielnym pacjentem.

Davie chlipnął i wsunął lizaka do buzi. Mama pocałowała go w rączkę.

Jeden z ludzi sprawdzał nasz samochód, klęknął i zajrzał pod podwozie. Miał ciemne okulary, spod słomkowego kapelusza wysuwały się długie włosy. Mama podała mi Daviego.

Wtulił buzię w moją szyję, aż zebrało mi się na płacz. Zaczęłam się trząść. Usiadłam na ławce przed apteką i walczyłam z nudnościami, przełykając ślinę raz po raz; wreszcie mdłości ustąpiły.

– Nazywam się Jake Stirewalt – przedstawił się mężczyzna, który oglądał nasz wóz.

– Jestem pani Watts. Pani Williamsowa Watts.

– Tam jest mój warsztat – wskazał garaż. – Spróbuję naprawić pani auto, pani Watts.

Chyba potrzebna będzie nowa chłodnica, ale ja jej nie mam.

– Może pan ją zdobyć?

– Muszę popytać u sprzedawców packardów w Savannah, Augusta. To może trochę potrwać.

– No cóż – westchnęła mama.

Stell Ann siedziała na spłachetku trawy po przeciwległej stronie ulicy. Mary, trzymając Puddin za rękę, stała na skraju zbiegowiska. Ujrzawszy, że na nią patrzę, pomachała mi.

Na sąsiedniej ulicy rozległa się syrena i po chwili podjechał wóz szeryfa. Z samochodu wysiadł mężczyzna w mundurze, który powiedział do mamy: – Jestem zastępcą szeryfa Hinson. Czy ktoś jest ranny?

– Mój synek skaleczył się w rękę, a córka przecięła sobie wargę. Wszyscy potłukli sobie głowy, ale chyba nic nam nie jest.

– Bobby Joe? – zawołał policjant przez ulicę. – Chodź no tu.

Kierowca ciężarówki opierał się o zderzak swojego auta. Przód ciężarówki zgniół się w harmonijkę, ale on najwyraźniej nic sobie z tego nie robił. Oderwawszy się od samochodu, chwiejnym krokiem przeszedł przez ulicę.

– Dałeś w gaz, Bobby Joe?

Kierowca przytaknął i wsunął się do wozu szeryfa.

– Postaram się, żebyś już nigdy nie usiadł za kółkiem. – Kierowca oparł się o okno, a jego włosy rozpląszczyły się na szkle w siwy placek.

Zastępca szeryfa nosił na biodrze skórzaną kaburę, a w niej czarny, kanciasty pistolet, podobny do broni taty. Czy kiedykolwiek go użył?

– Ktoś widział, co się tu stało? – zawołał policjant. Jeden z mężczyzn wyszedł przed tłum i rzekł: – Bobby Joe Tart wyleciał z Grady. Nie zatrzymał się nawet przy znaku stop. Walnął w samochód tej młodej damy. Ona jechała do centrum ulicą Main.

– To prawda? – zwrócił się zastępca do Stell.

– Wszystko stało się tak szybko – odpowiedziała mama.

– Możemy przepchnąć samochód do mojego warsztatu? – spytał pan Stirewalt, podchodząc do nas.

– Jasne, zróbcie to – odparł zastępca szeryfa.

– Proszę nie zaczynać pracy, dopóki nie porozmawiam z mężem – powiedziała mama.

Pan Stirewalt wręczył mamie kawałek papieru.

– Oto mój numer. Garaż J i J. Najlepszy warsztat naprawczy w Claxton. Proszę spytać kogokolwiek.

Ludzie zaczęli się rozchodzić, oglądając się na nas, jakby nie chcieli się rozstać z rozrywką. Policjant zadał mamie jeszcze kilka pytań, zanotował odpowiedzi. Davie wyciągnął rączkę, wnętrzem dłoni do góry, pokazując mi plaster.

– Davie skaleczony.

– Tak, ale masz już opatrunek.

– Pocałuj. – Przytknął rączkę do moich ust. Poczułam suchą, gumową woń plastra zmieszaną z zapachem wiśniowego lizaka.

Mary zaczęła wyjmować rzeczy z bagażnika. Postawiłam Daviego obok Puddin, żeby pomóc Mary układać bagaże na chodniku. Pan Stirewalt przy pomocy dwóch ludzi przepchnął samochód do garażu po drugiej stronie ulicy.

– No to utknęliśmy. – Puddin oparła głowę na moim ramieniu.

Pan Stirewalt wrócił do mamy.

– Radzę zatrzymać się w motelu kilka przecznic stąd. Jutro może pani do mnie zadzwonić. – Odwrócił się i zawołał: – Gaither!

– Co? – odparł jeden z ludzi, którzy pchali nasz samochód.

– Zaprowadź panią Watts z dziećmi do Sally's.

– Czy w tym motelu przyjmą naszą dziewczynę?

– Z tym może być problem. – Pan Stirewalt zdjął kapelusz, odsłaniając wgłębienie w zatłuszczonych włosach.

Człowiek imieniem Gaither zabrał głos: – Pewien czarnuch wynosi u nas śmieci. Jak nie znajdzie pani pokoju dla swojej dziewczyny, to go spytam. – Pod pachami miał wilgotne plamy. Ten wysoki mężczyzna nosił za krótkie szare spodnie robocze, spod których wystawały gołe sękaty kostki. – Ktoś ją przyjmie. – Uśmiechnął się do Mary, ale jego wzrok był twardy.

Obok nas zatrzymała się z grzechotem stara furgonetka. Przednia szyba od strony pasażera była pęknięta. Chłopak, który wyskoczył z wozu, rzucił kluczyki Gaitherowi, ten władował nasze bagaże na naczepę, wpadając na mnie, gdy sięgał po kolejną walizkę. Gaither cuchnął papierosami i starym potem.

Mary podeszła, żeby pomóc przy bagażach, ale Gaither powiedział: – Poradzę sobie, dziewczyno.

Mary odeszła ze spuszczoną głową. Gaither przecesał palcami gęste brązowe przetłuszczone włosy.

Mama i Stell Ann zajęły miejsca z przodu furgonetki. Mama posadziła sobie Daviego na kolanach, po czym zawołała przez okno: – Wsiadajcie z tyłu.

Puddin i ja wdrapałyśmy się na naczepę.

Mary podała mi swoją torebkę. Chwyciwszy się boku furgonetki, postawiła nogę na zderzaku i podciągnęła się, przytrzymując spódnice. Puddin i Mary usiadły na bagażach, ja na skrzynce z narzędziami. Furgonetka cuchnęła jak nasza piwnica, kiedy ścieki wylały.

Gaither jechał wolno ulicami. Claxton wyglądało przyjaźnie, ulice pozamiatane, witryny sklepowe

lśniły w popołudniowym słońcu. Równoległe do ulicy Main biegingy błyszczące tory kolejowe. Przed sklepem modniarskim kobieta w żółtej sukience z nadrukiem podlewała kwiaty w wiszących doniczkach. Przed zakładem fryzjerskim siedzieli na krzesłach mężczyźni. W oknie ujrzałam napis BABCINE KEKSY NA SPRZEDAŻ. PYTAĆ W ŚRODKU. Fryzjer w niebieskim fartuchu opierał się o framugę drzwi pod obracającym się słupem pomalowanym na czerwono, biało i niebiesko; pasy biegingy spiralnie ku szczytowi.

Furgonetka skręciła na podjazd przy tablicy MOTEL SALLY'S. DOMKI. BASEN. WOLNE MIEJSCA i zatrzymała się przed ceglanyim budynkiem z napisem BIURO na drzwiach. Między domkami biegingy ścieżki wyłożone szarymi kamieniami, dzielące zielone trawniki na kwadraty i trójkąty. Basenu nie widziałam.

Gaither wysiadł, odchrząknął, zakaszał. Z biura wyszła kobieta, osłaniając oczy dłonią. Krótkie brązowe włosy miała ułożone w zwarte fale.

– Cześć, Sally – powiedział Gaither.

– Cześć, Gaither.

– Ci ludzie mieli wypadek. Ich samochód jest u Jake'a. – Z rękawa koszuli Gaither wysunął paczkę papierosów. – To jest Sally Bishop.

– Dzień dobry, panno Bishop – powiedziała mama. – Potrzebujemy pokojów.

Przynajmniej na jedną noc.

– Pani Bishop – kobieta poprawiła mamę i spojrzała na Mary. – To wasza dziewczyna?

– Tak.

Kobieta oddaliła się, z jedną dłonią przy ustach, drugą, ściśniętą w pięść, na biodrze.

Odwróciwszy się, rzuciła: – Pani z dzieckiem może się zatrzymać w domku numer dwa. – Skinęła ręką.

– Z podwójnym łóżkiem. Pozostali w domku czwartym: dwa podwójne łóżka, kuchenka, z łóżkiem połowym dla dziewczyny.

– Za ile? – spytała mama.

– Cztery za noc za mały domek, dziesięć za noc za duży. Płatne codziennie z góry.

– Wielkie nieba!

– Pani wybór. W żadnym innym miejscu w okolicy jej nie przyjmą.

– Ma pani telefon, z którego mogłabym skorzystać?

Mama i pani Bishop weszły do biura. Na tabliczce przy drzwiach widniał napis: ŚWIEŻE KEKSY. WIĘCEJ WIŚNI, ŻADNEGO CYTRONU.

Przez okno dobiegingy mnie słowa mamy, która zostawiała dla taty wiadomość u jego sekretarki. Odłożywszy słuchawkę, powiedziała do właścicielki motelu: – Nie zastałam męża. Muszę zadzwonić jeszcze raz. – Potem podała telefonistce numer wujka Taylora. – Bezpośrednia rozmowa na koszt odbiorcy.

Po paru minutach mama odezwała się znowu: – Och, Taylor, dzięki Bogu, że jesteś. Mieliśmy wypadek. Wszyscy są zdrowi, ale samochód... – Wydmuchała nos. – Bóg wie, gdzie się podziewa Bill. Zostawiłam mu wiadomość. – Mama powiedziała coś, czego nie dosłyszałam, a potem: – Tak, ale potrzebuję go. Jestem tym przytłoczona.

Kiedy mama się rozłączyła, powiedziałam do Stell: – Mam nadzieję, że tu zostaniemy. Chcę popływać.

– Mam nadzieję, że mają nie tylko prysznic, ale i wannę.

Mama wyszła z biura i oświadczyła: – Zanieście tam moją walizkę. – Wskazała domek numer dwa. – Pozostałe bagaże zanieście do domku numer cztery.

– Jeszcze jedno. – Pani Bishop wyszła na dwór. Jej głos brzmiał ostro. – Mogę mieć kłopoty dlatego, że pozwałam waszej dziewczynie tu zostać, ale widzę, że jesteście w tarapatach, więc zrobię wyjątek.

– Jesteśmy pani wdzięczni – zapewniła mama.

– Jednak są pewne reguły. Nie wolno jej korzystać z waszych łazienek, musi używać wygodki. Za domkiem szóstym, za tamtymi drzewami – pokazała.

– A co z kąpielą? – spytała mama.

– Nie wolno jej korzystać z basenu.

– Miałam na myśli mycie się.

– Za domkiem numer cztery jest pompa. – Kobieta zakaszłała i dotknęła włosów. – Więcej nie mogę zrobić. Gdyby wiadomość się rozeszła, mogłabym stracić pracę. Są tu ludzie... – Ruszyła w stronę biura.

– Tak – powiedziała cicho mama. – Zawsze są jacyś ludzie.

Wdrapałam się na naczepę furgonetki i podałam Mary walizki. Kiedy schodziłam, podszedł Gaither i podał mi rękę. Jego dłoń była szorstka. Zeskoczyłam ze zderzaka i oddaliłam się od niego.

– Do zobaczenia. – Gaither rzucił niedopałek na trawnik. Wsiadając do furgonetki, znowu chrząknął i zakaszłał.

Właśnie rozpakowywaliśmy się w domku, kiedy właścicielka motelu przyniosła łóżko polowe dla Mary – drewniany stelaż obciążony zielonym płótnem, jak łóżko, na którym spałam na obozie skautów. Kobieta dała Mary spłowiełą kape, dwa prześcieradła i poduszkę.

– Jest tak gorąco, że nie potrzebujesz koca.

Łóżko polowe ustawiliśmy pod oknem w kuchence wyposażonej w piecyk z dwiema fajerkami, małą lodówkę i zlew. Do ściany taśmą klejącą przyczepiono wyświechtaną kartkę z napisem: „Stoły pod łóżkiem”. Schyliwszy się, znalazłam cztery małe składane stoliki.

Mama, która zarzekała się, że w życiu nie zje kolacji na tacy, musiała się ugryźć w język.

– To będzie moje – oświadczyła Stell, siadając na łóżku. – Ty i Puddin możecie zająć drugie.

Od wyjazdu z Charlotte Stell dawała do zrozumienia, że nie zamierza spać razem z Puddin. Może dlatego, że w domu dzieliły sypialnię i teraz Stell chciała się odłączyć. Mama wstąpiła do naszego domku, żeby sprawdzić, jak się mamy. Zajrzawszy do łazienki, powiedziała: – Mary, korzystaj z toalety i prysznic. Dziewczynki na pewno nie mają nic przeciwko temu. Jeżeli ta Sally coś powie, przyślij ją do mnie.

Mary skinęła głową.

Pani Bishop zapukała do drzwi.

– Telefon, pani Watts. To chyba pani mąż.

Miałam nadzieję, że nie słyszała, co mama mówiła do Mary.

Mama wykrzywiła usta i oświadczyła: – Rozgośćcie się, ja tymczasem porozmawiam z waszym ojcem.



## Rozdział 18

Basen znalazłam za drzewami za domkami motelowymi. Okazał się mały, z krzesłami i leżakami słończonymi na betonowym pasie. Marna trampolina prawie nie miała sprężystości, a znajdowała się tak nisko, że ledwo nadawała się do skoków. Ubrana w kostium kąpielowy, wyciągnęłam się na trampolinie, ocierając łopatkami o wytarty konopny rozbieg. Z oddali dobiegały przytłumione odgłosy ruchu ulicznego na bulwarze. Drzwiczki samochodu trzasnęły, ktoś zawołał: „Na razie!”. Potarłam plecami o wystrzępioną matę, popatrzyłam w bezchmurne niebo i pomyślałam o Leesumie. Jeśli skakał do wody równie dobrze jak pływał, zrozumiałby, jak beznadziejna jest ta trampolina.

Trampoliny, które tata zbudował dla basenu miejskiego w Charlotte, nadawały się dla prawdziwych skoczków. Gdyby tata miał trenera z prawdziwego zdarzenia, mógłby zostać jednym z nich. Nadal potrafił zrobić w powietrzu scyzoryk.

Uroczysta inauguracja nowych trampolin w Charlotte odbyła się w weekend przed Dniem Weterana, kiedy otwierano sezon letni na miejskim basenie. Już byliśmy spóźnieni, więc mama jechała szybko, ale gdy dotarliśmy na miejsce, na parkingu brakowało miejsc.

Mama zatrzymała się za autem taty i zaśmiała się: – Zablokowałam go.

Ludzie siedzieli na tymczasowych trybunach wokół basenu – burmistrz, przyjaciele z country klubu, pracownicy Watts Concrete Fabrications. Tata w niebieskim garniturze z kory i słomkowym kapeluszu z poplamionym otokiem stał obok wysokiej trampoliny. Powiedział coś do stryja Stamosa, który zdawał się wtapiać w tło, jak zwykle, kiedy ci dwaj byli razem.

Stell i ja siedziałyśmy po jednej stronie mamy, Puddin po drugiej. Davie wiercił się na kolanach mamy, aż sarknęła, żeby się uspokoił, po czym się rozejrzała, chcąc sprawdzić, czy ktoś ją usłyszał. Uśmiechnęła się do brata burmistrza, którego znaliśmy z klubu.

W powietrzu pachniało chlorem, papierosami i olejkiem do opalania. W upalnym słońcu basen wyglądał jak turkusowe szkło, chciałam wskoczyć, wzbijać fale, krzyknąć.

Nieruchoma niebieska woda wprost prosiła, by ją wzburzyć.

– Próba mikrofonu, raz, dwa, trzy, cztery – dobiegł głos z głośników. Pisk sprzężenia wywołał jęk widzów. – Ścisz to, Peter – zawołał jakiś człowiek. Stell Ann uniosła brwi i zakryła usta dłonią, tłumiąc śmiech. Na twarzy Puddin malowało się znużenie.

– Dobry wieczór! – powiedział burmistrz do mikrofonu. – Cieszę się, że wszyscy tu jesteście. Mam nadzieję, że przynieśliście kostiumy! – Ludzie roześmiali się, jakby powiedział coś zabawnego. – Nasi młodzi sportowcy potrzebują tego wspaniałego obiektu. Muszą trenować na sprzęcie najwyższej klasy. Charlotte jest obecnie największym miastem w obu Karolinach, mamy nadzieję, że wkrótce nasi reprezentanci wystartują na Olimpiadzie. – W tłumie rozległy się sporadyczne oklaski. – Podstawową zasadą biznesu jest rozrywka. Oddaję głos Orkiestrze Marszowej Liceum Myers Park!

Zagrały bębny. Brama w siatkowym ogrodzeniu wokół basenu otworzyła się i wmaszerowała dziewczyna prowadząca paradę. Widzowie wybuchem śmiechu powitali orkiestrę w czapach z piórami, wysokich butach i strojach kąpielowych. Muzycy zatrzymali się i maszerowali w miejscu przy basenie. Kadencja bębnowa przeszła w powolny, powtarzający się rytm werbli. Flecista zagrał refren z Dixie. Ludzie powstali i zaczęli śpiewać. Śpiewając o dawnych czasach, które nie odeszły w zapomnienie,

dostałam gęziej skórki. Pod koniec zwrotki ludzie zaczęli siadać, ale jedna z uczestniczek parady podeszła do mikrofonu i zaśpiewała zwrotkę, której nigdy wcześniej nie słyszałam: Jedna pani wyszła za tkacza Willa.

Willum zdradzał ją co chwila.

Nie patrz! Nie patrz! Nie patrz! Drogie Dixie!

Jeśli chce odegnąć smutek, Zaśpiewa to jutro, taki będzie skutek.

Nie patrz! Nie patrz! Nie patrz! Drogie Dixie!

Głos dziewczyny zawisł w powietrzu. Potem wszyscy raz jeszcze zaintonowali refren, mocniej niż dotychczas. Orkiestra wymaszerowała, łoskot werbli ucichł, a burmistrz oznajmił: – Teraz przekażę mikrofon człowiekowi, dzięki któremu to wszystko stało się możliwe. William Watts jest szefem Watts Concrete Fabrications, firmy, która zbudowała te wspaniałe trampoliny. Dumny mąż i ojciec czwórki dzieci przybył tu dzisiaj razem rodziną. – Burmistrz uchylił do nas kapelusza i kontynuował: – Dwie córki Wattsów już są świetnymi pływaczkami, a Billa często można spotkać na ich zawodach. – Stell dotknęła mojej ręki.

Siedziałam ze wzrokiem wbitym w ziemię, zastanawiając się, czy powinnam spojrzeć w górę.

Burmistrz mówił dalej. – Wattowie są aktywnymi członkami Kościoła metodystów przy Selwyn Avenue oraz Myers Park Country Club, gdzie Bill zasiada w radzie nadzorczej i gdzie niedawno wszedł do elity, kiedy trafił do jednego z ostatnich dziewięciu dołków na polu golfowym. Brawa dla Williama Wattsa!

Ludzie zaczęli klaskać. Tata oddał okulary stryjowi Stamosowi i podszedł do podstawy trampolin.

– Czemu on ma na głowie ten stary kapelusz? – spytałam mamę.

– Ciii. Będzie przemawiał.

Mama nie posiadała się z dumy, ponieważ tata został kimś w Charlotte, szanowanym biznesmenem.

Wyprostowałam się. Tata dał znać gestem ręki, że nie chce używać mikrofonu.

– Czy wszyscy dobrze mnie słyszą? – zawołał, a ludzie odkrzyknęli: – Tak!

– Co jest tajemnicą betonu? – krzyknął tata.

– Co? – rozległ się czyjś głos.

– Musi być twardy! – Tata zaczął skakać na chodniku, a ludzie ryknęli śmiechem; wszystkie oczy były skierowane na niego. Stał po głębokiej stronie basenu, a jego odbicie padało obok lustrzanego odbicia trampoliny. – Nasze przedsiębiorstwo to tylko mała lokalna firma, grupa facetów wykonujących drobne prace. Kiedy wygraliśmy konkurs na wykonawcę basenu i trampolin, musiałem zatrudnić więcej pracowników i wrócić do szkoły. – Tata zzuł mokasyny i postawił stopę na pierwszym szczeblu drabinki prowadzącej na trampolinę. – Musiałem poznać najnowsze osiągnięcia w takich dziedzinach, jak siła sprężania, czas utwardzania, kątowniki... – Tata stanął na szczycie drabinki i dotknął podstawy zbudowanej przez jego firmę. – Oto jedna z największych konstrukcji, jakie do tej pory postawiliśmy. – Pozdrowił zgromadzonych, uchyłając róna kapelusza. Czerwony kamień w jego sygnecie zamigotał. Tata zdjął kapelusz i cisnął go tak, że poszybował i wylądował pośrodku basenu.

Znowu rozległ się śmiech. Mama potrząsnęła głową.

– To dlatego założył stary kapelusz.

– Sami zaprojektowaliśmy tę podstawę, aby utrzymała trampoliny. – Słońce lśniło na włosach taty. Pokonawszy stopnie drabinki, wyszedł na trampolinę. – Należy je precyzyjnie zamocować, bo w przeciwnym razie skoczkowie nie będą mieli sprężystości... – Zrobił dwa kroki, a deska ugięła się pod jego ciężarem. – Potrzebnej przy potrójnej śrubie w tył. – Tata ugiął kolana, deska powędrowała w dół, podniosła się. Cieszyłam się, że tata wie, co to jest śruba. Odwrócił się plecami do basenu, stopy postawił na końcu deski, zrównując pięty z krawędzią. – Nawet najprostszy skok wymaga dobrej

sprężystości.

Tata milczał przez minutę, widzowie czekali.

– Wytrawny skoczek wie, że każda trampolina jest inna, ale jego krok jest taki sam. – Tata podniósł stopę i rozłożył ręce, jakby dla zachowania równowagi, ale wiedziałam, że udaje. Zrobił cztery kroki w stronę drabinki. – Skoczek robi cztery kroki od końca, następnie się odwraca. – Tata się obrócił. – Ile to jest trzy metry? – spytał zdezorientowany. – Większość Amerykanów musi to przeliczyć na jednostki. – Nad białą podstawą trampoliny prezentował się niezwykle przystojnie. Byłam dumna, że jestem jego córką. – Trzy metry to dziewięć i siedemdziesiąt pięć setnych stopy, mniej więcej tyle, ile wysokości marmy w jednopiętrowym domu. Tak więc trzymetrowa trampolina znajduje się dziesięć stóp nad wodą. – Tata uklęknął i położył dłoń na żerdzi pod deską. – Sekret sprężystości tkwi w punkcie podparcia, czyli w tej żerdzi. Jak widzicie, można ją regulować. – Pokazał korbkę. – Właściwe umiejscowienie punktu podparcia pozwala kontrolować poziom sprężystości. – Tata wstał i wskazał drabinkę. – Gdybyśmy przesunęli punkt podparcia w tamtą stronę, skoczek poleciałby do sąsiedniego okręgu. – Tata stanął na palcach i rozłożył szeroko ręce.

Zażenowana wilgotnymi plamami pod jego pachami, odwróciłam wzrok. Po chwili opuścił pięty i ponownie stanął na całych stopach. – Skoczek odmierza kroki od końca deski, żeby wiedzieć, skąd powinien zacząć rozbieg. – Zrobił trzy długie, szybkie kroki, zataczając rękami koła w powietrzu, w końcu złączył dłonie nad głową. Uniósł w górę zgięte lewe kolano, potem mocno tupnął o deskę i poszybował. Dłonie złączyły się ze stopami w idealnym scyzoryku. Na moment zawisł w powietrzu, potem głowa i dłonie opadły, a nogi się rozprostowały. Pionowo przeciął lustro wody, prawie jej nie rozpryskując. Tłum wydał okrzyk, huknęły brawa.

– Ale się popisuje – stwierdziła mama.

Z wody wyłoniły się najpierw ręce taty, potem wypłynął cały niczym Esther Williams w balecie na wodzie. Odgarnąwszy mokre włosy z czoła, wyszedł po drabince z basenu, garnitur przykleił się do jego barczystych ramion i długich nóg.

Puddin wskoczyła do motelowego basenu, przy okazji mnie opryskując. Zsunęłam się do wody. Puddin podpłynęła do mnie urywanymi ruchami, w zasadzie pieskiem.

– Wiesz co? Tata przyjeżdża!

Zanurkowałam, chwyciłam siostrę za stopy, usłyszałam przez wodę jej stłumiony okrzyk.

– Kiedy? – Parskając wodą, wypłynęłam na powierzchnię.

– Jutro. Mama się cieszy.

Podpłynęłam do brzegu basenu. Przez bramę weszła Mary, z Daviem na biodrze.

– Wasz tata będzie tu jutro.

– Puddin mi powiedziała.

– Chce się upewnić, że samochód waszej mamy porządnie naprawią. – Postawiła Daviego na ziemi.

Natychmiast pomaszerował do basenu, wyciągając rączki.

– Dubi, woda.

– Zabierz go do wody. Nie zamocz plastra.

Zaprowadziłam Daviego na płytką stronę, gdzie usiedliśmy na schodkach. Bart zaczął kopać wodę nóżkami.

Mary wyjęła chusteczkę higieniczną i otarła twarz. Bardzo chciałam, żeby mogła wejść z nami do basenu, chciałam też, żeby tata został w Charlotte.

## Rozdział 19

– Stell, Jubie, chodźmy kupić keks. – Mama stanęła w drzwiach naszego domku.

Stell czesała swoje kasztanowe włosy, połyskujące w smudze porannego światła, sączącego się przez otwarte okno.

– Za dziesięć minut, dobrze?

Mama skinęła głową. Właśnie miała otworzyć drzwi, kiedy odezwała się Mary: – Ja też chcę kupić keks.

– Wobec tego musimy zabrać Puddin i Daviego – powiedziała mama.

– Dopilnuję, żeby nie wchodzili pani w drogę – zapewniła Mary.

– Mogę ci kupić ciasta. Co ty na to?

– Dobrze, proszę pani. Chciałabym trzy keksy.

– Tylko tyle? To żaden problem.

– Z cytronem, z tymi żółtymi kawałeczkami, co mają taki ostry smak.

– Wiem, co to jest cytron. – Mama ponownie ruszyła do drzwi.

– Nie we wszystkich keksach jest cytron. Mnie on bardzo smakuje.

– Zazwyczaj jest.

– Nie, mamó – zauważyłam. – Na niektórych szyldach jest napis „Bez cytronu”.

– Och. – Mama odwróciła się do wyjścia. – Nie komplikujmy spraw bez potrzeby.

W Claxton Fruit Cake Company mama zamówiła dziesięć dwukilowych keksów w świątecznych puszkach i kazała je wysłać.

– Dobrze, dziewczęta, idziemy.

– Mamó! – Najwyraźniej zapomniała.

– Tak?

– Ciasta dla Mary.

– O, mój Boże. Dziękuję, Jubie. – Odwróciła się do sprzedawcy za ladą. – Poproszę trzy półkilowe keksy w torbie. Weźmiemy je ze sobą.

– Jesteś pewna, że ona nie chce większych? – zapytałam.

– Raczej nie.

Mama spieszyła się z powrotem do motelu na wypadek, gdyby przyjechał tata; szła daleko przede mną i Stell. My się nie spieszyliśmy.

Kiedy wcześniej oglądałyśmy witryny sklepowe przez okna furgonetki, wydawały się pełne ciekawych towarów do kupienia. Teraz, z bliska, widać było, że szyby są poplamione, a produkty wyblakłe i zakurzone. Przed sklepem modniarskim usychały kwiaty z liśćmi zjedzonymi przez robaki. Na wystawie leżało tylko pięć rzeczy: dwa białe kapelusze słomkowe, różowy damski kapelusz w kształcie hełmu, niebieski beret oraz żółty toczek.

Przed sklepem spożywczym Burnetta na chodniku stały kosze z produktami, a w oknie widniał wypisany ręcznie plakat:

**ODRODZENIE W NAMIOCIE!**

13 sierpnia, piątek, 20:00

Kazanie wygłasza wielbny Brian Samuel Cureton.

Dziedziniec kościoła New Smyrna AME Zion.

PRZYJDŹCIE DO JEZUSA!

– Chcę zobaczyć spotkanie wiernych w namiocie – oświadczyła Stell Ann.

Mama była już prawie przecnicę przed nami.

– Zwariowałaś. Mama i tata w życiu nie wejdą do kościoła dla kolorowych.

– Nie zamierzałam ich zapraszać.

Stell podeszła do człowieka drzemiącego na krześle przed zakładem fryzjerskim.

– Proszę pana?

Tamten otworzył oczy.

– Jak dojść do kościoła New Smyrna AME Zion?

– To kościół czarnych.

– Nasza dziewczyna chce się dowiedzieć – zełgała gładko Stell.

– To przy Zion Church Creek Road.

– Czy ona może tam pójść piechotą?

– Bez problemu. To zaledwie kilometr albo coś koło tego. – Kiedy się oddalałyśmy, mężczyzna zamknął oczy i oparł się znowu na krześle.

– Mary nas zaprowadzi – oświadczyła Stell. Decyzja zapadła.

Mary, Davie i Puddin siedzieli przy huśtawkach na podwórzu.

– Hej! – podbiegłam do Mary. – Mamy twoje ciasta!

– Z cytronem, jak chciałaś – powiedziała mama, podchodząc. – Dwa dolary czterdzieści centów.

Chcesz mi zapłacić, czy mam potrącić...

– Nie, proszę pani, zapłacę. – Mary zajrzała do torby. – Och...

– Idę do siebie. Możesz dać pieniądze Jubie.

– Dobrze.

– Co się stało? – spytałam.

Mama się odwróciła.

– Nic. Tylko są takie małe.

– Cóż, Mary, duże keksy są strasznie drogie.

– Tak, proszę pani. Te są w porządku.

– Dobra, powiedz, co jest nie tak. – Usiadłam na huśtawce.

– Zamierzałam podarować keks przyjaciółce. Jeden miał być na przyjęcie kościelne, jeden dla mnie i dzieciaków. Myślałam, że są duże, a nie takie nędzne.

– Przykro mi.

– Nie szkodzi.

– Wiem! – zeskoczyłam z huśtawki. – Jutro rano możemy pójść do sklepu z ciastami.

Stell zostanie z Puddin i Daviem, jeśli wyjaśnimy jej, o co chodzi. Będiesz mogła kupić wszystkie ciasta, jakie tylko zechcesz.

Mary odsoniła w uśmiechu złoty ząb z przodu.

– Wspaniale.

Właśnie szukałam w domku komiksu Wonder Woman, żeby go zabrać na basen, kiedy trzasnęły drzwiczki samochodu.

– To tata! – wrzasnęła Puddin.



Przez wyłamana deszczulkę żaluzji wyjrzałam na dwór. Tata kołysał Daviego wysoko w powietrzu i z nim rozmawiał. Pani Bishop z biura motelowego stała na podjeździe i przyglądała się tacie z uśmiechem. Włosy miał podświetlone słońcem, poza tym był bardzo opalony, jakby regularnie grywał w golfa i wędkował nad jeziorem Wylie. W końcu posadził sobie Daviego na barkach, tak szerokich, że Davie wyglądał jak lalka. Stell stała parę metrów od taty. Na pewno myślała o ciotce Lily. Tata odwrócił się ku Stell, słońce odbiło się od jego okularów. Coś do niej powiedział, moja siostra wzruszyła ramionami i wskazała dłonią domek mamy.

Odsunęłam się od okna. Z zasłoniętymi żaluzjami w domku panował mrok i upał; jedyne światło wpadało przez siatkowe drzwi. Nie chciałam się witać z tatą, bo wtedy musiałabym udawać, że jego przyjazd mnie cieszy. Wolałam się zachowywać, jakby był z nami przez cały czas, żebyśmy nie musieli udawać. Siedziałam na łóżku, kiedy weszła Mary z Daviem, wpuszczając do domku słońce. Siatkowe drzwi się zatrzasnęły.

– Czemu się zamykasz w takim upale?

– Zasunęłam żaluzje, żeby się przebrać w kostium kąpielowy.

– To dlaczego go nie włożyłaś?

– Tata przyjechał.

– Tata nigdy nie widział cię w kostiumie kąpielowym? – Mary usiadła koło mnie, kołysząc Daviego. Kciuk wsunął do buzi, powieki mu opadały. Pot spływał mu rowkiem pod nosem, a ja dotknęłam go wierzchem palca. Davie skłonił główkę na ramieniu Mary i zamknął oczy. Mary kołysała się, śpiewając cicho i gładząc go po plecach. Wdychałam zapach talku Daviego i jej mydła. Powieki zaczęły mi ciążyć. Może wszyscy zaśniemy, a tata nie będzie chciał nas budzić?

– Zasnął? – Mary przestała się kołysać.

– Uhm.

Mary położyła Daviego na plecach na łóżku, wygładzając pod nim bawełniane prześcieradło. Odgarnęła mu włoski z wilgotnego czoła i podniosła z podłogi czasopismo.

– Nie przysłaś przywitać się z tatą.

– Zrobię to, kiedy się spotka z mamą. Pytał o mnie?

– Powiedziałam, że pływasz. – Mary wachlowała Daviego. – Tak myślałam.

Siatkowe drzwi otworzyły się i w progu stanął tata, zasłaniając światło.

– Cześć, tato. – Wstałam.

– Cześć, robaczku. – Uściskał mnie, potem odsunął na długość ręki i mi się przyjrzał. – Masz o stopę więcej.

– Nie, nadal mam tylko dwie.

Tata się zaśmiał.

– Mary mówiła, że pływasz.

– Wkrótce zamierzam. Jak tylko włożę kostium.

– Wszystko w porządku? – Tata dotknął mojego ramienia.

– Tak jest.

– Chciałbym tak spać. – Tata pogładził Daviego po brzuszku.

– Bill? – zawołała mama z podwórza.

– Hej, Pauly! – rozpromienił się tata i wyszedł. Mama, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, stała przy aucie. Tata sięgnął do kieszeni spodni i wyjął pudełko opakowane jak prezent. – Chciałem znowu wnieść trochę radości do twojego życia.

Mama wzięła prezent, nie patrząc na tatę. Rozerwała papier.

– Joy! – Ulubione perfumy mamy. Potrząsnęła głową.

– Musimy to zostawić za sobą, Paulo. – Czy miał na myśli ciocię Lily?

– Potrzebuję czasu.

– To już prawie rok. – Tata objął ją, a ona się nie cofnęła. Kiedy szli w stronę domku mamy, spytał: – Packard jest bardzo zniszczony?

– Bardzo.

Nie chciałam się rozbierać przy Mary, więc poszłam się przebrać do łazienki. Gdy zdjęłam bluzkę, pomyślałam o tym, co mama powie na widok moich włosów pod pachami.

Nie było ich wiele, poza tym miały tak jasny kolor, że czasami wydawały mi się wytworem mojej wyobraźni, wiedziałam jednak, że mama każe mi się ogolić, tak jak kazała mi nosić staniki Stell Ann, kiedy tylko zaczęły mi rosnać piersi. Włożyłam kostium, na ramiona zarzuciłam ręcznik z wzorem ratowników na filmach i wyszłam z łazienki.

– To nowy kostium? – Mary podniosła wzrok.

– Jak ci się podoba? – Okręciłam się, ciągnąc za sobą ręcznik.

– Myślę, że urosłaś, kiedy nie patrzyłam.

Smuzka światła sącząca się przez szczelinę po wyłamanej deszczulce w żaluzjach igrała na moich udach, a ja spojrzałam na nią w tej samej chwili co Mary. Dłonią przesunęła po moich nogach, jakby chciała zetrzeć niewyraźne niebieskie i żółte sińce.

\*

Wcześniej widziałam, że Davie ma mój komiks, więc poszłam zobaczyć, czy znajdę go w domku rodziców. Po otwarciu drzwi poczułam woń płynu po goleniu taty. Łóżko było pościelone, kapa z frędzlami zwisała aż do listwy przy podłodze. Wiedziałam, że gdybym zajrzała pod poduszkę po stronie mamy, znalazłabym jej różową koszulę nocną. Potknęłam się o białe płócienne spodnie taty. Marynarkę z kory powiesił na oparciu krzesła, spodnie khaki złożył na poręczy. Wśród rzeczy Daviego nie znalazłam komiksu. Nie było go też na nocnym stoliku ani na toaletce, gdzie leżał scyzoryk taty i drobne. Zajrzawszy pod toaletkę, zobaczyłam migoczącą w zakurzonej cieniu zapalniczkę Zippo taty. Wepchnęłam ją za nogę toaletki i tam zostawiłam.

W łazience znalazłam kosmetyczkę taty na umywalce, na podłodze stały pantofle mamy, ale ani śladu Wonder Woman. Stojąc na środku pokoju, już miałam zrezygnować i pójść na basen, kiedy obok nocnego stolika dostrzegłam dziecięcy zestaw do budowania.

Uniosłam rąbek kapy na łóżku i oto, między ścianą a brązową skórzaną walizką taty, leżał mój komiks. Wczołgałam się pod łóżko, chwyciłam go, a wtedy na ścieżce przed domkiem rozległy się głosy rodziców.

– Ależ, Pauly, ona chciała tylko zobaczyć, jak odmalowaliśmy łącznik.

– Linda Gibson zagięła na ciebie parol, a ty jej nie zniechęcasz.

– Zachowuję się po prostu jak przyjazny sąsiad.

Drzwi domku się otworzyły. Leżąc na boku za walizką taty, podciągnęłam nogi do ciała.

– Gapisz się na jej piersi.

– W dniu, kiedy przestanę zwracać uwagę na zgrabną figurę, możesz mnie pochować.

– Szkoda, że na tym nie poprzestajesz. Nie jesteś nawet dyskretny. Na Boga, żona mojego brata...

– Zapomnijmy o tym, Paulo, najdroższa, tęskniłem za tobą.

– Ja za tobą też – westchnęła mama.

Chrzęst na podłodze czułam na ramieniu jak papier ścierny.

– Chodź, kochanie – powiedział łagodnie tata.

– A jeśli dzieci będą nas szukać?

Znieruchomiałam do tego stopnia, że poczułam, jak przestają oddychać.

– Zamkniemy się. – Usłyszałam szcęk zasuw. – Chodź tutaj, Paulo. – Tata usiadł, łóżko ugięło się tak, że znalazło się o kilka centymetrów od mojej twarzy. Prawą rękę podwinęłam pod siebie, z komiksem w dłoni. Podłoga pod łokciem przypominała rozżarzone żelazo. Dłonią zakryłam nos przed kurzem. – Nigdy się tobą nie nasycę – powiedział tata.

Po chwili ciszy coś spadło obok łóżka. Koszula taty. Sandały mamy wylądowały przy mojej twarzy, jej letnia sukienka zsunęła się na podłogę.

– Usiądź, pozwól mi to zrobić – poprosił tata. – Jego buty upadły w nogach łóżka, a w ślad za nimi majtki i stanik mamy.

Jeśli mnie znajdą, zabiję się, postanowiłam. Zapadła taka cisza, że bałam się oddychać. Materac ugiął się nade mną, niemal dotykając twarzy. Z ust mamy zaczęły się dobywać nie słowa, ale odgłosy. Tata warczał. Metalowe sprężyny ugiwały się w górę i w dół, w górę i w dół, dotykały mojego policzka, po czym znów wędrowały w górę. Jedno ucho przycisnęłam do podłogi, drugie zatkałam palcem, żeby wytłumić odgłosy. Mimo to słyszałam niektóre dźwięki wydawane przez mamę. Kurz sprawił, że chciałam kichnąć, więc przytrzymałam się za nos, aż łzy napłynęły mi do oczu. Jeden z haczyków podtrzymujących sprężyny łóżka odgiął się od ramy. Wpatrywałam się w niego, przekonana, że zaraz się zerwie i materac na mnie spadnie. Ze wzrokiem utkwionym w haczyk, modliłam się, żeby dalej się nie wysuwał. W chwili, gdy byłam pewna, że nie wytrzyma, tata krzyknął coś tak głośno, że podskoczyłam, przekonana, że mnie zobaczył.

– Bill, o, Boże, Bill – jęczała mama.

Materac się poruszył i znieruchomiał. Rodzice dyszeli jak po biegu. Mama westchnęła, po czym zamilkli. Długo czekałam, nasłuchując, aż ich oddechy zwolniły. Prawa noga mi zdrętwiała. Czyżby zasnęli? Musieli zasnąć – po chwili stopy mamy dotknęły podłogi przy mojej twarzy. Poszła do łazienki, zamknęła drzwi. W ciszy, jaka zapadła, regularny oddech taty przeszedł w chrapanie. Z łazienki dobiegł szum odkręcanej i spuszczonej wody, odgłos mamy myjącej zęby. Wyobrażałam sobie, jak przytrzymuje mostek ze sztucznym zębem. Drzwi łazienki otworzyły się, mama podeszła bosą, by podnieść stanik i majtki.

Wsunęła sandały. Jej ubranie zaszeleściło. Włosy trzaskały, kiedy je szczotkowała, potem cichy odgłos szminki i szcęk zasuw. Mama otworzyła drzwi.

– Co to? – wymamrotał tata.

– Śpij słodko, kochany. – Zapalniczka Zippo mamy kliknęła.

Tata znowu zaczął chrapać. Wypełzłam spod łóżka i przekreśliłam się na plecy. Stopa taty zwisała przy mojej twarzy, paluch prawie dotykał mego nosa. Odsunawszy się, wstałam i na palcach oddaliłam się od łóżka. Tata obrócił się na plecy. Jego interes leżał wśród zarostu na podbrzuszu.

Powoli otworzyłam siatkowe drzwi, ale zardzewiałe sprężyny zaskrzypiały. Już trzymałam nogę na stopniu, plecami do pokoju, gdy chrapanie ustało. Nad uchem bzyczała mi mucha.

– Jubie? – tata zakaszłał.

– Tak? – spytałam załamującym się głosem.

– Co ty robisz? – Usłyszałam, jak porusza się na łóżku.

– Chciałam tylko...

– Co takiego?

– Mój komiks Wonder Woman. Davie go miał, a ja chciałam go zabrać na basen, więc przyszłam...

– Popatrz na mnie.

Nie mogłam się odwrócić, bo zobaczyłabym jego nagość. Pokazałam mu komiks.

– June! – powiedział surowo. Odwróciłam się. Tata zdążył się zakryć. Mucha wylądowała mi na ramieniu, ale pozwoliłam jej tam zostać i mnie łaskotać.

– Powiedz mamie, że trochę się zdrzemnę.

– Tak jest. – Siatkowe drzwi trzasnęły za mną. Wybiegłam na podwórze i pognałam w stronę basenu.

Na ścieżce wśród sosen zwolniłam; uczucie ulgi było tak silne, że poczułam mdłości.

Bok mi zdrętwiał, więc rozmasowałam go pięścią, powstrzymując płacz.

Przy basenie rozluźniłam spoconą dłoń, cisnęłam komiks na chodnik i dałam nura po głębokiej stronie basenu, o mały włos nie wpadając na Stell. Zanurkowałam na samo dno, chwyciłam kratkę i zostałam w zimnej, przejrzystej wodzie.

## Rozdział 20

Tata słyszał, że grillowane mięso z Georgii, podobnie jak keks, to rarytas, którego nie wolno przegapić. Wraz z talarkami cebuli i tartą pekanową wciągnęłam grillowane mięso na listę moich ulubionych potraw.

Mama ugryzła kęs, zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech.

– Przepyszne. Bill, o, Boże, Bill – powiedziała tym samym tonem co wcześniej.

Musiałam odwrócić wzrok.

– Rozmawiałaś z Carterem? – zwróciła się mama do Stell.

– Tak. On i jego rodzina jadą dzisiaj do Pawleys.

– Powiadomi ludzi, u których wynajęliśmy pokoje?

Stell przytaknęła i rzekła: – Carter odbierze klucz i dowie się, jak do nas dojechać. Powiedziałam mu, że zadzwonię, kiedy wyjedziemy z Claxton, może w poniedziałek. Będzie na nas czekał na przystani, choćby nie wiem jak późno.

– To bardzo miłe z jego strony – odparła mama.

– To sympatyczny chłopak – powiedziała Stell i zjadła pieczoną bułeczkę z mąki kukurydzianej. – Dziś wieczorem jest spotkanie religijne.

– Co z tego? – spytał tata.

– Jak wiecie, bardzo interesuję się religią.

O rany, pomyślałam.

Tata przewrócił oczyma.

– Zawsze chciałam pójść na coś takiego – oświadczyła Stell, ocierając usta serwetką.

Pamiętacie, jak poszłam zobaczyć Daddy’ego Grace’a i...

– Gdzie się odbędzie? – spytał tata.

– Tuż za miastem. Możemy pójść na piechotę. Mary na pewno chciałaby się wybrać.

– Mogliby też wziąć chryslera. – Mama spojrzała na tatę.

– Nie ma mowy – powiedział tata. – Już zdemolowała packarda.

– To nie była moja wina! – zawołała Stell.

– O której jest to spotkanie? – Tacie najwyraźniej zrobiło się przykro.

– Po ósmej, a jest dopiero wpół do szóstej. – Stell posłała mi chytry uśmiezek.

Kiedy szłyśmy, wpatrywałam się w swoje stopy, starając się nie zabrudzić tenisówek, nim dotrzemy na spotkanie. Stell wyglansowała lakierki wazeliną, a teraz były pokryte mazią tłuszczu i czerwonego pyłu.

Nagle przypomniało mi się coś, co przeczytałam w gazecie w Claxton. Chciałam spytać o to Mary, ale nie wiedziałam jak. Wkrótce miała się zacząć szkoła, a ludzie snuli domysły, jaki wpływ wywrze na nas proces Brown przeciwko Ministerstwu Edukacji. Sąd Najwyższy. Dzieci kolorowe i białe uczące się razem. W gazecie widziałam zdjęcie murzyńskiej dziewczynki uczęszczającej do szkoły dla białych, ponieważ Sąd orzekł, że może. Dziewczynka stała przed swoim domem z rodzicami. Podpis pod zdjęciem głosił, że jest to mała Alysha Alderman, ale mnie nie wydawała się mała. Chude ręce wystawały z rękawów sukienki; wzrostem dorównywała niemal swojemu ojcu.

– Mary, chodziłaś do szkoły, kiedy byłaś mała?



– A jak myślisz, gdzie nauczyłam się czytać i pisać?

– Twoja mama mogła cię nauczyć.

– Moja mama nie umiała czytać ani pisać.

– Gdzie chodziłaś do szkoły?

– W domu, gdzie wcześniej mieszkali ludzie. Potem okoliczna ziemia zamieniła się w ugór i ludzie się wynieśli, zostawiając spróchniałą stodołę i przyzwoity budynek.

– Kto był twoim nauczycielem?

– Najpierw mieliśmy jednego, potem drugiego. Wypalali się, bo wszyscy siedzieliśmy w jednej klasie, nawet dzieciaki, które były za małe, żeby chodzić do szkoły, ale gdzieś musiały się podziać, kiedy ich mamy sprzątały po domach i pracowały w fabrykach. Oprócz tego byliśmy my, starsi. Chodziłam do szkoły do piętnastego roku życia, kiedy sama musiałam zacząć sprzątać po domach.

– Widziałas po drodze te napisy „Żadnych Brownów w naszych szkołach”?

– Wiem, o co chodzi.

– To z powodu procesu Brown przeciwko Ministerstwu Edukacji – wtrąciła Stell. Nie przyszło mi do głowy, by ją zapytać.

– Zgadza się – potwierdziła Mary. – Myślę jednak, że wasza mama ma rację. W tych stronach dzieci murzyńskie nie będą się uczyły razem z białymi. Przynajmniej przez pewien czas. Ale kiedyś do tego dojdzie. Ludzie po prostu muszą się zarejestrować i głosować. To trochę potrwa, ale w końcu to nastąpi.

Mary miała na myśli swoich ludzi, nie nas.

Przez pozostałą część drogi na spotkanie rozmyślałam o tym, jak by to było chodzić do szkoły razem z kolorowymi. Czy siedzieliby obok mnie? Czy byli wystarczająco bystrzy, by się uczyć? Mary była. Leesum też. Z rozmów mamy i taty wynikało, że wymieszanie w szkole białych i czarnych byłoby okropne, ale może nie mieli racji.

Wśród pól ujrzeliśmy jezioro z łodzią wiosłową przycumowaną do pomostu. W połowie pomostu unosił się na wodzie podest z resztką deski do skoków. Na podeście wylegiwali się dwaj czarni chłopcy. Na końcu deski stała dziewczyna z rękami uniesionymi w górę, ze złączonymi dłońmi wycelowanymi w niebo. Przechylała się tak długo, aż wpadła do wody, potem wyszła i powtórzyła wszystko od początku. Mogłabym jej udzielić kilku wskazówek na temat skoków. W oddali kobieta łowiła ryby, żyłka tworzyła kręgi na wodzie.

Na długo zanim dotarliśmy na miejsce, ujrzałyśmy namiot, olbrzymią bryłę w kolorze khaki wyrastającą z trawy. Drogą dreptał mężczyzna z trójką dzieci.

– Spóźnimy się, tato – powiedziało dziecko.

– Nie, jeśli się pospieszycie – odparł mężczyzna i dotknął kapelusza, kiedy nas mijał.

Na ścieżce wiodącej do namiotu Stell otrzepała kurz z nóg. Mary wygładziła dół sukienki i wyprostowała się, przez co jakby urosła.

O zmierzchu namiot wypełnił się blaskiem, przez wszystkie otwory sączyło się żółte światło. Gdy podeszłyśmy bliżej, usłyszałam gwar i chichot jakiejś dziewczyny. Mężczyzna zawołał coś, czego nie rozumiałam. Cokolwiek powiedział, tak rozbawił dziewczynę, że o mały włos się nie udławiła.

– Wieczór – powiedziała Mary do człowieka, który stał przy wejściu i palił.

– Tak jest, proszę pani. – Skinął nam głową.

– Przyszłyśmy na spotkanie – oświadczyła Mary.

– Tak jest, pani i młode panienki?

– Zgadza się. Zgadza się – potakiwała Mary. – Zaczęło się już? – mówiła jak człowiek pracujący w naszym obejściu.

– Nie, proszę pani, i wciąż jest mnóstwo wolnych miejsc.

– Mary, dlaczego ty mówisz... – Chwyciła mnie za rękę i uciszyła spojrzeniem.

– Możemy usiąść? – spytała.

– Jak najbardziej – przytaknął skwapliwie mężczyzna.

W namiocie było gorąco i parno. Za dużo ciał stłoczonych razem. Stanęliśmy w przejściu. Siedzący ludzie odwrócili się, spojrzeli na nas. W namiocie zapanowała cisza.

Starsza kobieta wstała i wyciągnęła rękę do Mary.

– Wieczór, siostró. Przyszłaś na spotkanie?

– Tak, psze pani, ja i dziewczynki. Robię dla ich mamy.

– Witajcie. – Starsza kobieta wskazała puste krzesła, trzy rzędy od końca. – Usiądźcie.

Usiadliśmy przy szerokim przejściu. Płótno namiotu, wsparte na centralnym maszcie, rozpościerało się wysoko nad podłogą. Wsporniki tworzyły duże kwadratowe pomieszczenie; płachty namiotu w rogach uwiązano, by wpuścić powietrze. Ludzie siedzieli na składanych drewnianych krzesłach, stołkach i taboretach, metalowych krzesłach werandowych i drewnianych fotelach na biegunach. Dzieci przycupnęły w przejściu na skrzynkach po owocach. W ciągu niespełna tygodnia znalazłam się w dwóch namiotach – pierwszy był w wesołym miasteczku, gdzie poznałam Leesuma.

Na drewnianym ołtarzu wymalowano krzyż; od frontu i po bokach w mosiężnych świecznikach płonęło dwanaście świec. Za amboną siedzieli milczący, nieruchomi chórzyści w purpurowych szatach, blask świec tańczył na ich twarzach. Nie mogłam przestać myśleć o tym, jak gorąco musi im być w tych szatach.

Ramię Stell dotykało mojego. Dotknęła krzyżyka, napinając łańcuszek na szyi. Mary otworzyła torebkę, wyjęła tekturowy wachlarz z drewnianą rączką, z obrazkiem Jezusa z dziećmi.

– Możemy się podzielić.

Przed nami siedziała rodzina: mężczyzna w ogrodniczkach i białej koszuli, kobieta w sukience w kwiaty i kapeluszu, dwie dziewczynki i chłopiec. Starsza z dziewczynek spojrzała na mnie. Kosmyk włosów zaczepił się jej o zapinkę sznura pereł.

Do namiotu weszli dwaj chłopcy w białych szatach z kwiatami, postawili je przed chórem, a ten stał, nucąc cicho unisono, potem śpiew stał się harmonijny, rozbrzmiał w silnym akordzie, który cichł i narastał, przycichał, narastał i znowu opadał. Chórzyści z zamkniętymi oczami kołysali się na boki.

Przejściem przemaszerował gruby mężczyzna w ciemnym garniturze, przyciskając Biblię do piersi. Głowę miał opuszczoną, oczy zamknięte, ale szedł pewnie. W końcu odwrócił się do wiernych, a jego twarz rozjaśnił blask świec. Na głowie miał gęstą siwą czuprynę, oczy migotały mu, gdy kładł Biblię na ambonie, potem złączył dłonie i powiedział: – Bracia i siostry, witajcie w domu bożym.

– Amen! – odpowiedzieli wierni. Pomrukiwanie chóru się nasiliło.

– Witajcie w Jezusie! – zawołał kaznodzieja.

– Jezus! Amen! – odpowiedzieli ludzie. Usłyszałam głos Mary.

Cichy śpiew chóru się nasilił. Kaznodzieja opuścił głowę, przymknął oczy. Jedna z kobiet zaczęła śpiewać mocnym, pełnym głosem: – O, bracie mój, czy znasz Zbawiciela... – Odeszła od ławki, uniosła ręce i śpiewała tak donośnie, że jej głos wypełnił namiot. – Co cudowny jest, dobry i prawdziwy? On skałą jest zbawienia człowieka. W tej skale miód na ciebie czeka. – Chór powtórzył ostatnią frazę: – W tej skale miód na ciebie czeka, bracie mój, w tej skale miód na ciebie czeka.

Od śpiewu upał w namiocie jeszcze się wzmógł, ledwie mogłam oddychać z powodu woni ciał. Kobieta śpiewająca solo znowu uniosła ręce w górę, luźna skóra opadła jej do łokci. Jej twarz jaśniała.

– W tej skale miód na ciebie czeka – powtórzyła Stell Ann.

Hymn dobiegł końca, a siedzący za nami człowiek powiedział: – Siostra Roland dostała wezwanie.

– Głos od Boga.

W namiocie panowała cisza, którą przerwał krzyk pastora: – Pokutujcie!

Stell zachłysnęła się powietrzem. Mary siedziała nieruchomo, z zamkniętymi oczyma.

– Pokutujcie! – powtórzył pastor. – Czy w skale jest dla was miód? Codziennie musimy zadawać sobie to pytanie. Każdą minutę dnia musimy przeżywać dla Jezusa. W przeciwnym razie Jezus nie będzie na nas czekał.

– Nie będzie czekał! – zawołał jakiś człowiek.

– Amen! – rozbrzmiało jednocześnie kilka głosów.

– Czy zgrzeszyliście? – pytał pastor.

– Tak, Panie – zawołała kobieta.

– Tak, tak!

– Pokutujcie! – krzyknął pastor.

– Amen! Alleluja! Chwała Jezusowi!

– Niektórzy z was myślą, że wasze grzechy zostały wam wybaczone – mówił pastor. – Pokutujecie. Bóg wam wybacza. Ale Pan nie działa na zapas. On nie wybacza grzechów, które zamierzacie popełnić.

– Tak jest. Pan nie działa na zapas – powtórzyła kobieta siedząca za mną. Pot spływał mi z włosów na szyję.

Pastor wpatrywał się kolejno w wiernych.

– Niech ten, kto jest bez grzechu, rzuci we mnie kamieniem. – Jedyńm odgłosem, jaki słyszałam, był szelest rękawa Mary, kiedy się wachlowała. – Jeśli jest tu ktoś, kto pokutował podczas ostatniego spotkania, a potem nie zgrzeszył, niech podejdzie i zajmie moje miejsce.

– Tak, wielebny – zaszemrali wierni. – Myśmy wszyscy grzesznicy. Amen. Miłość Boża. – Nikt się nie poruszył.

– Czytajcie Słowo, ludzie! – Pastor dotknął Biblii na ambonie. – Dobra Księga pozwoli wam kroczyć prostą drogą. Czytajcie ją, aż zapamiętacie na te chwile, kiedy nie będziecie mieli Biblii pod ręką albo nie będziecie mogli znaleźć okularów. – Pastor podniósł Biblię, otworzył i wyrecytował: – „Wstępujcie w Jego bramy wśród dziękczynienia, wśród hymnów w Jego przedsionki; chwalcie Go i błogosławcie Jego imię! Albowiem dobry jest Pan, łaskawość Jego trwa na wieki, a wierność Jego przez pokolenia”<sup>1</sup>.

Pastor zamknął z trzaskiem Biblię.

– Ale nikt z nas nie jest gotowy, by wejść do Królestwa Niebieskiego. Ani wy, ani ja.

Musimy prosić Jezusa o wybaczenie. Klękajcie. Módlcie się aż do bólu. Bądźcie gotowi, kiedy was wezwie.

Twarz Stell płonęła. Rozchyliła usta.

– Jubie? – Stell osunęła się na mnie, potem runęła na podłogę między mną a stojącymi przed nami krzesłami.

– O, nie! – krzyknęła Mary. Pastor zamilkł. Ludzie odwrócili się, by na nas spojrzeć.

Po drugiej stronie przejścia z krzesła podniosła się rosła kobieta. Odsuwając krzesła z drogi, podeszła i pochyliła się nad Stell Ann, odpychając mnie jak jeden ze stołków.

– Nic jej nie będzie, po prostu zemdląca. – Kobieta podniosła Stell, jakby nic nie ważyła, i ruszyła do wyjścia. Mary i ja ruszyliśmy za nią.

Pastor podjął kazanie, wierni zwrócili się ku niemu.

Po wyjściu z namiotu kobieta położyła Stell Ann na trawie i usiadła obok niej.

Wyrwawszy Mary wachlarz, zacisnęła go w masywnej dłoni i z furią zaczęła wachlować Stell. Chciałam poklepać siostrę, ale kobieta rozkazała, jak to miała w zwyczaju Mary: – Zostaw ją. Ona jest w duchu. – Usiadłam na ziemi. Kobieta wydzielala tak ostrą woń, że brakowało mi tchu. Mary uklękła obok nas z zamkniętymi oczami i dłońmi złożonymi do modlitwy.

Tłustą twarz kobiety okalała płatanina siwych włosów. Biały koronkowy kołnierzyk purpurowej sukni

był wystrzępiony i brudny przy szyi. Z twarzą oświetloną przez pobliską pochodnię modliła się: – Panie, to białe dziecko zemdlało dla ciebie. Niechaj Twój duch zstąpi na nią i niech to dziecko wypełni się Jezusem. Bądź dla niej łagodny, aby mogła do nas wrócić. – Oburącz ujęła prawą dłoń Stell.

Stell zamrugła. Kobieta pochyliła się nad nią, kropla potu padła na czoło mojej siostry. Stell otworzyła oczy. Spojrzała na czarną spoconą twarz tuż przy swojej.

– Hej, złotko, wracasz do nas?

Stell jęknęła i zamknęła oczy.

– O, Panie, bądź w niej teraz, ukój jej smutek.

– Myślę, że to dziecko ma dosyć Pana jak na jedną noc – oświadczyła Mary. – Przynieś trochę wody.

– Tak, to powinno pomóc. – Kobieta oparła dłoń na moim ramieniu i naciskając mocno, dźwignęła się z ziemi.

– Stell Ann? Obudź się, czas wracać do domu. – Mary rozcierała dłonie Stell. – Estelle Annette Watts, otwórz oczy.

– Co się stało? – Stell spojrzała na Mary.

– Na chwilę odleciałaś.

Kobieta wróciła z kubkiem wody. Stell usiadła i wypiała.

– Możesz wstać, Stell? – spytała Mary.

Stell podniosła się z ziemi.

– Nic mi nie jest, naprawdę.

– Dasz radę wrócić do motelu? To kawałek drogi.

– Serio, wszystko w porządku.

Z namiotu dobiegł gwar i kobieta powiedziała: – Wielebny Cureton zrobił przerwę. – Z kieszeni sukni wyjęła zegarek z urwanym paskiem. – Mówił tylko pół godziny. Jest głodny. Zawsze dobrze go karmimy.

– Czas na nas – stwierdziła Mary. Stell szła pośrodku. Trzymając się za ręce, ruszyliśmy z powrotem Zion Church Road, gdy zaczął wschodzić księżyc.

## Rozdział 21

Na skraju miasta Stell poprowadziła nas zadrzewioną aleją między szerokimi trawnikami, skrótem do motelu. Zostawiłyśmy za sobą zgiełk bulwaru. Tupałyśmy o chodnik w ciepłe nocy, nasze cienie rozciągały się w przód i ginęły w blasku następnej latarni.

– Ta ulica na pewno jest bezpieczna? – zwróciła się Mary do Stell.

– To najkrótsza droga powrotna.

– Dobrze.

Wtedy przypomniały mi się ogłoszenia o godzinie policyjnej w Wickens.

– Wielebny Cureton ma mnóstwo żaru – powiedziała po pewnym czasie Stell.

– Uhm – mruknęła Mary.

– Ale to nie jest Daddy Grace – powiedziałam.

– Nigdy nie słyszałaś kazania Daddy’ego Grace’a – zaśmiała się Stell.

– Na pewno różnią się od siebie – zachichotała Mary, błyskając złotym zębem. – Wielebny Cureton wygłasza kazania w namiocie. Daddy Grace ma wycieraczkę z dwudziestodolarówek, żeby wycierać błoto z butów z krokodylej skóry.

Ulicą nadjechał samochód, przy nas zwolnił, potem przyspieszył.

Nad uchem brzęczał mi komar. Powietrze pachniało świeżo koszoną trawą.

Nagle rozległ się głośny łoskot, zabrzęczało tłuczone szkło. Na sąsiedniej ulicy zgasła latarnia.

Wszystko ucichło, nawet świerszcze.

– Jakiś chłopak dostał nowy pistolet na sprężone powietrze – stwierdziła Mary i przyspieszyła kroku. – Od dzieciństwa należałam do Domu Modlitwy, Daddy Grace był dla mnie jak Mojżesz. Ale przejrzałam na oczy. Teraz należę do Kościoła baptystów z ulicy McDowell.

– Tam, gdzie chodzi Leesum?

– Tak, z wielebnym...

Kolejny gromki huk. Latarnia koło nas się rozprysła. Stell wstrzymała oddech.

– Stell, Jubie... – Głos Mary świdrował.

– Dopadniemy cię, dziewczyno – rozległ się za nami męski głos.

Po drugiej stronie ulicy zapaliło się światło na werandzie.

– Co się tam dzieje?! – krzyknęła kobieta.

– Nic, proszę pani – odkrzyknął mężczyzna. – Po prostu czyścimy ulicę z czarnuchów.

– Na pomoc! – zawołałam.

Światło zgasło. Drzwi trzasnęły.

– Oni chcą mnie dopaść – powiedziała Mary. – Biegnijcie. Wezwijcie policję...

Ktoś chwycił mnie za rękę i wykręcił na plecach, między łopatkami. Drugi z napastników przyparł Stell do drzewa i zatkał jej usta dłonią. Znowu wrzasnęłam.

– Zamknij się! – Oddech człowieka, który mnie trzymał, cuchnął alkoholem i papierosami.

– Co robisz po zmroku w białej dzielnicy? – zapytał trzeci mężczyzna.

– Wracałam do domu ze spotkania – odparła Mary.

Mężczyzna stojący przed Mary miał na sobie biały podkoszulek, lśniący w świetle księżyca.



Wymierzył jej policzek.

– Grzeczniej, dziewczyno.

Mary milczała.

Tamten ją uderzył. Mary krzyknęła, przytknęła dłoń do twarzy.

– Proszę, niech pan nas puści.

Głośno zaczęłam wzywać pomocy. Człowiek za mną jeszcze mocniej wykręcił mi rękę i zakaszłał tuż przy mojej szyi.

– Mówiłem, żebyś się zamknęła. – Cuchnący oddech wionął mi w twarz, zacisnęłam zęby tak mocno, że rozbolała mnie szczęka.

Mężczyzna w podkoszulku uderzył Mary w brzuch. Ze straszliwym jękiem zgięła się wpół.

– Dalej – zagrzewał facet stojący za mną. – Walnij ją znowu.

– Mam pomysł w związku z tą dziewczyną.

– Ten sam, który ja mam w związku z tymi białymi?

– One nie wiedzą, jak zrobić dobrze mężczyźnie – z trudem wykrztusiła Mary. – Zabawię się z wami, chłopcy. Z wami wszystkimi.

– Dziewczyny czarnuchów chcą tego od urodzenia – stwierdził ten, który mnie trzymał.

– Tak jest, psze pana – potwierdziła Mary, znowu mówiąc slangiem kolorowych. – Masz pan rację.

Ulicą nadjechał samochód, zapiszczały hamulce i ze środka zawołała kobieta: – Zmywajmy się stąd.

Mężczyźni, którzy trzymali Stell i mnie, pchnęli nas twarzami na chodnik.

– Wsadź ciemną na tył – powiedział jeden.

Drzwiczki trzasnęły, samochód oddalił się od krawężnika z piskiem opon. Warkot silnika ucichł w oddali.

Chodnik skaleczył mi policzek. Świerszcze znowu zaczęły głośno grać. Siatkowe drzwi trzasnęły. Stell modliła się, szepcząc nerwowo.

– Jezu, polecamy się Twojej opiece. Proszę, bądź przy nas. Ochroń nas od nieprzyjaciół.

– Mary – powiedziałam. – Poproś Boga, żeby ochraniał Mary.

– Boże, proszę... – zająknęła się. – Co to jest?

Nasłuchiwałam, usiłując wyodrębnić odgłos spośród muzyki świerszczy i kumkania żab. Zadzwoił metal, coś brzęknęło.

– To pies idzie chodnikiem. – Poczułam jego zapach, poczułam, jak obwąchuje mi nogi.

– Wlazł mi na twarz. – Stell się szarpnęła.

Pies polizał mi rękę; napałam na jego włochaty brzuch.

– Sio!

Pazury zastukały na chodniku, pies uciekł, pobrzękując obrozą.

– Oni wrócą. – Stell pociągnęła mnie za rękaw i zaczęła dygotać. Przyciągnęłam ją ku sobie. Przecież to moja starsza siostra; chciałam, żeby była silna.

– Napędzasz mi strachu.

Siedziałyśmy tak, Stell trzęsła się i płakała w moich ramionach, doprowadzając mnie do szaleństwa. Kiedy dotknęłam swojego łokcia w miejscu, gdzie polizał mnie pies, moja dłoń zrobiła się wilgotna i lepka.

– Fu – powiedziałam, ocierając dłoń o spódnice.

– Co? – Głos Stell drżał.

– Psie obrzydlistwo. – Znowu dotknęłam mokrego miejsca. – Poza tym skaleczyłam się w łokieć.

Stell podniosła się i podała mi rękę, pomagając mi wstać. Niechący nadepnęłam na rąbek sukienki i oderwałam ją od stanu.

– Drzwiczki samochodu przytrzasnęły sukienkę Mary – powiedziała Stell. – Trzepotała na wietrze.

– Co oni jej robią? – załkałam, przyciskając policzek do włosów siostry.

W domu po drugiej stronie ulicy otworzyły się drzwi i na werandę wyszła kobieta.

– Kim jesteście, dziewczynki?

– Proszę nam pomóc! – Stell pobiegła do kobiety, ciągnąc mnie za sobą.

Zza rogu wyjechał samochód i ruszył prosto na nas. Stell zamarła w blasku przednich świateł.

Samochód zatrzymał się, wyskoczyli dwaj mężczyźni, a ja pociągnęłam Stell do krawężnika.

– Ktoś zawiadomił szeryfa – powiedział wysoki mężczyzna.

– Dzięki Bogu – westchnęła Stell.

– Jesteście ranne?

– Nie – odparłyśmy chórem.

Kobieta wyszła na chodnik przed domem.

– Szeryfie Higgins.

– Pani Rainey. – Wysoki mężczyzna nie miał na sobie munduru, tylko płócienne spodnie i sportową koszulę.

– Te dziewczyny hałasowały.

– Oni zabrali Mary – powiedziałam.

– Zbili ją – dodała Stell.

– Powinnaś się zakryć. – Kobieta patrzyła na moją sukienkę. Przez rozdarcie widać mi było brzuch.

– Jedźcie za nimi, zanim zabiją Mary – powiedziałam.

– Kim jest Mary?

– Naszą służącą – wyjaśniła Stell Ann.

– Kolorowa? – zapytał chudzielec towarzyszący szeryfowi.

– Tak jest.

– Co jej się stało?

– Jacyś ludzie ją pobili. Potem zabrali ją do samochodu i odjechali. Rozmawiali o...

– O czym? – spytał szeryf.

– Powiedz mu – powiedziałam do Stell.

– Ten największy powiedział, że chce... że ją... zaatakuję.

– Najwyraźniej już to zrobili – stwierdził piskliwym głosem drugi mężczyzna, niższy od szeryfa.

– Napadnie na nią – szepnęła Stell.

– Przykro mi, że o to pytam, panienko, ale ma pani na myśli, że zamierzał ją zgwałcić?

– Tak, proszę pana, to właśnie mieli na myśli. – Stell spuściła wzrok.

– O, Boże – powiedziała pani Rainey. – Jeśli nie jestem potrzebna, chyba wrócę do środka. Frontowe drzwi się zamknęły, światło na werandzie zgasło.

– Ile lat ma ta czarna? – spytał niższy.

– Nazywa się Mary Luther, ma czterdzieści siedem lat – odpowiedziałam.

Szeryf zerknął na mnie spod okularów.

– Czy ona ich prowokowała? Pyskowała?

– Mary jest na to zbyt mądra – odparłam.

– Mądry czarnuch?! – prychnął niższy.

– Nie zwracajcie uwagi na tego tu Raya – powiedział szeryf Higgins. – Skąd jesteście, dziewczynki?

– Z Charlotte w Północnej Karolinie.

– Co robicie w Georgii?

– Przyjechałyśmy na wakacje.

- To wy miałyście wczoraj wypadek na skrzyżowaniu Grady i Main?
- Tak jest.
- Gdzie się zatrzymałyście?
- W motelu Sally's, razem z naszą rodziną – odparłam.
- Z posterunku będziecie mogły zadzwonić do rodziców. Za późno, żeby włączyć się samotnie.
- Nie byliśmy same. – W gardle czułam gułę, która nie pozwalała mi przełykać. – Byliśmy z Mary.

## Rozdział 22

Biuro szeryfa mieściło się w budynku mniejszym od naszego garażu.

Kiedy weszliśmy, mężczyzna w mundurze spojrzął na nas zza biurka.

– Te dziewczynki muszą zadzwonić do rodziców – powiedział szeryf Higgins.

– Tak jest. – Mundurowy poruszył się, żeby przesunąć telefon na skraj biurka. – Potrzebna wam książka telefoniczna? – Stell skinęła głową, na co on podał jej cienki tom.

Szeryf podszedł do dzbanka z kawą w kącie i sobie nalał.

– Chcecie wody? – zwrócił się do mnie. – Już za późno, żeby posyłać po cocacolę.

Potrząsnęłam głową. Raz po raz oddychałam głęboko, usiłując opanować drżenie.

Gdzie była teraz Mary? Co oni jej robili?

– Tata będzie tu za dziesięć minut. – Stell odłożyła słuchawkę.

– Chodźmy do mojego gabinetu – powiedział szeryf. – Załatwimy wszystko, zanim przyjedzie.

Szeryf usiadł za biurkiem, wskazał mi i Stell dwa metalowe krzesła. Jedyne okno było otwarte, ale w pokoju panował upał.

– Chwileczkę. – Szeryf zaczął wysuwać szuflady biurka, czegoś szukając. – O, jest, wiedziałem, że mam jedną. – Wręczył mi agrafkę. – Rozdarłaś sobie...

Szeryf patrzył przez okno, kiedy przypinałam spódnicę do stanu.

– Prędzej czy później wszystko będzie dobrze.

Skąd mógł to wiedzieć?

Nad naszymi głowami bzyczała migająca jarzeniówka. Szeryf zapisał coś na bloczku, okręcił się na krześle, podniósł trzy kartki, przełożył je kalką i wsunął do maszyny do pisania obok biurka.

– Trzynasty sierpnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego czwartego roku, dwudziesta druga zero pięć – mówił, pisząc. – Lillington Avenue w Cameron. – Klikał dwoma palcami, zerkał na klawisze, potem sprawdzał spod okularów, co napisał. Spojrzął na Stell. – Potrzebne mi twoje pełne imię i nazwisko.

– Estelle Annette Watts. Szesnaście i pół roku.

– Jeden sześć. – Wystukał cyfry. – Data urodzenia?

– Jedenasty lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku.

– A ty?

– June Bentley Watts. Trzydzieści lat. Czwarty października tysiąc dziewięćset czterdziestego roku.

Szeryf znowu postukał na maszynie.

– Mówiłaś, że jak się nazywa wasza dziewczyna?

– Mary Luther – powiedziała Stell.

– Mary Constance Culpepper Luther – dodałam.

Szeryf wystukał to na maszynie, a ja dorzuciłam: – W przyszłym miesiącu skończy czterdzieści osiem lat. – Żałowałam, że nie znam jej daty urodzenia.

– Ilu było ludzi, którzy zabrali waszą służącą?

– Trzech.

– Plus dziewczyna za kierownicą – dodała Stell.

– Przyjrzałyście się im dokładnie?

– Ten, który... On pchnął mnie na drzewo – powiedziała Stell. – Nie widziałam Jubie ani Mary. – Łzy wezbrały w jej oczach, popłynęły po twarzy. – Strzelali do latarni ulicznych.

Z wiatrówki albo czegoś takiego.

Szeryf zanotował, po czym spojrzał na mnie.

– A ty? Czy coś ci utkwilo w pamięci?

Pomyślałam o cuchnącym oddechu, woni alkoholu, papierosów i ciała.

– Wysoki – powiedziałam. – Ten, który mnie trzymał, był ode mnie wyższy, chudy i silny.

– Ile masz wzrostu?

– Metr siedemdziesiąt pięć. On pił.

– Skąd wiesz?

– Znam ten zapach.

Szeryf ściągnął usta w wąską kreskę, spojrzał na Stell Ann.

– A ten facet, który cię trzymał, co możesz mi o nim powiedzieć?

– Miał odciski na dłoniach. – Stell zamknęła oczy. – Był potężnie zbudowany, jak piłkarz, a może tylko gruby.

– Wiesz może, jakim samochodem...

– Ten, który bił Mary, miał na sobie biały podkoszulek – przypomniałam sobie.

– Dobra dziewczynka. – Szeryf zapisał.

– Czterodrzwiowy chevrolet z białymi ozdobami po bokach i obłuzowanym tłumikiem.

– Stell! – Byłam dumna z siostry.

– Jesteś pewna?

– Słyszałam, jak tłumik wlecze się po jezdni. Kiedy odjeżdżali, podniosłam wzrok i...

– Przecież mówiłaś, że latarnie...

– Jest pełnia albo prawie.

– Masz rację. – Szeryf zapisał na bloczku. – Jakiego koloru był samochód?

– Jasnoniebieski albo szary. – Stell potrząsnęła głową.

– Za chwilę wrócę. – Szeryf wstał i poszedł do zewnętrznego gabinetu.

– Znajdą ją. – Stell wzięła mnie za rękę. – Nic jej nie będzie.

– A jeśli nie?

Siedziałyśmy w milczeniu.

Szeryf wrócił i usiadł za biurkiem.

– Macie zdjęcie swojej dziewczyny?

– Nie – odparła Stell.

– Ja mam. – Stell spojrzała na mnie. – Mam. Zdjęcie z urodzin stryja Stamosa.

– Mary na nich nie było.

– Zachowałam te, które mama wyrzuciła. Na jednym zdjęciu była tylko Mary i ja.

Mam je w motelu.

– Przydadzą się – stwierdził szeryf. – Kolorowi są do siebie bardzo podobni.

– Wcale nie – zaprzeczyła Stell.

– Hmm – mruknął szeryf, zupełnie jak Mary.

– Kiedy zaczniecie jej szukać? – zapytałam.

– Już to robimy. Ray jeździ po mieście i wypytuje ludzi. Właśnie przekazaliśmy mu przez radio opis samochodu.

Miałam nadzieję, że ktoś znajdzie Mary przed Rayem.

Drzwi się otworzyły, uderzając o ścianę.



– Przepraszam, szeryfie, ale pewien facet się tam rozbija.

Od strony zewnętrznego gabinetu dobiegł dudniący głos taty: – Chcę zobaczyć moje córki, do jasnej cholery! Czy są ranne? – Skuliłam się na krześle.

Ktoś coś powiedział, ale nie dosłyszałam.

– Gdzie one są, do diabła? – wydierał się tata.

– Wprowadźcie go – polecił szeryf.

– Boże, tak się cieszę, że nic wam nie jest. – Tata wpadł do gabinetu. – Wszystko w porządku, tak?

– Tak jest – odparłyśmy chórem.

– Już prawie skończyliśmy, panie Watts.

– Chcę tylko zabrać córki do ich matki. – Tata uściśnął dłoń szeryfa, po czym spojrzał na Stell. –

Przypuszczam, że masz już dość religii.

Stell wbiła wzrok w podłogę.

Potem odpowiadałyśmy na dalsze pytania. Kiedy szeryf Higgins oznajmił, że skończył, zapytałam: – Czy z Mary wszystko w porządku? Myśli pan, że nic jej nie jest?

Szeryf spojrzał na tatę, potem na biurko.

– Na pewno. Zobaczymy.

Z gabinetu wyszłyśmy, trzymając tatę za rękę. Przy chryslerze tata pchnął Stell na samochód.

– Tato! – krzyknęła.

Nie mogłam się ruszyć. Nigdy nie widziałam, by podnosił rękę na kogoś oprócz mnie.

– To wszystko twoja wina, twoja i tych cholernych religijnych bzdur, które nam wciskasz. Jezus to, Jezus tanto! – Kopnął w oponę.

– To nie moja wina. – Stell stała przy samochodzie, z twarzą bladą od księżyca.

Chciałam ją ostrzec, żeby milczała.

Tata cofnął dłoń, jakby zamierzał ją uderzyć.

– No, dalej. Ważysz tylko czterdzieści kilo więcej, więc to będzie uczciwe. Jeśli mnie tkniesz, będę krzyczeć.

Tata stał, a światło odbijało się w jego okularach.

– Wsiadajcie do wozu.

Nie mogłam zasnąć. Upał położył się ze mną do łóżka, na poduszce nie było ani jednego chłodnego miejsca. Ilekroć zamykałam oczy, dobiegały mnie odgłosy tego, jak tamten człowiek bije Mary. Miałam ochotę jęczeć. Długo próbowałam wygodnie się ułożyć, ale w końcu wstałam. W drodze do drzwi potknęłam się o łóżko polowe Mary. Gdyby tam leżała, uklęknęłabym i złożyłabym głowę na jej piersi. Tak bardzo pragnęłam, by objęła mnie silnymi brązowymi rękami, że poczułam ból w kościach. Wyszłam przed domek, stanęłam w trawie i rozplakałam się w nadziei, że ktoś usłyszy, a jednocześnie bałam się, że tak się stanie.

W domku rodziców rozbrzysnęło światło. Siatkowe drzwi się otworzyły i na progu stanęła mama, w koszuli nocnej podobna do zjawy. Czekałam, aż coś powie, ale ona tylko stała, pocierając ramiona.

– Mamo? – powiedziałam w końcu tak drżącym głosem, że zabrzmiał zupełnie obco.

– Jubie? Co ty tam robisz?

– Nie mogę spać. Martwię się o Mary.

– Usiądźmy. – Mama wskazała huśtawki. Sama usadowiła się na jednej, ja na drugiej, wdychając woń pordzewiałych łańcuchów, czując przez pizamę deski pełne drzazg. Komary cięły mnie po nogach, ale byłam zbyt smutna, by je odganiać. W powietrzu unosił się ciężki zapach gardenii pani Bishop. Łzy płynęły mi po policzkach. Chciałam, żeby mama przytuliła mnie, albo uściśnęła tak jak Mary, ale gdyby spróbowała to zrobić, poczułybyśmy się dziwnie.

– Znajdą ją – zapewniła mama. – Oczywiście, że znajdą.

Ze wszystkich sił starałam się jej uwierzyć. Przez pewien czas bujałyśmy się; ja pociągałam nosem, mama tłukła owady, nie odzywając się ani słowem. Nocne odgłosy nasiliły się, jak gdyby świerszcze i żaby czekały, aż przestaniemy rozmawiać i znowu będą mogły zacząć swój koncert. Tego ranka w basenie widziałam dwie martwe żaby, unosiły się na wodzie białymi brzuchami do góry. Zdechły od chloru czy tak zmęczyły się pływaniem, że ich serca przestały bić?

– Czasami jest ich z pół tuzina – powiedział człowiek na leżaku. – Dziwne, że martwe stworzenia nie toną.

Huśtawki poruszały się równo.

– Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze – powiedziała mama.

– Mamo, oni ją strasznie pobili. Mary potrzebuje lekarza. – W mojej piersi wezbrał skowyt.

– Pobudzisz wszystkich w motelu.

– Ale nie Mary – zawodziłam.

Siatkowe drzwi się otworzyły i tata zawołał: – Pauly? Co to za hałas?

W recepcji, gdzie znajdowało się mieszkanie pani Bishop, zapaliło się światło. Mama wzięła mnie za rękę i pociągnęła z huśtawki.

– Musimy wejść do środka.

Tata, z rękami na biodrach, stał przed domkiem rodziców na tle światła.

– Jest środek nocy.

– Jubie martwi się o Mary. Próbowałam ją uspokoić.

Ona tylko słuchała, jak płaczę.

– Chodź tu, robaczku – powiedział tata, a ja wpadłam w spowijający go tytoniowy zapach. Tata przytulił mnie mocno, pogładził po plecach. Mama pocałowała mnie w policzek, owiewając wonią papierosów.

– W takim razie wejdę już do środka.

Tak długo płakałam wtulona w pierś taty, aż straszliwy ból we mnie przeszedł w odrętwienie. Kiedy się uspokoiłam, powiedział: – Chodź, Jubie, odprowadzę cię do domku. – Kiedy do niego dotarliśmy, dodał: – Policja złapie tych facetów i przyprowadzi Mary. O nic się nie martw.

– Tato, tamten policjant za biurkiem mówił, że nie ma sensu szukać jej w nocy, bo będzie ją trudno zauważyć.

– On nie dowodzi, kochanie. Poszukiwaniami kieruje szeryf Higgins, a to przyzwoity człowiek.

– Ludzie, którzy ją zabrali, muszą ją zabić. Mary wie, jak wyglądają.

– Pewnie myślą, że porwanie osoby kolorowej to nic wielkiego. Równie dobrze mogą ją wypuścić.

Po wejściu do domku odkryłam łóżko polowe Mary i wygładziłam poduszkę, żeby łóżko czekało na nią, kiedy wróci. Chwilę tak stałam, dotykając poduszki, potem wsunęłam się pod prześcieradło. Jeśli wróci przed świtem, będzie musiała mnie obudzić. Z tą myślą zasnąłam.

Tej nocy Mary do mnie przemówiła. Niezależnie od tego, czy spałam, czy nie, to się wydarzyło, i nie był to sen.

– Jubie, dobra z ciebie dziewczyna. Ja też jestem dobrą dziewczyną – powiedziała.

Obudziły mnie szepty i chichoty. W łóżku byli Puddin, Stell Ann i Davie. Davie leżał pod prześcieradłami, siostry go łaskotały. Wszyscy zachowywali się jak zazwyczaj.

– Mary? – spytałam, siadając.

W domku zapadła cisza. Stell potrząsnęła głową.

– Zupełnie nic?

– Nic. – Na jej twarzy dostrzegłam napięcie. Robiła dobrą minę na użytek Puddin i Daviego.

Ubrawszy się, zaprowadziłam Daviego do domku mamy. Siedziała na łóżku w koszuli nocnej, popijała z dużego kubka i czekała, aż wyschnie lakier na paznokciach stóp. Między palce wsunęła waciki. Pokój wypełniało słońce, aromat kawy, zapach lakieru do paznokci i papierosów. Posadziłam Daviego na łóżku obok mamy, która przygarnęła go, szczebiocząc: – Hej, smyku, jak się miewa tego ranka mój chłopczyk?

Davie poklepał mamę po twarzy i zapytał: – Mary?

Mama spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

– Czy gdyby zamierzali ją znaleźć, już by tego nie zrobili?

– Nie wiem, Jubie. Naprawdę nie wiem. Ale to nie wygląda dobrze.

– Gdzie jest tata? – Poczułam w środku twardość i pustkę.

– Poszedł pomówić z szeryfem i sprawdzić, co z packardem.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Pójdź zobaczyć, kto to, kochanie.

– To tylko ja, pani Watts, przyszłam się dowiedzieć, co się stało z waszą dziewczyną. – Pani Bishop popchnęła siatkowe drzwi. Pofałdowane loki wyglądały tak, jakby je ufarbowała.

Sięgnęła po krzesło stojące przy drzwiach.

– Proszę usiąść – powiedziała mama.

– Dziękuję. – Pani Bishop zajęła miejsce, zakładając nogę na nogę. Kiwała stopą, dyndając pantoflem, aż ledwo trzymał się jej palucha. – Obawiałam się, że pani dziewczynki mogą napytać sobie biedy.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– To, że poszły na spotkanie religijne. Każdy wie, że nie powinny były tego robić.

Mama się wyprostowała.

– Żeby nastolatki łąziły po nocy z czarnuchem.

– My nie używamy tego słowa.

– Pani jest jedną z tych, co są za równoprawnieniem? Nie sądziłam, że pani, taka dama, jest polityczna.

Mama wstała, surowa i pełna godności, nawet w koszuli nocnej i z wacikami między palcami stóp.

– Nie jestem polityczna, ale nie używam obmierzłego języka.

Davie zaczął płakać.

– Proszę, pani Watts, nie chciałam pani urazić.

Podniosłam Daviego. Mama otworzyła drzwi i oświadczyła: – Kiedy tylko naprawią nam samochód, wyjeżdżamy.

Pani Bishop wyszła, ostrożnie zamykając drzwi.

– Wyjeżdżamy? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– Kiedy samochód...

– Bez Mary? – Miałam ochotę ją uderzyć.

Mama ujęła mnie za rękę i poklepała łóżko.

– Usiądź ze mną na chwilę. – Usiadłyśmy. Daviego posadziłam sobie na kolanach i zaczęłam podrzucać na nodze.

– Bill ponagla szeryfa, żeby robił, co w jego mocy. Samochód jest w lepszym stanie, niż sądziliśmy, i może być gotowy na poniedziałek. – Davie zaczął marudzić, więc coraz szybciej poruszałam nogą.

– Jeśli Mary do tego czasu się nie pojawi... – ciągnęła mama. – Jestem pewna, że się pojawi, ale jeśli nie...

– To wyjedziemy? – Przełknęłam łzy.

– Nie możemy tu siedzieć bez końca, kochanie. Robimy, co w naszej mocy, ale wcześniej czy później...

Davie zapłakał głośno.

– Sprawdź mu pieluszkę – poleciała mama. – Muszę wziąć prysznic. – Wstała i sięgnęła po szlafrok,

który był przewieszony przez oparcie krzesła.

– Mamo!

– Co? – spytała z irytacją.

– Nie możemy wyjechać, nie wiedząc... – Głaskałam po plecach Daviego, który darł się prosto w moje ucho.

Mama sprawdziła paznokcie stopy, potem wyjęła waciki. Następnie poszła do łazienki i zamknęła drzwi. Zaszumiał prysznic.

– Cii. – Chodząc po pokoju, tuliłam Daviego, aż jego płacz stał się wolniejszy; oddychałam ustami, bo jego spodenki okropnie cuchnęły. Chwyciłam pieluszkę ze sterty na toaletce, usiadłam na łóżku, kołysząc Daviego, potem położyłam go na kapie. – Cichutko, maleńki. Zmienię ci pieluszkę – mówiłam jak Mary.

Mama wyszła z łazienki w szlafroku, z głową owiniętą ręcznikiem. Za nią wyłoniła się para pachnąca mydłem.

– Dokładnie go podetrzyj. – Wręczyła mi ciepłą ściereczkę.

– Co to znaczy, że ktoś jest za równoprawnieniem? – Zdjęłam Daviemu pieluszkę.

– To znaczy, że chce, żebyś chodziła do szkoły z kolorowymi dziećmi.

Zwinąwszy pieluszkę, rzuciłam ją na podłogę i wytarłam pupę Daviego, posypując pudrem. Radośnie wierzgał nóżkami.

– Poza tym mówi się „równouprawnienie”, nie „równoprawnienie”. – Mama wyprostowała się. – Niektórzy ludzie są nie tylko uprzedzeni, ale też niewykształceni. – Poszła do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

– Dubi. – Davie zaklaskał i wyciągnął do mnie rączki.

Za tydzień zapomni o Mary.

## Rozdział 23

Stell smuciła się nie mniej niż ja, ale radziła sobie z tym, wynajdując sobie najróżniejsze zajęcia. Kiedy wróciłam do naszego domku, sprzątała i pakowała brudne ubrania do poszewki. Żałowałam, że nie potrafię się tak zachowywać.

– Gdzie jest Puddin? – spytałam.

– Nie wiem. – Stell miała opuchnięte oczy. Nie uczesała się, ani nie umyła twarzy, co było do niej niepodobne.

– Ona wie o Mary?

Stell wzruszyła ramionami.

Wybiegłam z domku i ujrzałam różową plamkę wśród drzew. Ulubiona koszulka Puddin. Siedziała obok wychodka na dywanie sosnowych igieł, wpatrzona w dal.

– Puddin?

– Nikt mi nie powiedział. – Podrapała się w kolano. – Czy ona nie żyje? – Usiadłam obok siostry, próbując nie wdychać smrodu z wychodka. – Na pewno nie żyje, bo inaczej by wróciła – stwierdziła Puddin.

Objęłam ją, utuliłam. Razem wróciliśmy do domku.

Stell i mama zabrały dzieci na lunch. Nie byłam głodna, a mama nie nalegała. Po przebraniu się w kostium kąpielowy wyszłam na upał, było południe. Betonowy chodnik wokół basenu parzył mi stopy. Zanurkowałam i przepłynęłam cały basen motylkiem bez wynurzania się. Na jednym z leżaków mościła się kobieta.

– Świetnie pływasz.

– Dzięki. – Pochyliłam głowę, wygładzając włosy.

– Należysz do drużyny pływackiej?

– Tam, gdzie mieszkam. – Ponownie przepłynęłam basen i wynurzyłam się nieopodal siedzącej kobiety.

– Czyli gdzie?

– W Charlotte w Północnej Karolinie.

– O, Boże, ty musisz być jedną z dziewczyn, na które napadnięto na Lillington Avenue.

– Skąd pani wie?

– Mieszkam tuż za rogiem od miejsca, gdzie to się stało. – Kobieta sięgnęła po olejek do opalania. – Sally mówiła, że pochodzicie z Charlotte.

Kobieta miała dobre oczy i kręcone rude włosy z widoczną siwizną. Stara jak Meemaw, była jednak szczupła i zdrowa, co czyniło zasadniczą różnicę. Zaczęła smarować sobie ramiona olejkiem.

– Ten siniak na ramieniu, to z zeszłej nocy?

Na chwilę poczułam się dezorientowana. Czy tata mnie uderzył? To jednak nie miało znaczenia, bo odpowiedź mogła być tylko jedna.

– Tak, proszę pani.

– Czy wiesz, kto na was napadł?

– Jacyś ludzie. – Chciałam, żeby zamilkła.

– Siostra była z tobą?



– Tak, proszę pani, ale nic się nam nie stało.

– Cieszę się, że wszystko jest w porządku.

Musiałam to powiedzieć na głos.

– Mary, nasza służąca, zniknęła.

– A, tak, ta czarna, co była z wami. – Wylała olejek na łydki. – Szeryf Higgins z pewnością robi wszystko, co w jego mocy.

Zanurkowałam i szybko odpłynęłam. Po drugiej stronie wyszłam z basenu i pobiegłam do domku.

Musiałam znaleźć kogoś, kto wiedział, jak ważna była Mary, kogoś, kto coś zrobi, zacznie jej szukać. W okolicy, gdzie odbyło się spotkanie w namiocie, mieszkało wielu kolorowych.

Popołudniowe cienie rzucały pręgi na czerwoną glinę, gdy wlokłam się z powrotem Zion Church Creek Road. Na polu stali w kręgu mężczyzna z trójką dzieci z wędkami w dłoniach i głowami pochylonymi jak do modlitwy. Czy to ta sama rodzina, którą widziałyśmy wczoraj, z dziewczynką skaczącą z pomostu? Wiatr niósł rdzawy zapach jak nad jeziorem Rainbow na Shumont. Z wysokiej trawy wzbijały się ptaki. Przewody rozciągały się między przydrożnymi słupami, skręcały wzdłuż podjazdu do ceglanego domu z opadającymi okiennicami i warzywnikiem od frontu. Niska, korpulentna czarna kobieta ścinała kolby kukurydzy z łodyg i wrzucała do kosza. Na skrzynce na listy przy podjeździe widniał napis Ezra Travis. Wśród kukurydzy grzechoczącej w popołudniowej bryzie ruszyłam w stronę domu.

Zatrzymałam się obok gęstego krzewu azalii między ogrodem a domem. Kobieta spojrzała na mnie. Ciemniejsza niż Mary, była też niższa i grubsza. Biały fartuch zakrywał jej różową sukienkę z nadrukiem. Nóż wsunęła do kieszeni fartucha.

– Tak?

– Czy Travisowie są w domu?

– Jestem pani Travis.

– Próbuję znaleźć...

– A kim ty jesteś? – spytała.

– Och. June Watts.

– Witaj, panno Watts. – Kobieta zdjęła rękawiczki ogrodnicze. – Kogo próbujesz znaleźć?

– Kogoś, kto mógł uczestniczyć we wczorajszym spotkaniu w namiocie. – Kiedy nie odpowiedziała, dodałam: – Kolorową religijną osobę, która mogłaby mi pomóc.

Na jej twarzy pojawił się nieznaczny uśmiech. Wygładziła fartuch.

– Może wejdziesz do środka. Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

– To byłoby miłe. – Na szerokiej werandzie stały wyszczerbione terakotowe donice z geranium i bratkami. Ruszyłam po schodkach w ślad za kobietą, wycierając dłonie o szorty.

W pokoju od frontu rytmicznie buczał wentylator.

– Usiądź, proszę – powiedziała. – Zaraz wracam.

Zrobione na szydełku pokrowce oblekały sfatygowane poręcze sofy, na podłodze przy fotelu bujanym wały się gazety, na stole leżała otwarta książka. Ukośne światło sączące się przez okna padało na wazon z chryzantemami na fortepianie. Od podłogi po sufit półki były pełne książek. Zapach smażonego kurczaka i gotowanych jabłek sprawił, że ślina pociekła mi do ust.

Opadłam na poduszki na sofie. Oczy mnie szczypały, na wargach czułam sól.

Pani Travis wróciła z tacą, na której stały szklanki i dzbanek, i postawiła ją na stoliku.

Potem wręczyła mi wilgotną ściereczkę.

– Do otarcia twarzy, żebyś ochłoneła.

Wdychając ostry zapach mydła, przyłożyłam ściereczkę do twarzy, wytarłam szyję i ramiona. Pani Travis wskazała tacę.

– Połóż ją tutaj i poczęstuj się. – Nalałam sobie lemoniady i wzięłam długi łyk.

– W jaki sposób kolorowa religijna osoba mogłaby ci pomóc? – Pani Travis usiadła w fotelu na biegunach.

– Zeszłej nocy razem z siostrą poszliśmy na spotkanie w namiocie.

– Dwie białe dziewczyny przyszły aż tutaj? – Uniosła brwi.

– Była z nami nasza służąca.

– Rozumiem.

Wypiłam, aż został sam lód.

– Dolej sobie.

Ponownie napełniłam szklanekę.

– Wracałyśmy do domu, kiedy napadli na nas jacyś ludzie.

– Och! – Wyprostowała się w fotelu. – Nic wam się nie stało?

– Mojej siostrze i mnie nic, ale nasza dziewczyna zniknęła. Ci ludzie ją zabrali.

– Rozumiem, że jest Murzynką.

– Tak. – Chciałam powiedzieć „proszę pani”, ale w życiu nie zwróciłam się tak do kolorowej kobiety.

– Ona pochodzi z Claxton?

– Mary pracuje dla nas w Charlotte w Północnej Karolinie. Mama wzięła ją z nami na wakacje, żeby pomagała.

– Twoi rodzice wiedzą, gdzie teraz jesteś?

Z poczuciem winy potrząsnęłam głową.

– Przy basenie w motelu rozmawiałam z pewną kobietą o tym, co się stało. Ona nie rozumiała sytuacji Mary. Dlatego próbowałam znaleźć kogoś innego. Kogoś, kto... – Nic więcej nie przychodziło mi do głowy.

– Kogoś, kto zrozumie?

– Uhm. – Zacisnęłam pięści, by powstrzymać płacz. Siedziałyśmy tak, ja wpatrzona we własne pięści, ona bujała się w fotelu. Początkowo milczenie było niezręczne, z czasem jednak łatwiej było mi siedzieć, łyzy kapały mi na koszulkę. Słyszeć było tylko mój urywany oddech, skrzypienie fotela na drewnianej podłodze, szmer wentylatora na suficie. Kiedy siatkowane drzwi się otworzyły, nadal płakałam. Podniosłszy wzrok, zobaczyłam w progu mężczyznę, z oczami jak lampy na hebanowej twarzy. Z neseserem w dłoni, w garniturze i pod krawatem, wyglądał, jakby się wybierał do kościoła.

– Co się dzieje? – zapytał.

– Ezra, to jest panna June Watts. – Pani Travis wstała i podała mi chusteczkę higieniczną. – June, to jest mój mąż. Pan Travis jest prawnikiem.

Mężczyzna usiadł po przeciwnej stronie sofy i położył między nami neseser.

– Wyglądasz na zmęczonego. – Pani Travis nalała mężowi lemoniady.

Pan Travis poluzował krawat.

– Co cię tu sprowadza? – spytał.

Ja mówiłam, on słuchał, przesuując kciukiem po brzegu szklanki. Kiedy w końcu przemówił, jego głos był pełen bólu.

– Mam złe wieści.

– O Mary?

– Chyba tak.

Pani Travis siedziała ze spuszczoną głową, podpierając podbródek dłonią.

– Słyszałem o tym, co się stało wczoraj wieczorem, o zniknięciu pani Luther. – Wyjętą z kieszeni chustką otarł czoło. – Niedawno znaleźli kobietę. Została... Była... – Złożył chustkę i schował. Wstałam.

– Na polu obok stawu, niedaleko drogi. Sam Bradford łowił ryby z dziećmi... – Urwał.

– Dopiero co przechodziłam koło stawu – powiedziałam.

– Kiedy wracałem tamtędy do domu, stał tam samochód szeryfa. – Pan Travis wyjrzał przez okno.

– To jakaś inna dziewczyna. Wszyscy kolorowi są do siebie podobni. Tak mówił szeryf. – Drżałam tak mocno, że zdawało mi się, że połamię mi się zęby. Pani Travis wstała, położyła mi dłoń na ramieniu i delikatnie pchnęła mnie na sofę.

– Ezra, możesz przynieść kołdrę z komody na pościel?

Pan Travis okrył i otulił mnie kołdrą. Chciałam opuścić swoje ciało i nigdy więcej nie odzyskać tej zimnej wiedzy.

– Jak możemy skontaktować się z twoimi rodzicami, June? – zapytała pani Travis.

– Są w motelu Sally's.

Pan Travis, ze słuchawką przy uchu, wybrał numer, stojąc w drzwiach między kuchnią a salonem. Poprosił o rozmowę z tatą i czekał.

– Halo? – Pan Travis przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego dzwoni. Potem słuchał. – Tak, myślę, że tak. Nie, nie wiem, czy... – Spojrzał na panią Travis i potrząsnął głową. – Najwyraźniej po prostu do nas przyszła. – Skinął głową. – Moja żona i ja powiedzieliśmy jej. Jest bardzo zmartwiona. Najlepiej by było, gdyby mógł pan... Nie, nie mówię panu, co pan ma robić. – Oddalił słuchawkę od ucha, potem rzekł: – Pani Travis i ja możemy odwiedzić June do motelu albo może pan po nią przyjechać, jak panu wygodnie. – Wyjaśniwszy tacie, jak dojechać, odłożył słuchawkę.

– Twój tata jest wzburzony, to zrozumiałe.

Wtuliłam twarz w sofę i zamknęłam oczy. Głos pana Trávisa się oddalił.

Tata powiedział coś, czego nie rozumiałam. Otworzyłam oczy. W salonie Travisów oprócz mnie nie było nikogo. Na werandzie w gasnącym świetle dnia rysowały się sylwetki taty i pana Trávisa. Pan Travis był niższy i miał większy brzuch. Tata był bardziej barczysty.

Błysnęła zapałka, gdy tata zapalił papierosa.

Kliknięcie odkładanej słuchawki i z kuchni dobiegł stukot wysokich obcasów mamy.

Ponownie zamknęłam oczy, z twarzą wciąż wtuloną w sofę.

Pan Travis powiedział coś spokojnym tonem.

– Nie ma pan prawa mnie przesłuchiwać – odparł tata ostro i głośno.

Ktoś się zatchnął. Mama.

– Cokolwiek powiemy, jest bez znaczenia dla śmierci pani Luther – powiedział pan Travis.

Śmierć. Mary nie żyła.

– Jubie? – powiedziała mama i poczułam na plecach jej dłoń. – Obudź się, Jubie.

Otworzyłam oczy. Mama, z zaczerwienioną twarzą, pochylała się nade mną; nad nią obracał się wentylator. Jej włosy z jednej strony wymknęły się z upięcia i opadły na kark.

Mama otarła mi twarz wilgotną ściereczką, odgarnęła włosy z czoła.

– Hej, mamó.

– Strasznie się o ciebie martwiliśmy.

– Nic mi nie jest.

– Ja nie mogę tego powiedzieć o sobie – odparła mama. – Jestem rozbita z powodu Mary. – Miała zmęczone oczy. Klęcząc na dywanie przy sofie, głaskała mnie po ramieniu, po głowie. W końcu wstała.

– Bill, chyba możemy już jechać.

– Dobrze się czujesz, June? – Tata nachylił się nade mną, za jego dłonią unosił się dym.

– Tak jest.

– Wobec tego chodźmy.

Na werandzie odwróciłam się do pani Travis stojącej w drzwiach.

– Dziękuję pani za... za lemoniadę.

Na chodniku przed domem tata rzucił papierosa i rozgniół go butem, zostawiając czarny ślad.

Artykuł w niedzielnej gazecie identyfikował Mary jako czarnoskórą służącą z Charlotte w Północnej Karolinie, którą napadnięto i pobito na śmierć. Jej ciało miało zostać odesłane do domu. Nie było żadnych podejrzanych.

Siedząc na tarasie domku, patrzyłam, jak Davie jeździ zabawkowym pociągiem po piasku. Zapragnęłam zanurkować na dno basenu i pozwolić, by ciśnienie wody odeгнаło ból głowy. Wyciągnęłam ręce do braciszka.

– Chodźmy na basen.

– Ciuciu. – Davie położył kamyki na wagonie. – Ciuciu.

Wtedy trąciłam jego pociąg sandałem. Kamyki posypały się z wagonu, a Davie zaczął krzyczeć.

– Chodź. – Pochyliłam się, żeby go podnieść.

– Nieee. – Rozluźniwszy ciało, wyslizgnął się z moich rąk i mnie pchnął. – Mary!

– Przestań. – Tupnęłam nogą. Davie przekręcił się na ziemi. Plaster na dłoni się zabrudził. Uklęłam. –

Proszę, Davie, chodźmy na basen.

Łzy złościły ślady na brudnej twarzączce.

– Mary?

– Mary nie ma. – Mama powiedziała, żeby nie mówić Daviemu, że Mary nie żyje, ponieważ nie zrozumie, co to znaczy. Wzięłam go w objęcia, przytknęłam wargi do jego włosów. – Mary nie ma, Davie.

– Mary! Mary! – łkał z główką opartą na moim ramieniu.

– Mary nie żyje. – Te słowa po prostu wymknęły się z moich ust.

Davie przestał płakać, przekrzywił się tak, by spojrzeć mi w twarz. Potem wsunął kciuk do buzi i znowu opuścił główkę.

Tata oznajmił, że kupili trumnę.

– Przynajmniej tyle możemy zrobić.

– Szkoda, że nie kupiliśmy takiej wyłożonej atlasem. – Mama paliła papierosa przy chryslerze. W letniej sukience, kapeluszu i butach z odkrytą piętą, trzymała słomkową torebkę.

– Hej, maleńka, chcesz pojechać po packarda? – Tata zadzwonił kluczykami od samochodu. – Mają się z nami spotkać w garażu w niedzielę po południu. Co za uprzejmość! – Usilnie próbował mnie rozweselić.

– Dobrze, tato.

– My pojedziemy po packarda, a mama pozałatwia w tym czasie inne sprawy. Możesz prowadzić.

To mnie trafiło.

– Ja? Prowadzić?

– Ty. Stell zostaje z dziećmi.

– A jeśli policja...

Tata posłał mi uśmiech, który rozbrajał mamę.

– Pamiętaj, masz prawo jazdy z Południowej Karoliny, ale nie możesz go znaleźć – mrugnął.

Kiedy otworzyłam drzwiczki, tata powiedział: – Usiądź z tyłu, Pauly, staruszko. Panna June Watts jest twoją szoferką.

– To nie jest dobry pomysł, Bill.

– Dajże spokój. Poradzi sobie. – Tata usiadł ze mną z przodu, mama z tyłu.

Poprawiwszy fotel i lusterka, włączyłam silnik i wyjechałam z motelu Sally's, pamiętając o

kierunkowskazie, jak uczył mnie tata. Za mocno nacisnęłam hamulec, przez co musiał się przytrzymać tablicy rozdzielczej, ale nie powiedział ani słowa. Mamę odwieźliśmy do centrum. Na pewno szła do zakładu pogrzebowego dla czarnoskórych, ale nie chciała, żebym to widziała, żeby mnie nie smucić.

Na parkingu warsztatu samochodowego J i J leżał gumowy wąż, a kiedy po nim przejechałam, zabręczały dzwonki. Nigdzie nie widziałam packarda. Tata kazał mi zaparkować od frontu.

– Dowiem się, co jest grane. Na szybie wypisano czarnymi drukowanymi literami WARSZTAT SAMOCHODOWY J i J. ZAŁOŻONY W 1946 ROKU. Przez okno zobaczyłam, jak tata rozmawia z Jake’iem Stirewaltem. Ujrzawszy, że tata siada, zrozumiałam, że sprawa się przeciągnie. Podeszłam do jednej z pustych zatoczek i zajrzałam do kanału naprawczego, do którego prowadziły niewielkie schodki. Czy ktoś, kto pracował w kanale naprawczym, nie marzył o innym zajęciu? Jaki człowiek robił trumny? Oddaliłam się od woni benzyny i kreozotu, wyszłam na słońce i zobaczyłam, jak pan Stirewalt wyjeżdża zza budynku naszym packardem.

– Hej, Jubie, patrz! – Tata stał na dworze.

– Dobrze się sprawuje. – Pan Stirewalt wręczył tacie kluczyki. – Silnik zbytnio nie ucierpiał. Prędzej czy później przyda się panu nowa chłodnica. – Spojrzał na zgnieciony zderzak. – Szkoda, że nie mieliśmy na to czasu.

– Zajmiemy się tym w Charlotte. Silnik pracuje znakomicie, prawda, Jubie?

Wyraźnie się popisował, zgrywał dobrego ojca.

– Tak jest. – Żałowałam, że nie zależy mu na naprawie, że tylko udaje. Łzy mnie oślepiły, odwróciłam od niego wzrok. Jeśli widział, jak mi smutno, to nie zwracał na to uwagi.

– Czyli pozostaje tylko zapłacić, tak? – Tata wyjął książeczkę czekową.

– Zgadza się, panie Watts. – Obaj weszli do środka.

Usiadłam na ławce, zwracając twarz ku słońcu. Z gwaru głosów w warsztacie dobiegło do mnie wyraźnie jedno zdanie.

– No, ale dobry czarnuch to martwy czarnuch, prawda, panie Watts?

– Mam wypisać czek na warsztat J i J? – spytał tata. Powinien był powiedzieć panu Stirewaltowi, że nie należy mówić takich rzeczy.

– Nie, na Jake’a Stirewalta.

Wsiadliśmy do chryslera. Tata prowadził.

Mama czekała na tym samym rogu, gdzie ją zostawiliśmy. Najwyraźniej płakała, ale gdy wsiadła, powiedziała tylko: – Czy packard jest gotowy? Powiedz, że tak.

– Jest gotowy – zapewnił tata, poklepał ją po ramieniu, ale nie wspomniał słowem o jej opuchniętych oczach.

– Pociąg odjeżdża o dziewiątej piętnaście. Zaraz potem możemy się spakować i ruszyć.

– Dlaczego pociąg? – spytałam.

Rodzice spojrzeli po sobie, potem mama powiedziała: – Musimy odesłać Mary do Charlotte. Są pewne przepisy dotyczące balsamowania i przewozu zwłok. Zajęłam się tym.

Wtedy pomyślałam o Linku i Młodej Mary, jak bardzo muszą być smutni.

– Rozmawiałaś z jej dziećmi? – spytałam mamę.

– Tak, wczoraj wieczorem. – Mama wyglądała przez okno. – Są zmartwione.

– Czy wiesz, kiedy będzie pogrzeb? Moglibyśmy pójść.

– Nie – oświadczył tata.

W milczeniu wróciliśmy do warsztatu J i J. Tata wręczył mamie kluczyki do packarda.

– Spotkamy się w motelu. – Otworzyłam drzwiczki i wyszłam na rozgrzany chodnik.

– Jedziesz z matką? – spytał tata.



- Idę na piechotę.
- Wsiadaj do samochodu, młoda damo. – Głos taty brzmiał groźnie.
- Nie. – Nie odwróciłam się.

## Rozdział 24

Zaraz po dziewiątej w poniedziałek rano mama, tata i ja patrzyliśmy, jak trzej ludzie pchają po stacji kolejowej ręczny wózek, na którym spoczywała długa skrzynia, przypominająca bardziej skrzynię do przewozu towarów niż trumnę. Na surowych sosnowych deskach wypisano czarnymi literami M. LUTHER. Ruszyliśmy za ręcznym wózkiem, mijając ławki, gdzie kilka osób drzemało lub czytało poranne gazety, obok zamkniętych drzwi z napisem: POCZEKALNIA DLA MURZYNÓW.

Mężczyźni przechylili trumnę, by ją załadować do wagonu towarowego, a ja wyobraziłam sobie, jak Mary przesuwana się w środku; miałam nadzieję, że trumnę wsunięto do wagonu nogami do przodu. Mama poszła na koniec peronu i zapatrzyła się w dal wzdłuż szyn.

Trumnę popchnęli po podłodze w głąb wagonu, gdzie nie docierało światło. Tata położył mi dłoń na ramieniu, poczułam zapach papierosów i płynu po goleniu. Drzwi wagonu towarowego zatrzasnęły się z hukiem podobnym do grzmotu. Mama wróciła do nas, stukając obcasami. W szarej sukience i kapeluszu wyglądała smutno i pospolicie.

– Ruszajmy – powiedziała.

– W tym wagonie towarowym jest strasznie. Ciemno i strasznie.

– Mary już nie cierpi, Jubie. – Mama wyciągnęła do mnie dłoń w rękawiczce.

– Kiedy odbędzie się pogrzeb? – Odwróciłam się od niej.

– Za dzień czy dwa – odparł tata. – W takim upale najwyżej za dwa.

– W takim razie zdążymy.

Rodzice spojrzeli po sobie.

Podeszłam do pociągu. Chciałam wsiąść i pojechać razem z Mary. W dłoni czułam chropowate, zardzewiałe drzwi wagonu.

– Chcę pojechać na pogrzeb. Ja...

– Bill, moglibyśmy pojechać do Charlotte na pogrzeb Mary, potem wrócić do Pawleys na jeszcze kilka dni wakacji – powiedziała mama.

– Nie będziemy jechali ośmiuset kilometrów, stąd do Charlotte i do Pawleys, na godzinny pogrzeb – potrząsnął głową tata. – Kiedy tylko się spakujemy, jedziemy na plażę.

Silnik ożył. Pociąg ruszył, ze stukotem powoli oddalił się od stacji, potem nabrał szybkości. Odprawiałam go wzrokiem, aż wagon służbowy stał się czerwoną smugą na torach w oddali.

Mama odciągnęła mnie od krawędzi peronu.

Wracaliśmy przez stację. Czarny mężczyzna zamiatał podłogę w poczekalni, śpiewając: „Tumtedi diddlededi tumtidiaj”. Aby nas przepuścić, przerwał zamiatanie, stojąc z miotłą u boku na baczność jak żołnierz. Kiedy wychodziliśmy ze stacji, znowu zaczął wywijać miotłą i śpiewać: „Tumtedi diddlededi...”.

Przed wyjściem z domku, zajrzałam pod łóżko, żeby się upewnić, że niczego nie zostawiliśmy, i znalazłam pantofle frotte Mary. Wepchnęłam je na dno walizki.

Stell, Puddin i ja jechałyśmy packardem. Mama, tata i Davie ruszyli przodem chryslerem. Natychmiast po opuszczeniu Claxton tata wysforował daleko do przodu.

Wystawioną ręką ponaglał Stell, żeby przyspieszyła, ale ona jechała tak, jakby szybkościomierz utknął

na dziewięćdziesiątce.

Wyciągnięta na tylnym siedzeniu, bosa stopy oparłam na otwartym oknie, poruszając palcami w pędzącym powietrzu. Widziałam tylko szczyty sosen i chmury. Było za wcześnie, by zasypiać, nawet przy wtórze szumu opon i wiatru unoszącego mi spódnicę, ale zamknęłam oczy i próbowałam mruczeć tak samo jak opony. Leesum pewnie już rozgościł się u pastora w Charlotte, nosił nowe ubranie, które kupił mu wuj Taylor. Nieustannie myślałam o tym, żeby napisać do Leesuma; chciałam mu powiedzieć, jak bardzo tęsknię za Mary. On by zrozumiał.

Oparłam się na fotelu, gdzie Mary siedziała przez tyle kilometrów, wysoka i wyprostowana, w bawełnianych sukienkach. Z twarzą wtuloną w tapicerkę, myślałam o niej, aż poczułam na policzku dotyk jej piersi, jej zapach. Gardło mnie bolało, gula rosła i rosła, aż pozwoliłam łzom napłynąć i pocieknąć z kąćków oczu na włosy i uszy. Samochód podskoczył na wyboju. Mary znikła.

– Co u licha? – powiedziała Stell.

Wyprostowałam się, otarłam oczy. Tata stanął na poboczu i machał na nas. Stell zwolniła.

– Jedźcie przodem – zawołał tata. – Za chwilę was dogonimy.

– Hm. – Stell przyspieszyła znowu do dziewięćdziesiątki.

Wyrzałam przez tylną szybę. Chrysler wyjechał na szosę, rósł w szybkim tempie. W odległości kilku metrów za nami tata zatrafił.

– Co on wyrabia? – wrzasnęła Stell.

Tata naciskał klakson krótkimi seriami, wystawioną przez okno dłonią machał do przodu.

– Chce, żebyśmy przyspieszyły.

Spojrzawszy na chryslera, zobaczyłam twarz mamy zwróconą do okna po stronie pasażera.

Stell zahamowała, a tata zatoczył łuk, żeby nas wyminąć. Mama osunęła się na tatę, który kierował jedną ręką, odpychając ją; gniewnie poruszał ustami. Pomyślałam o Daviem podskakującym na tylnym siedzeniu.

Puddin zajęczała.

– Cii. – Wyciągnęłam rękę, żeby poklepać ją po ramieniu. Taka była dzielna po tym, co się stało z Mary.

Tata zatrafił przeciągle. Chciałam, żeby Stell przyspieszyła, byle tylko przestał siedzieć nam na ogonie. Ona jednak jeszcze bardziej zwolniła. Teraz szybkościomierz wskazywał niewiele ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Chrysler śmignął obok nas, sypiąc żwirem, a tata wrzasnął przez otwarte okno po stronie mamy: – Gazu!

Stell przyspieszyła do dziewięćdziesiątki i nie zmieniała już szybkości. Chrysler zniknął za zakrętem.

– Porzucają nas – zawołała Puddin.

– Nie martw się – pocieszyła ją Stell. – Znam drogę do Pawleys Island, o czym tata doskonale wie.

– Chcę do mamy – zawodziła Puddin.

– Cicho – ucięła Stell. – Znajdź nam mapę Północnej i Południowej Karoliny.

Pociągając nosem, Puddin otworzyła schowek. Na podłogę wysypały się mapy.

Puddin przeglądała je, czytając pod nosem.

– Mam! – Podniosła mapę.

– Niech Jubie pomoże ci znaleźć drogę, którą jedziemy.

Puddin cisnęła mapę na tylne siedzenie, potem przeczołgała się po mnie. Jej łokieć wbił mi się w brzuch. Na moment straciłam oddech.

– Cholera, Puddin.

– Brzydkie słowo. Powiem tacie.

– Nie zrobisz tego, bachorze.

Puddin objęła mnie za szyję.

– Nie zrobię, Jubes, za nic w świecie. – W dotyku była koścista i słodka.

– Jubie, jedziemy autostradą numer 17 – powiedziała Stell. – Właśnie przekroczyliśmy rzekę Savannah i wjechałyśmy do Południowej Karoliny.

Wyprostowałam się i zaczęłam studiować mapę.

– Skręć w objazd numer 17 w Limehouse. Stamtąd mamy dwieście siedemdziesiąt dwa kilometry do Georgetown i dwadzieścia dwa do Pawleys.

– Ha! – wykrzyknęła Stell. – Pokażemy temu staremu przykowi.

Na mapie szukałam szos prowadzących do Charlotte.

– Stell? Nie chcesz pojechać na pogrzeb Mary?

– Chcę.

– To czemu nie jedziemy?

– Mama i tata chcą, żeby życie wróciło do normy. Żebyśmy się z tym uporały. – Stell przesunęła dłoń na kierownicy. – Poza tym nie jestem pewna, czy jej rodzina życzy sobie naszej obecności.

– Dlaczego nie?

– Mary pracowała dla nas, kiedy zmarła.

– Przecież była naszą przyjaciółką.

– Płaciliśmy jej za to.

Po dotarciu do Pawleys Island ujrzaliśmy chryslera zaparkowanego w świetle latarni na moło; tata siedział za kierownicą z papierosem w jednej ręce i piersiówką w drugiej, a mama rozmawiała z Carterem przy jego niebieskim dwudrzwiowym fordzie.

– Uuu – zapiszczała cicho Stell, przeglądając się w lusterku wstecznym. Palcami przeczesła włosy, uszczypnęła się w policzki, żeby się zarumieniły, tak jakby Carter mógł to zauważyć w ciemności. – Jak wyglądam?

Moja starsza siostra powinna się uczesać, miała pogniecione szorty i wyglądała jak dzieciak.

– W porządku.

Kiedy wysiadłyśmy, Carter wyszedł nam na powitanie.

– Twoje listy są świetne. – Ujął Stell za rękę.

– Twoje też.

– Cześć, Jubie – powiedział. – Jak się masz?

– W porządku. – Poczulałam woń Aqua Velva.

– To super. – Ostatnim razem widziałam go w domku na drzewie. Czy o tym myślał? – Gdzie się podział wasz tata?

Mama stała obok chryslera, trzymając Daviego; Puddin opierała się o nią.

– Zaraz przyjdzie. – Dotknęła mojego policzka. – Co za smutna mina.

– Cały dzień boli mnie głowa.

– Kiedy już się rozpakujemy, poszukam aspiryny.

Tata wyszedł spod moło, zapinając rozporek.

– Ruszajmy. – Oczy szklily mu się w blasku latarni. Był wstawiony.

Carter podał tacie klucze.

– Wasz dom jest naprawdę ładny, tuż przy plaży.

– Wskakuj do wozu – powiedział tata. – Prowadź.

Zaparkowaliśmy za podniszczonym piętrowym domem, stojącym samotnie na krańcu wyspy. Na werandzie okalającej dom stały fotele bujane. Zawiasy siatkowych drzwi prosiły się o naoliwienie, deski

podłogowe skrzypiały pod naszymi krokami.

– Pomogę panu Wattswowi z bagażami – zaoferował Carter. – Może powinniście pootwierać okna.

– Carterze? – powiedziała mama. – Ta torba w kwiaty w bagażniku packarda...

– Tak, proszę pani?

– Nie wnoś jej do domu. – Mama weszła do środka, podczas gdy ja i Stell otwieraliśmy okna.

– Pauly? – Tata wszedł do środka z walizkami.

Mama stanęła w drzwiach kuchni z Daviem na biodrze.

– Gdzie mam położyć te rzeczy? – spytał tata.

– Ty, ja i Davie na dole. Jubie, Stell i Puddin na piętrze. – Mama trzymała Daviego, jakby nie wiedziała, co z nim począć. W świetle gołej żarówki jej włosy przypominały aureolę. Kiedy przekładała Daviego na drugą rękę, pojękiwał. Mary położyłaby go spać.

Torbę Puddin i swoją walizkę zawlokłam do naszego pokoju. Na szczęście miałam spać razem z nią. Davie kopał, ale Puddin po zaśnięciu nawet nie drgnęła. Białe bawełniane zasłony w żółte i zielone jabłka w naszej sypialni wyglądały, jakby zabrano je z czyjejś kuchni. Nasz materac zapadał się na środku, w dywanikach był jakby piasek. Kiedy poszłam zanieść do łazienki szczoteczkę do zębów, zobaczyłam, że w klozecie i umywalce są rdzawe zacieki. Mama kazałaby Mary wyszorować je środkiem do czyszczenia Dutch.

Carter pomógł wyładować bagaże z samochodów, potem on i Stell Ann wyjęli przybory kuchenne, a mama oświadczyła: – Z samego rana musimy się postarać o lód.

Właśnie ścieliłam łóżko, gdy weszła mama z czarnym wentylatorem i postawiła go na komodzie. Potem wręczyła mi buteleczkę ze środkiem przeciwko komarom, cuchnącym jak terpentyna.

– Przed snem nasmaruj tym siebie i Puddin.

Łykałam w kuchni aspirynę, kiedy tata, z butelką burbona w dłoni, przeszedł przez frontowy pokój. Siatkowe drzwi za nim trzasnęły.

– Idę z tatą – zawołałam przez ramię i zbiegłam z werandy po schodach, zanim mama zdążyła mnie zatrzymać.

Wydmy w blasku księżycy wyglądały jak blade wzgórza, słony wiatr chłodził. Nigdzie nie widziałam taty. Ścieżka prowadziła między wydmy, a podszedłszy bliżej, ujrzałam, że leży rozciągnięty na piasku i unosi butelkę. Łyknął zdrowo.

– Hej, tato – zawołałam.

– Hej. Zejdź na dół.

Usiadłam obok niego.

Tata wycelował w księżyc palcem wskazującym, unosząc kciuk, jakby trzymał pistolet.

– Co robisz?

Tata łyknął znowu, postawił butelkę na piasku.

– Zamierzam zestrzelić księżyc, Jubie.

Podniosłam wzrok.

– Kiedy był trochę przed pełnią, Mary mówiła, że to „garbaty księżyc”.

– Garbaty – prychnął tata.

Czy wyśmiewał się z Mary?

– Zresztą nie możesz go zestrzelić. Jest za daleko.

– Browning powiedział: „Mężczyzna powinien sięgać dalej niż jego wzrok, w przeciwnym razie po cóż byłoby niebo?”.

– A kobieta?

– Kobieta ma sięgać tylko po mężczyznę. – Tata wycelował nieistniejący pistolet, a jego sygnet



zamigotał w świetle księżycyca.

– Zostaw księżyc w spokoju, tato. – Położyłam dłoń na jego ramieniu. – Wracajmy do domu.

Zataczając się, wstał z piasku, a ja wyciągnęłam rękę, żeby mu pomóc. Ramię w ramię wróciliśmy przez wydmy.

Mama stała w salonie z Daviem śpiącym na jej ramieniu.

– Jubie, czas do łóżka.

Tata minął ją i wszedł do kuchni. Drzwi lodówki otworzyły się i zamknęły, potem usłyszałam syk otwieranej puszkę piwa.

– Bill, proszę... – powiedziała mama, wchodząc do kuchni.

– Och, kochanie, połóż małego i chodź do łóżka – odparł tata niskim, ochryplym głosem.

Mama odpowiedziała coś, czego nie dosłyszałam, na co tata rzekł: – Mam już dość tego, że wszyscy robią z tego taką wielką sprawę. Możemy znaleźć inną służącą.

Jak on mógł mówić o innej służącej? Pobiegłam na górę do łazienki, zatrzasnęłam za sobą drzwi. Nikt nie mógł zastąpić Mary. Siedząc na klozecie, wyplakałam wszystkie łzy, potem ruszyłam powoli korytarzem do sypialni.

Puddin siedziała na łóżku pod oknem, wiatr marszczył jej różową pizamę.

– Poczytasz mi, Jubie?

– Najpierw nasmaruję cię olejkiem przeciwko komarom.

Zanim skończyłam, Puddin zwinęła się w kłębek i zasnęła, jej dziecięca twarz była łagodna. Wyciągnięta obok niej, próbowałam się wygodnie ułożyć, ale olejek piekł mi skórę, pościel wydawała się sztywna. Z werandy dobiegały przez okno przytłumione głosy Stell i Cartera w fotelach bujanych. Wentylator się kręcił, prześcieradła falowały, szmer silniczka mieszał się z łoskotem fal. Głowa wciąż mnie bolała, piekły mnie oczy, ale nie mogłam utrzymać ich otwartych. Przesunęłam nogę tak, że ledwo dotykała Puddin i pomyślałam o Mary w sosnowej skrzyni, kolebiącej się po torach na północny zachód do Charlotte.

Po przebudzeniu przepelniała mnie pewność, że Mary jest tuż obok. Pomacałam w ciemności.

– Gdzie jesteś?

– W Charlotte. – Jej głos zabrzmiał tak wyraźnie, jakby stała przy moim łóżku.

– Mary? – Krew szumiała mi w uszach. Usłyszałam, jak Mary śpiewa: „Amazing grace, how sweet I see, that lost a soul of sound”<sup>2</sup>.

Przekrecone słowa przyprawiły mnie o dreszcz. Opuściłam stopy z łóżka na podłogę i szepnęłam: – Mary?

Żadnej odpowiedzi, tylko łoskot fal na plaży. Potykając się, poszłam do łazienki.

Może ona tam była. Przejrzałam się w lustrze. Włosy miałam zmierzwiłone, twarz pomarszczoną, oczy opuchnięte. Dobrze wiedziałam, co należy zrobić. Mary mi powiedziała.

Nad ubikacją leżały szczotka i grzebień Stell, a obok jej dezodorant i szczoteczka do zębów. Użyłam swojej szczoteczki oraz jej rzeczy, ubrałam się w dżinsy, koszulkę z krótkim rękawem, skarpetki i tenisówki. Nie mogłam znaleźć stanika, ale nie chciałam zapalać światła w obawie, że zbudzę Puddin.

Przy każdym skrzypnięciu schodów przystawałam, nasłuchując, i wyteżałam wzrok w nocnym świetle holu na parterze.

Z torebki mamy na kuchennym stole wyjęłam kluczyki do packarda, a z portfela dwadzieścia dolarów. Z wieszaka przy tylnych drzwiach chwyciłam kluczyki do chryslera taty i wrzuciłam do kieszeni.

Drzwi stawiały opór. Musiałam je szarpnąć, przez co zaskrzypiały. Po schodach zbiegłam do packarda i o drugiej nad ranem powoli ruszyłam drogą przy plaży, zerkając to na chodnik, to na szybkościomierz; usilnie starałam się jechać prosto. Przy molo rybackim zatrzymałam się i wysiadłam, by poprawić

siedzenie. Kolana ugięły się pode mną, aż musiałam się przytrzymać samochodu. Stałam tak, wdychałam wiatr od oceanu i patrzyłam na koniec molo, gdzie paliło się pojedyncze światło, pod którym stało kilku rybaków. Wreszcie otworzyłam bagażnik, wyjęłam torbę w kwiaty ze wszystkimi rzeczami Mary oraz trzy keksy i położyłam przed sobą.

## Rozdział 25

Autostrada biegnie wzdłuż brzegu, aby więc pojechać na zachód, musisz skrócić na wschód – tata mówił o tym, ilekroć wracaliśmy z Pawleys do domu. Jadąc wybrzeżem czarną wstęgą szosy w blasku księżyca, myślałam o tym, jak tata się wścieknie, kiedy zauważy, że zabrałam packarda. Przynajmniej mnie tam nie będzie, gdy się zbudzi, zgorzkniały i rozdrażniony, póki nie ulży sobie lekkim drinkiem. Łyknie, wyda westchnienie ulgi i powie: – Gdzieś na świecie nad żaglami wschodzi słońce. – Ale tym razem nie wypije porannego drinka. Wcisnęłam mocniej pedał gazu. Nawet bez kluczyków tata jakoś uruchomi chryslera i ruszy za mną w pogoń.

Na południe od granicy stanu wjechałam na autostradę 9 West, ulubioną trasę mamy, ponieważ biegnie wzdłuż granicy między Północną a Południową Karoliną prawie do samego Charlotte. Koncentrowałam się na wskazówkach dotyczących prowadzenia samochodu, jakie dawał mi tata, na przykład żeby zwolnić przed zakrętem i przyspieszyć na samym zakręcie.

– Dobry samochód kocha zakręty – mawiał tata. – Dobrzy kierowcy też.

Ilekroć z naprzeciwka nadjeżdżał samochód z długimi światłami, pamiętałam, by skupić wzrok na ozdobie na masce packarda, ustawiając łabędzia równo z prawą stroną szosy.

– Kiedy błyskasz długimi światłami, oślepiasz dwóch kierowców – mówił tata. Mimo to widziałam, że robił właśnie to samo; mruczał pod nosem „sukinsyn” i nie wyłączał długich świateł.

Pewnego razu, gdy on i ja jechaliśmy starym chevroletem ze zwykłą skrzynią biegów, tata powiedział, że coś mi pokaże, ale nie wolno mi o tym mówić mamie. Potem rozpedził samochód, zaciągnął ręczny hamulec, przekręcił kierownicę i po chwili zmierzaliśmy w kierunku, skąd jechaliśmy wcześniej.

– Kurczę, tato! – krzyknęłam, ale on wydawał tak głośne kowbojskie okrzyki, że mnie nie słyszał.

– Zawrotka bimbrowników – wrzasnął i powtórzył manewr.

Przy okazji tankowania tata zawsze kazał człowiekowi ze stacji benzynowej sprawdzić poziom wody i oleju, bez względu na odczyt wskaźników, więc zrobiłam to samo w Dillon, sto pięćdziesiąt kilometrów od Pawleys, niemal w połowie drogi do domu.

Człowiek, który podszedł do samochodu, spojrzał na mnie zza grubych okularów, jakby wątpił, czy mam dość lat, by prowadzić. Mimo to spytał tylko: – Do pełna?

– Poproszę, niech pan też sprawdzi poziom oleju, chłodnicę, opony...

– Znam się na obsłudze pojazdów.

Zapłaciwszy mu, przysunęłam do siebie torbę Mary. Ogarnęła mnie ochota, by dotykać jej rzeczy. Klamerki na skórzanych paskach torby trudno się otwierały. Dawniej widziałam, jak Mary mocuje się z nimi, pociąga za sprzączki, przeciska metalowe bolce przez otwory, aż w końcu mówi: – Mam ją!

Rozchyliwszy torbę, poczułam obezwładniający zapach Cashmere Bouquet.

W torbie nie znalazłam Biblii Mary. Mama musiała ją odesłać razem z ciałem. Pewnie Młoda Mary i Link potrzebowali Biblii na pogrzeb, a mama o tym pomyślała. Długo siedziałam w żółtym świetle stacji benzynowej, z należącym do Mary grzebieniem Fuller Brush, który dostała od mamy. Na szeroko rozstawionych zębach grzebienia tkwiło jeszcze kilka długich, szorstkich, ciemnych i kręconych włosów. Wyciągnęłam je i owinęłam sobie wokół palca.

Tuż po siódmej, w biały dzień, podniosłam drzwi garażu po stronie mamy. Sprężyny drzwi

zaskrzybiały. Wprowadziłam samochód do garażu, bojąc się, że poruszę bok, ale nie mogłam go zostawić na widoku na podjeździe. Po zamknięciu garażu usiadłam na zimnej betonowej posadzce, pochyliłam się, zżułam tenisówki i rozmasowałam stopy. Jak dobrze było nie siedzieć w aucie, z rękami przyklejonymi do kierownicy.

Trawa za domem, jeszcze wilgotna od rosy, chłodziła mi stopy. Gdy pchnęłam drzwi kuchenne, brzęk krowiego dzwonka mnie zaskoczył, chociaż wisiał tam od dnia, kiedy się wprowadziliśmy. W domu było za cicho. Nagle nadepnęłam na coś twardego i zimnego – kapsel od cocacoli. Wszędzie cuchnęło piwem i papierosami. Na kuchennym blacie piętrzyły się naczynia, puste butelki, przepelnione popielniczki. Poczulałam się jak obcy, który wszedł tylnymi drzwiami i po raz pierwszy zobaczył nasz bałagan, a właściwie bałagan taty. Na ten widok mama chyba by zemdląła; zastanawiałam się, co się stało z jej umową z Młodą Mary, która miała sprzątać dla taty.

Po zablokowaniu tylnych drzwi, żeby się nie zamykały, poszłam do sieni i włączyłam wentylator na strychu. Wraz ze świeżym powietrzem do domu wpadł zapach trawy i gardenii.

Spod zlewu w kuchni wyciągnęłam kubeł na śmieci, do którego zaczęłam wrzucać puste butelki po cocacoli, sevenupie, po burbonie Kentucky Gentleman i Jim Beam oraz piwie Budweiser.

Następnie opróżniłam popielniczki, zamiotłam podłogę w kuchni, wytarłam blaty, brudne talerze wstawiłam do zmywarki, wypłukałam skisłe mleko z misek, otworzyłam lodówkę. Na pierwszej półce stała pełna butelka z wodą, więc stanęłam przed otwartą lodówką i piłam, całkowicie wykończona. Wreszcie odwróciłam się, spojrzałam na kuchnię i pomyślałam, jaka Mary byłaby ze mnie dumna, widząc, że posprzątałam nieproszona.

Minawszy pokój Daviego, weszłam do pokoju rodziców, czując się dziwnie, że jestem tam sama i mogę chodzić bez tłumaczenia, co robię. Sypialnię zastałam w jeszcze gorszym stanie niż kuchnię. Kopnęłam majtki taty, walające się po podłodze.

Sypialnię zostawiłam w takim stanie, w jakim ją znalazłam, poszłam na górę, gdzie wszystko było jak wtedy, gdy Stell, Puddin i ja zniosłyśmy walizki do samochodu. Łóżka posłane, rzeczy pochowane, nawet dywan wyglądał tak, jakby po odkurzeniu już nikt po nim nie chodził.

Na dole zegar na kominku wydzwonił dziesiątą. W książce telefonicznej odszukałam numer kościoła baptystów przy McDowell, zadzwoniłam i czekałam, zaciskając kciuki, z nadzieją, że nie przegapiłam pogrzebu, z nadzieją... W słuchawce odezwała się kobieta.

– Dzień dobry, dzwonię, żeby się dowiedzieć, kiedy odbędzie się pogrzeb pani Mary Luther.

– Proszę poczekać.

Kobieta zawołała do kogoś: – Siostra Luther, którą zamordowano w Georgii, to o drugiej, prawda? – W tle usłyszałam niski męski głos. Potem kobieta znowu odezwała się do mnie: – Czuwanie przy zwłokach jest dziś o jedenastej w Alexander's, uroczystość i pogrzeb tutaj o drugiej. Wiesz, gdzie jest kościół?

– Och, ja... Nie, nie wiem.

– Przy ulicy McDowell, parę przecznic na północ od Trade. Na pewno znajdziesz.

Będzie mnóstwo samochodów i ludzi.

Po odłożeniu słuchawki zajrzałam do swojej szafy w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym włożyć. Kiedy tylko mój wzrok padł na granatową wielkanocną sukienkę, wiedziałam, że to właściwy strój. Mary mówiła, że świetnie w niej wyglądam. Postanowiłam, że założę kapelusz słomkowy Stell, który podziwiała Mary. Krótkie białe rękawiczki, granatowe pantofle i jedną z maminych torebek.

W wannie wyszorowałam się, dwukrotnie umyłam włosy szamponem Breck, który Stell próbowała ukryć w bieliźniarce. Od tego szamponu moje włosy stawały się cudownie jedwabiste. Czysta jak nigdy w życiu, zanurzyłam się w wannie, napuściłam więcej gorącej wody i pozwoliłam, by ciepło przeniknęło

aż do kości.

Całą bieliznę zostawiłam w Pawleys, więc przeszukałam komodę mamy, ponieważ wiedziałam, że jej rzeczy będą na mnie lepiej pasowały niż bielizna Stell. Przed dużym lustrem mamy przejrzałam się, ubrana w stanik, pas do pończoch i pończochy, w końcu wciągnęłam jej majtki. Kręcone jasne włoski na podbrzuszu w minionym miesiącu solidnie podrosły. Wyglądałam jak kobieta. Stanik mamy był różowy, koronkowy i kobiecy w porównaniu z białymi, noszonymi przeze mnie i Stell. Moje piersi wypełniły go całkowicie.

W pończochach podreptałam do kuchni, gdzie zrobiłam sobie kanapkę z masłem orzechowym, żałując, że nie ma mleka. Po otwarciu spiżarni, skąd wyjęłam puszkę soku jabłkowego, starałam się nie patrzeć na mysie odchody. Potem włączyłam radio, żeby usłyszeć jakikolwiek hałas, usiadłam na kuchennym stołku, piłam sok owocowy i postukiwałam nogą w takt piosenki.

Właśnie szukałam numeru, żeby zamówić taksówkę, kiedy zadzwonił telefon. Nie odebrałam. To mogła być mama lub tata, próbujący sprawdzić, czy jestem w domu. Po tuzinie sygnałów telefon ucichł. Szybko chwyciłam słuchawkę i wybrałam numer, zanim ktoś zadzwonił znowu i usłyszał sygnał zajęty.

O wpół do drugiej siedziałam na sofie w salonie, czekając na taksówkę; dłonie w rękawiczkach złożyłam na maminej torebce. Należąca do Mary torba w kwiaty spoczywała u moich stóp. Myśl, że na pogrzebie zobaczę Leesuma, dodawała mi otuchy.

Jeżeli taksówkarz uważał, że dziwnie jest zabierać nastolatkę z Queens Road West we wtorkowe popołudnie, nie dał tego po sobie poznać.

– Dokąd?

– Kościół baptystów na McDowell, dwie przecznice na północ od Trade.

– Się robi. Ale dziś przypieka. – Taksówkarz opuścił chorągiewkę na tablicy rozdzielczej i oddalił się od krawężnika. Co prawda słyszałam o taksówkarzach wożących pasażerów okreśną drogą, żeby nabić licznik, ale ten pojechał prosto z Queens Road West do Kings Drive, dalej przez Morehead na ulicę McDowell, tak samo jak ja bym zrobiła. Po zaparkowaniu obok samochodu zapytał: – Będziesz potrzebowała kursu z powrotem, panienko?

– Tak, proszę pana, ale nie wiem o której. Będę musiała do pana zadzwonić. – Nie miałam pewności, czy będę mogła skorzystać z telefonu, ale postanowiłam nie martwić się na zapas. Tak zawsze mówiła Mary.

Przed kościołem zebrał się tłum, na ulicy, w obu kierunkach, stał sznur samochodów.

Taksówkarz i ja byliśmy jedynymi białymi.

– Jesteś pewna, że właśnie tu chcesz być?

– Tak, proszę pana.

– Twoi rodzice wiedzą, że tu jesteś?

– Reprezentuję naszą rodzinę – odpowiedziałam.

– W porządeczku – odparł taksówkarz, po czym odjechał.

Pierwsze, o czym pomyślałam, to odszukanie Leesuma. Ściskając torbę Mary, chodziłam tam i z powrotem. Ludzie przyglądali mi się tak, jakby nie mieli pojęcia, co tam robię. Niska kobieta wyciągnęła rękę.

– Chyba się poznałyśmy. Panna Watts, prawda? Jestem Harriett Coley.

– Tak, dzień dobry. Pomogła mi pani podczas parady Daddy’ego Grace’a.

– To miło, że przyszaś na nabożeństwo za siostrę Luther. – Dotknęła runda czarnego kapelusza. – Jesteś sama?

– Moi rodzice nie mogli przyjechać.

– Wejdźmy do środka, żebyś mogła złożyć kondolencje. Torbę możemy zostawić przy wieszaku na



ubrania.

– To własność Mary. Chcę ją oddać jej dzieciom.

– Docenią to. – Pani Coley wprowadziła mnie do kościoła i zatrzymała się przy pustych wieszakach. –

Tu możesz zostawić torbę. Będzie bezpieczna.

Kościół wypełniał gwar przyciszonych głosów, które milkły, kiedy przechodziłam.

– Czy to twoja mama tak ładnie ubrała siostrę Luther przed odesłaniem jej do domu? – spytała pani Coley i poprawiła złotą broszkę przypiętą do klapy czarnej garsonki.

– Słucham?

– Kazała ubrać Mary w najlepszy niedzielny strój i uczesać ją. To było bardzo miłe.

A więc tym zajmowała się mama, kiedy tata i ja pojechaliśmy po packarda.

Pani Coley zaprowadziła mnie na przód kościoła, gdzie wśród kwiatów, na okrytym aksamitem katafalku, stała trumna. Nie była to sosnowa skrzynia, w której odesłaliśmy Mary do domu. Szłam ku niej, nie myśląc o tym, że za chwilę zobaczę Mary. Po prostu podążałam naprzód, popychana przez panią Coley, aż niemal wpadłam na trumnę. Leżała w niej Mary. Z łagodną, śliczną twarzą, włosami zaczesanymi do tyłu, jak lubiła, z dłońmi na starej białej Biblii. Mary wyglądała tak, jakby spokojnie spała.

– Mary? – Wyciągnęłam rękę. Głos mi się załamał.

– Ona nie słyszy, moje dziecko – powiedziała pani Coley.

Nie zemdlałam. Doskonale wiedziałam, co się dzieje, ale nogi się pode mną ugięły.

Osunęłam się na posadzkę obok trumny Mary i zawyłam od całego wezbranego smutku. Pani Coley usiadła przy mnie i zaczęła mnie kołysać.

– Ona jest z Jezusem, moje dziecko. Zdjęto brzemię z jej ramion.

## Rozdział 26

Pani Coley pomogła mi wstać.

– Chodźmy, panno Watts, znajdziemy miejsce, gdzie można usiąść. – Odchodząc od trumny, w pierwszej ławce ujrzałam Młodą Mary z opuchniętymi oczami i szminką równie jaskrawą jak wiśnie na jej kapeluszu. Młoda Mary patrzyła na mnie. Obok siedział jej brat, Link, surowy, z grubą szyją i barczysty, wyższy niż wtedy, gdy pracował w magazynie taty.

Po obu stronach Linka i Młodej Mary siedziały kobiety odziane na biało. Pani Coley wymieniła z nimi kilka słów i zwróciła się do mnie: – To nasz Zarząd Matek. – Poważne kobiety patrzyły na mnie.

Gdzie się podziewał Leesum?

W połowie przejścia pani Coley zatrzymała się przy zatłoczonej ławce. Weszłam za nią, wymijając kolana, raz nadepnęłam na czyjaś stopę.

– Rozsuńcie się i zróbcie miejsce – powiedziała pani Coley. – Właśnie usiadłyśmy, kiedy kobieta zaczęła grać na fortepianie, stojącym pod ścianą przy nogach trumny. Nad klawiszami brakowało panelu, więc widziałam młoteczki uderzające o struny.

Popołudniowe słońce wlewające się przez okno tworzyło wokół białego krzyża namalowanego na szkle jasne cętki, podobne do zastygniętego dymu. Tęczowe barwy padły na Mary, rozświetlając jej twarz. Myślałam o tym, że promień słońca przenika przez rubinowe szkło i barwi różem jej policzki; jej szara lniana sukienka wyglądała jak poplamiona sałatką owocową. Mary bywała w tym kościele podczas pogrzebów. Może siedziała dokładnie w tym miejscu co ja i widziała jaskrawe kolory na innych trumnach.

Nawą przeszedł mężczyzna w czarnej zwiewnej sutannie, ze stulą na szyi sięgającą niemal do ziemi.

– Wielebny Perkins? – spytałam panią Coley, a ona przytaknęła.

A więc to był pastor Mary, u którego mieszkał Leesum.

Za pastorem podążał chór w żółtych szatach, nucący w takt muzyki. Jedna z kobiet zaśpiewała solo wysokim, czystym głosem: – Jest balsam w Gileadzie. – Na co chór odpowiedział: – Co leczy wszelkie rany. – Potem znowu silny głos: – Jest balsam w Gileadzie.

– I chór: – Co koi grzeszną duszę. – Czułam, że śpiewają do mnie.

Chór zatrzymał się przy rozkładanych krzesłach ustawionych pod ścianą obok fortepianu. Naprzeciwko siedzieli w rzędzie mężczyźni w czarnych garniturach.

– Diakoni – szepnęła pani Coley. Jednym z nich był George McHone, nasz dozorca, w garniturze i muszce, tak jak na paradzie Daddy’ego Grace’a.

Tekturowe wachlarze szemrały w ciepłym powietrzu, chórzyci, nie przestając nucić, zajęli miejsca, szurając składanymi krzesłami. Wielebny Perkins położył Biblię na ambonie za trumną i zwrócił się ku wiernym. Łysy, z jasną cerą, mógłby uchodzić za białego, gdyby nie płaski murzyński nos.

Przejściem nadeszły dzieci z kwiatami, młodsze z przodu, nastolatki za nimi.

Ostatnim, który mijał naszą ławkę, był Leesum. Wystawiłam rękę, potem cofnęłam, wymawiając jego imię.

Leesum odwrócił się, oddał kwiat innemu chłopcu, po czym wyszedł z procesji.

– Co się dzieje? – zapytał mężczyzna siedzący obok mnie.

– To moja przyjaciółka. – Leesum nie odrywał ode mnie wzroku.

– Tu nie ma dosyć miejsca – powiedziała kobieta po drugiej stronie pani Coley.

– To moja przyjaciółka. – Leesum wcisnął się i usiadł przy mnie.

– To nie w porządku – rozległ się czyjś gderliwy głos. Dwie osoby wstały, by poszukać mniej zatłoczonej ławki. Kiedy ludzie się rozsunęli, Leesum został tuż przy mnie. Wziął mnie za rękę i żalowałam, że mam rękawiczki.

– Co robisz, chłopcze? – pani Coley wychyliła się z ławki. – Powinieneś siedzieć z przodu.

– Przysiadłem się do przyjaciółki.

– Właśnie widzę.

– Cicho – mruknął ktoś z tyłu.

Teraz mogłam skupić uwagę na Mary i nabożeństwie. Z Leesumem trzymającym mnie za rękę i panią Coley u boku wszystko musiało być dobrze.

Dzieci dotarły do przodu kościoła, gdzie wręczyły kwiaty Zarządowi Matek oraz Młodej Mary i Linkowi.

Na znak dany przez wielebnego Perkinsa jeden z diakonów wstał, podszedł do trumny i zamknął wieko. Czyżby zamierzali pochować Mary z jej Biblią? Z całą historią rodziny.

Pastor uniósł ręce.

– Jest wśród nas gniew. Niektórzy mówią o odwecie. – Ostatnie słowo wymówił wolno, podkreślając dobitnie każdą sylabę.

– Zbyt wielu ludzi już umarło – zawołał jeden z mężczyzn.

– Właśnie – zawtórował inny. – Zbyt wielu.

– Tak, Jezu!

– Zebraliśmy się tu ku czci Mary Constance Culpepper Luther, która leży przed nami – powiedział wielebny Perkins. – Bóg wezwał ją do siebie.

– Wola Boża – powiedział ktoś za mną.

– Ale siostra Luther nie zginęła... – ciągnął pastor.

– Alleluja – zawtórował męski głos.

– Siostra w Jezusie – powiedziała kobieta.

– Ziemską drogą, którą podążała Mary Luther, nie była łatwa, mimo to ona na niej wytrzymała. – Wielebny Perkins spojrzał na Młodą Mary i Linka. Potem oddalił się od ołtarza, podszedł do trumny Mary i wyciągnął ręce, z dłońmi zwróconymi ku górze, jakby zamierzał ją wskrzesić.

Kiedy przemówił znowu, jego głos brzmiał tak cicho, że ledwo go słyszałam.

– Siostra Luther, którą znałem, nie słuchałaby słów gniewu. Odwróciłaby drugi policzek do tych, którzy ją bili, i modliłaby się do Boga, aby im przebaczył.

– Odeszła do Jezusa.

– Chwała Panu!

W kościele dał się słyszeć szmer ciał, pachniały kwiaty. Wachlarze poruszały się w powietrzu tam i z powrotem.

Pastor otarł głowę chusteczką i wrócił do ambony. Powiódł wzrokiem po wiernych, przenikliwie spojrzał na jedną osobę, potem drugą, wreszcie na mnie.

– Mary Luther była sprzątaczką. Ludziom, u których pracowała, pomagała prowadzić dom, potem wracała do siebie i też sprzątała. – Czułam się jak przygwożdżona do ławki. – Kładła się może dopiero o północy. Nazajutrz wstawiała i na nowo podejmowała pracę. Bóg pobłogosławił ją dwójką udanych dzieci. Mary mówiła mi, jak bardzo jest dumna, kiedy jej syn otrzymał stypendium Uniwersytetu Howarda. – Pastor popatrzył na Młodą Mary i Linka.

– Amen! Chwała Jezusowi!

Wielebny Perkins odchrząknął, napił się wody.

– Dobroć siostry Luther ujmowała wszystkich w tym kościele, ale niektórym poświęcała więcej uwagi.

– Spojrzał na Leesuma.

Leesum skinął głową.

Z uchwytu przy ławce przede mną wzięłam wachlarz i zaczęłam się wachlować. Na wachlarzu widniała reklama Domu Pogrzebowego Alexander's, gdzie odbyło się czuwanie przy zwłokach Mary. Żałowałam, że tam nie dotarłam.

– Na pogrzebie Mary Luther nie ma miejsca na gniew – powiedział donośniej wielebny Perkins. – Żyła dla miłości i umarła w miłości.

Wtedy jeden z diakonów wstał i powiedział za plecami pastora: – Pobito ją na śmierć z nienawiści.

– Z nienawiści – potwierdził ktoś inny.

– Zabito ją na ulicy.

Pastor odwrócił się, by spojrzeć na mówiącego.

– To prawda, diakonie Hull. Nienawiść zabiła naszą siostrę. Ale miłość, którą żyła, zatriumfuje nad grzechem, którą ją zabrał.

– Miłość pokona grzech – zawołał czyjś głos.

– Wiem, że jesteście rozgniewani – mówił wielebny Perkins do wciąż stojącego mężczyzny. – Jednak to nie jest czas na mściwe słowa.

Diakon usiadł, potem znowu wstał i powiedział do wiernych: – Przyjdźcie na piątkowe nabożeństwo wieczorem, bracia i siostry. Zbierzmy się tu i porozmawiajmy o tym, co spotkało panią Luther. – Potem usiadł. – To na razie wszystko, pastorze.

Wielebny Perkins wziął z podium Biblię i podszedł do trumny Mary.

– Mary Luther, serce mądrości, dobrze знаła Pismo. Mówiła, by zwracać się ku niemu w chwilach gniewu. – Otworzył Biblię. – W piątym rozdziale Izajasza czytamy o tych, którzy czynią zło: „Przeto, jak słomę pożera język ognisty, a siano znika w płomieniu, tak korzeń ich będzie zgnilizną, a kiełek ich jak pył porwany się wzniesie, bo odrzucili Prawo Pana Zastępów...”<sup>3</sup> – Pastor uderzył palcem w otwartą Biblię. – Odrzucili Prawo Pana Zastępów! – Przewrócił kilka stron. – To samo czytamy w całej Dobrej Księdze. Psalm trzydziesty siódmy mówi o tym jasno: „Zaprzestań gniewu i porzuć zapalczywość; nie oburzaj się: to wiedzie tylko ku złemu. Złoczyńcy bowiem wyginą, a ufający Panu posiadą ziemię”<sup>4</sup>.

Pastor zamknął Biblię i zawołał: – Złoczyńcy wyginą!

– Słowo Boże. Nie oburzaj się. Ufaj Panu – odpowiadali wierni w kościele.

Pastor wrócił na ambonę, zamknął oczy, pochylił głowę. W kościele panowała cisza.

– Boże! – Zawołał pastor. – Czy widzisz nasze serca?

– Moje serce przepelnia nienawiść – wyrwał się krzyk z ust jednej z kobiet.

Pastor kontynuował tonem rozmowy: – Jezu, ześlij swą miłość, jak zesłałeś tym, którzy cię ukrzyżowali. Napelnij nasze serca miłością. – Odczekał chwilę, by wysłuchać reakcji wiernych, po czym ciągnął dalej: – Ta matka żyje w sercach jej dzieci, w sercach wszystkich w tym kościele. Po wsze czasy będzie żyć w miłości Jezusa. Świat bez końca, amen.

Wierni odpowiedzieli: „Amen”.

Jednym z chórzystów był chudy staruszek, łysy, pomijając kółko siwych włosów.

Teraz stanął przed trumną Mary, twarzą do wiernych, i zaczął śpiewać drżącym basem: – Wykradnij się. Wykradnij się. Wykradnij się do Jezusa. – Głos staruszka przybierał na sile, a ludzie wokół mnie zaczęli mu cicho wtórować. – Wykradnij się. Wykradnij się do domu. Długo tu nie zostanę. – Po twarzy staruszka płynęły łzy. Chór dołączył, śpiewając szybciej i donośniej. – Wzywa mnie Pan. Wzywa mnie

gromem. – Stojący po moich bokach pani Coley i Leesum śpiewali wraz z chórem. – W mojej duszy gra trąba. Długo tu nie zostanę. – Ludzie nie mieli śpiewników, znali słowa na pamięć. Pani Coley kołysała się obok mnie w takt muzyki, rondo jej kapelusza ocierało się o moje ramię. – Wykradnij się.

Wykradnij się do domu. – Jej głos narastał harmonijnie. – Długo tu nie zostanę.

Diakon podszedł do trumny i uniósł jej wieko.

– Wszyscy, którzy jeszcze tego nie zrobili, mogą teraz po raz ostatni pożegnać siostrę Luther – ogłosił wielebny Perkins. Wierni podchodzili do trumny, skłaniali się nad nią.

Słysząc było jedynie szuranie nóg, skrzypienie desek podłogowych, pociąganie nosami, stłumione szlochy. Kiedy wszystko się uciszyło, do przodu wystąpiło sześciu ludzi.

Zastanawiałam się, czy jest wśród nich brat Mary. Pastor dał znak i do trumny podeszła Młoda Mary. Pocałowałszy matkę w czoło, wzięła białą Biblię. Link zamknął trumnę, po czym sześciu ludzi poniosło ją przejściem. Ludzie wstawali i wyciągali ręce ku orszakowi.

– Bądź z Jezusem, siostró Luther. Niech Bóg cię błogosławi, siostró. Chwała Panu. – Dłonie dotykały lśniącego drewna.

Pani Coley, Leesum i ja wtopiliśmy się w tłum wypełniający przejście, szliśmy wolno w dusznym powietrzu ku prostokątowi światła, który otwierał się na skwar popołudnia. Przed kościołem wierni w dwu, trzyosobowych grupkach ruszyli za grabarzami na przykościelny cmentarz. Otwarty grób Mary znajdował się między tabliczką z nazwiskiem jej męża, Pharra Lincolna Luthera, zmarłego w 1948 roku, a nagrobkiem z napisem „CAROL JANE LUTHER, URODZONA 2 LUTEGO, ZMARŁA 10 KWIETNIA 1946 ROKU”. Gdy Mary zaczęła dla nas pracować, miałam pięć lat. Miała całe życie, o którym nic nie wiedziałam, dziecko, które żyło i umarło, zanim ją poznałam, męża, którego nie pamiętałam.

Leesum trzymał się blisko mnie. Wprost nie mogłam uwierzyć, że poznałam go zaledwie przed dziesięcioma dniami. Miałam wrażenie, że jest moim starym przyjacielem.

Jakoś nie pamiętałam, że jest taki wysoki, ale przewyższał mnie o dobre piętnaście centymetrów.

– Weź mnie za rękę, słodki Panie... – zaintonowała chórzystka, a pozostali dołączyli.

Kiedy trumnę Mary opuszczano do grobu, wielebny Perkins powiedział coś, czego nie zrozumiałam. Link i Młoda Mary rzucili na trumnę garście ziemi. Błyszczące czerwone buty Młodej Mary pasowały do szminki i wiśni na jej kapeluszu; czarną sukienkę miała ozdobioną satyną, spódniczka opinała jej wąską talię i wysokie biodra. Jej mama chyba nie zaaprobowałaby takiego stroju na pogrzebie. Młoda Mary napotkała moje spojrzenie i odwróciła wzrok.

Stanęłam nad grobem. Mary już nigdy przy mnie nie będzie. Nie miałam się do kogo zwrócić po dobroć, jaką od niej dostawałam. Dłoń położyłam na nagrobku jej męża, gdy Leesum zapytał: – Gdzie twoi rodzice?

– Nie mogli przyjechać.

– To naprawdę coś, że przyjechałaś tu sama. – Leesum spojrzał na trumnę Mary. – Pani Luther zaopiekowała się mną tak, jak obiecała na Florydzie. Mieszkam u pastora. Zacząłem pracę jako młodszy odźwierny w tym kościele. – Popatrzył na kogoś za mną. – Witaj, Linku.

Odwróciwszy się, zobaczyłam Linka, który stał obok mnie. Twarz miał spiętą.

– Witaj, June.

Rozejrzałam się za Młodą Mary, ale jej nie znalazłam.

– Przykro mi z powodu twojej... z powodu Mary.

Link skinął głową.

– Spytaj ojca... – Wziął wdech. – Spytaj pana Wattsa o pokój za magazynem.

– Co takiego?

Link się oddalił.



– Link...

Nie zatrzymał się.

– Przywiozłam rzeczy twojej matki, jej torbę w kwiaty. – Link się odwrócił. – W torbie są trzy keksy.

Mary kupiła jeden dla kościoła, jeden dla was i jeden dla najlepszej przyjaciółki. – Wstydziałam się, że nie wiem, kto to jest. – Rzeczy są przy wieszaku w przedsionku.

– Pójdę po nie. – Twarz Linka na chwilę złagodniała. Zniknął w tłumie, zostawiając mnie z Leesumem pośród grup ludzi pod drzewami. Zebrani rozmawiali, popatrywali na Leesuma, na mnie prawie nie zwracali uwagi. Ktoś położył mi dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku, panno Watts? – spytał wielebny Perkins.

– To było dobre nabożeństwo – przytaknęłam.

– Pani Luther opowiadała mi o tobie. – Pastor dotknął mojej dłoni. – Wszystko mi opowiedziała.

Byłaś... – Urwał. – Mówiła, że jesteś... – Odchrząknął. – Po prostu cię kochała.

Łzy napłynęły mi do oczu. Pastor mnie objął.

– Nauczysz się żyć bez niej. Pan nie zsyła nam więcej, niż potrafimy znieść. – Spojrzał mi w oczy. –

Wiesz o tym?

– Tak zawsze mówiła Mary.

– Pamiętaj o tym. – Potem pastor zwrócił się do Leesuma: – Zobaczymy się później.

– Tak jest.

– Muszę iść – powiedziałam do Leesuma. – Moi rodzice nie wiedzą, gdzie jestem.

W eleganckim ubraniu, poważny, Leesum wyglądał jak dorosły mężczyzna, gdy odprowadzał mnie na ulicę.

– Poślemy ludzi do Georgii. Dowiedzą się, co się stało z panią Luther.

– Kto pośle, Kościół?

– Tak, diakon Hull, ten, który się odezwał podczas nabożeństwa. Może jeszcze jedna czy dwie osoby.

– Szeryf pracuje nad tą sprawą.

– Oni nigdy nie starają się odkryć, kto zabił kolorową osobę. – Kolorową. Leesum był kolorowy. Raz po raz zapominałam, co to znaczy.

Pod kościół podjechała żółta taksówka, ta sama, którą przyjechałam.

– Muszę już iść. – Wzięłam Leesuma za rękę.

– Będę o tobie myślał, Jubie. – Utkwił we mnie zielone oczy.

– Ja o tobie też. Do widzenia, Leesum.

Z tylnego siedzenia taksówki odprowadzałam go wzrokiem, stojącego na chodniku.

– Jak się udał pogrzeb? – zapytał taksówkarz.

– Dobrze. Cieszę się, że pojechałam.

– Pewnie byłaś jedyną białą.

– Tak.

– Zapomniałaś bagażu?

– Och, nie, należał do kobiety, która... Odwiozłam go jej rodzinie.

Po pewnym czasie mineliśmy Dom Modlitwy dla Wszystkich Ludzi oraz czerwono-białoniebieską posiadłość Daddy’ego Grace’a naprzeciwko domu z szyldem w kształcie lodu. Kiedy skręciliśmy w Morehead, skuliłam się na siedzeniu na wypadek, gdyby w Junior Woman’s Club siedziały przyjaciółki mamy. Po wyprostowaniu się zapytałam kierowcę: – Dlaczego pan po mnie wrócił?

– Mam córkę w twoim wieku. Nie chciałbym, żeby sama spacerowała po dzielnicy kolorowych.

Spodobało mi się, że nie powiedział „dzielnicy czarnuchów”. W końcu zatrzymaliśmy się pod moim domem, a taksówkarz powiedział: – Jeden dolar. Poradzisz sobie dalej?

– Tak, proszę pana. – Dałam mu dolara i dwadzieścia pięć centów. – Dziękuję za dobroć.

Stukając obcasami, pobiegłam frontowym chodnikiem do domu. W swoim pokoju usiadłam przy toalecie i próbowałam wymyślić, co dalej począć. Patrząc w lustro, zdjęłam słomkowy kapelusz Stell i położyłam na szklanym blacie toaletki jak dama na filmie, zdejmująca nakrycie głowy po herbatce. Kapelusz odłożyłam do pudełka dokładnie tak, jak leżał, a samo pudełko schowałam do szafy Stell. Białe bawełniane rękawiczki od Meemaw, nigdy wcześniej nienoszone, odłożyłam do górnej szuflady komody, żegnając dziewczynę, którą tak naprawdę nigdy nie byłam. Kiedy naciągnęłam koszulkę i zapięłam dzinsy, znowu poczułam się sobą. Swój pokój zostawiłam schludny, zupełnie nie jak mój. Jeśli odjadę samochodem, nikt nie pozna, że byłam w domu. Nawet lśniąca kuchnia mogła być dziełem ciotki Rity lub Młodej Mary.

Właśnie wycofałam samochód na podjazd i podnosiłam drzwi garażu, gdy z okna na piętrze zawołała Linda Gibson: – Hej, June! Kiedy wróciłaś? – Udając, że jej nie słyszę, wskoczyłam do wozu.

Za rogiem skręcałam w kierunku miasta. Ludzie wracali z pracy, więc ruch się nasilał; denerwowałam się, prowadząc w tłoku. W końcu skręcałam w Princeton i wjechałam na zapelniony parking przy Freedom Park. Przez otwarte okna wpadał wiatr. Skauci z ojcami grali w piłkę na boisku przy parkingu, wrzeszcząc i wzbijając kurz.

Wyciągnięta na przednim siedzeniu, próbowałam obmyślić plan działania, ale mogłam myśleć jedynie o Mary w trumnie, w ziemi, zimnej i nieruchomej na zawsze. Z zamkniętymi oczami usiłowałam do niej mówić, nie modlić się, ale po prostu mówić na głos: – Hej, Mary, pojechałam na twój pogrzeb, który się udał. Ty byś... – Urwałam i pomyślałam, że ona już wszystko wie, tak samo jak za życia.

## Rozdział 27

Obudził mnie śmiech. Wysokie latarnie upodabniały park do wyspy światła w gęstniejącym mroku. Wokół jeziora ludzie siedzieli na trawie. Mężczyzna grillujący obok pobliskiego kombi podał chłopcu hot doga. Kobieta napełniła kubki z termosu. Zapach hamburgerów sprawił, że ślina pociekła mi do ust. Zamknąwszy samochód, poszłam pięć przecznic do domu.

W domu panowała cisza. Bardzo chciałam zapalić światło albo włączyć wentylator na strychu, cokolwiek, byle nie czuć się tak bardzo samotna. Z lodówki wyjęłam butelkę z wodą i napiłam się, ochlapując sobie koszulkę. Słabe światło z lodówki tańczyło na tablicy korkowej, gdzie zostawiłyśmy odręczną kartkę: „Do widzenia, tato. Będziemy za tobą tęsknić. Do zobaczenia w Pawleys!” Zaledwie półtora tygodnia temu zanotowałam harmonogram treningów pływackich i wcisnęłam pinezki w tę kartkę dla taty. Każde z nas napisało coś od siebie, nawet Davie – mama zamoczyła mu rączkę w zielonej plakacie i przycisnęła do kartki. Do tablicy przypięto też kartkę papieru mosiężną pinezką, wbitą w odcisk dłoni Daviego. W słabym świetle nie mogłam przeczytać słów na kartce, ale dostrzegłam podpis, „Mary”. Szarpnęłam za kartkę. Pinezka wyskoczyła i zadzwoniła o podłogę.

Wtedy usłyszałam trzask drzwiczek samochodu. Kartkę wsunęłam do kieszeni.

Odgłos otwieranych drzwi gabinetu, brzęk kluczyków, wreszcie głos taty: – Później to wniesiemy. – Wycofałam się do holu i wstrzymując oddech, otworzyłam drzwi do piwnicy; próbowałam uczynić się nieważką, gdy po omacku schodziłam na palcach po schodach. Pomimo starań Mary, by pozbyć się pleśni, w piwnicy cuchnęło stęchlizną.

Macając w ciemności, znalazłam drzwi do małej łazienki pod schodami, używanej tylko przez Mary i dozorcę. Na sedesie nie było deski. Drząc na całym ciele, usiadłam i mocno otuliłam się rękami, by powstrzymać dreszcze. Kroki przeszły z gabinetu do jadalni, aż znalazły się dokładnie nade mną.

– Ona tu była. – Tata.

– Skąd wiesz? – Stryj Stamos.

– Kiedy wyjeżdżałem, tu był chlew.

– Sądziłem, że córka Mary przychodziła sprzątać.

– To nie wypaliło.

– Prawie skończył ci się burbon – stwierdził stryj Stamos.

Wyraźnie ich słyszałam. Co też Mary tutaj słyszała?

– Wiesz, jak trudno dorobić kluczyki samochodowe w Pawleys Island?

– Czemu musiałeś to zrobić?

– Nie mogłem znaleźć swoich. Jeśli Jubie je zabrała, to ją zabiję.

Wierzyłam mu.

– Gdzie ona może być? – spytał stryj Stamos.

– Wybrała się na przejażdżkę. Rozwali packarda. Znowu.

– Kraść samochód matki... To nie jest w stylu June.

Kochałam stryja Stamosa za to, że się za mną wstawiał.

– Paula pozwala dziewczynom na zbyt wiele. Jubie potrzebuje silnej ręki. – Krzesło zaszurało po podłodze. – Trzeba trzaskać batem. To samo dotyczy chłopaków w firmie.

– Odkąd David Lacey został brygadziwą, powinno być lepiej – powiedział stryj Stamos.

– Jak chcesz zapanować nad czarnuchami, postaw na czele czarnucha. – Ton głosu taty przyprawił mnie o dreszcz. – Jest wystarczająco silny i wredny. Utrzyma ich w ryzach. – Lód zagrzechotał w szklance. – Problem nie dotyczy tylko naszej firmy.

– Masz na myśli tę historię z Sądem Najwyższym?

– Zanim się obejrzyysz, wleżą do naszych szkół.

– To może nie być aż takie złe, jak myślisz – odparł stryj Stamos.

– Będzie jeszcze gorzej. Ale WBA to powstrzyma, przynajmniej w Charlotte.

– Wolałbym, żebyś się w to nie mieszał.

– A ja bym wolał, żebyś ty się w to mieszał. To ważna sprawa. Pewne konsekwencje...

Ktoś zapukał do drzwi kuchennych. Krowi dzwonek zabrzączał.

– Witaj, Lindo – zadudnił jowialny głos taty.

– Hej, Bill. Gdzie reszta rodziny? Jubie zachowywała się...

– Widziałaś Jubie?

– Około wpół do piątej odjechała packardem. Dlaczego zderzak był wgnieciony?

– Kraksa w Georgii. Powiedziała, dokąd jedzie?

– Zachowywała się tak, jakby mnie nie słyszała.

Nadal siedziałam na sedesie. Co zrobiłaby Mary? Niemal słyszałam, jak mówi: „Wpakowałaś się w tarapaty, Jubie. Lepiej poszukaj sobie lepszego miejsca”. Wstałam, odeszłam kilka kroków od sedesu, wróciłam do piwnicy i wpadłam na stojak z winem należący do taty. Butelki zabrzączały. Zamarłam.

Nad moją głową zaskrzypiały deski podłogowe.

– Idę do łazienki. – Kroki stryja Stamosa oddaliły się w kierunku gabinetu. Tata coś powiedział. Pani Gibson się zaśmiała.

Po omacku przeszłam przez piwnicę, wdrapałam się na stertę skrzynek ze słojami na przetwory i pchnęłam okienko z boku domu. Kiedy oparłam się, by się wczłgać na parapet, skrzynki runęły z hukiem. Koszulka zaczepiła mi się o parapet, a gdy wypełzałam na podwórze, zadrapałam się w brzuch zasuwką. Nogi zaplątały mi się w krzaki bukszpanu, twarz utyłałam sobie ziemią, z trudem, ale w końcu wstałam. Ledwie łapałam oddech, aż poczułam gorącą suchość w gardle i ruszyłam do domu Maggie, żeby się schronić.

Na frontowym chodniku przystanąłam i przycisnęłam dłoń do zadrapania na brzuchu.

Otwarte drzwi salonu wychodziły na obudowaną werandę; usłyszałam telefon, potem głos pani Harold: – Tommy? Telefon.

Pchnęłam siatkowe drzwi. Cockerspaniel spał na sofie w kwiaty w polu żółtego światła. Obok bujanego fotela pani Harold stał kosz z włóczką, na zielonym fotelu pana Harolda ujrzałam gazetę, jego fajka spoczywała tuż obok na drewnianym stojaczku. Pokój był zawalony niedopasowanymi meblami. Mama uznałaby, że urządzono go w złym guście.

Nigdy w życiu nie cieszyłam się tak, jak po dotarciu do tego domu.

– Maggie? – zawołałam.

– Margaret? – rozległ się na tyłach domu głos pana Harolda. – Ktoś do ciebie.

– Jubes! – Maggie przebiegła przez salon i zarzuciła mi ręce na szyję. Jej jasne włosy pachniały Prell i cudownie chłodziły moje rozpalone policzki. – Kiedy wróciłaś? Kurczę, co się dzieje? Mamo! – zawołała przez ramię i do salonu wbiegła pani Harold.

– Jubie! – Odgarnęła siwe włosy z twarzy. – Twoja mama bardzo się o ciebie martwi.

– Och. – Osunęłam się na fotel pana Harolda.

– Co ci się stało? – pani Harold patrzyła na moją podartą koszulkę.

– Wyczołgałam się przez okno w piwnicy.

– Margaret, przynieś Jubie czystą bluzkę – zwróciła się pani Harold ostrym tonem do Maggie, która stała z rozdziawioną buzią. – Migiem!

Maggie pognęła korytarzem.

Pani Harold usiadła na sofie obok fotela, odpychając psa. Była taka gruba, że miała dołeczki na łokciach. Po przebytych raku miała zupełnie płaską klatkę piersiową. Z pustego stanu wydobyła chusteczkę i otarła zadrapanie na moim brzuchu.

– Zechcesz mi powiedzieć, co się dzieje? Naprawdę powinniśmy zawiadomić twoją mamę.

– Gdzie ona jest?

– U twojej ciotki.

Maggie wbiegła do salonu z bluzką Ship'n'Shore, tą samą, którą pomogłam jej wybrać.

– Grzeczna dziewczynka – powiedziała pani Harold. – Jubie, idź się przebrać do jadalni. Jesteś głodna?

– Tak, proszę pani.

– Temu akurat potrafię zaradzić. – Ruszyła korytarzem. Po przejściu do jadalni ściągnęłam przez głowę podartą koszulkę.

Pani Harold wróciła, kiedy zapinałam bluzkę. Na talerzu, który mi podała, leżała pieczeń, kolba kukurydzy, plasterki ananasa.

– Zimne, ale dobre. – Zrobiła miejsce na talerz na stole obok fotela pana Harolda.

Maggie przyszła z kuchni ze szklanką mleka, serwetką i sztuczkami. Zabrałam się do jedzenia.

– Myślałam, że wszyscy pojechaliście nad morze.

Maggie usiadła na sofie obok mnie.

– Mary została zabita – powiedziałam, żując kukurydzę.

– Dobry Boże – zdziwiła się pani Harold. – Kto to jest Mary?

– Wasza dziewczyna? – spytała Maggie.

Przytaknęłam, odłożyłam kolbę i wytarłam palce. Maggie dotknęła mojej dłoni; jej blada, piegowata skóra kontrastowała z moją opalenizną.

– Jak to się stało? – zapytała pani Harold.

– Kiedy zatrzymaliśmy się w Georgii, porwali ją jacyś ludzie. Pobili ją na śmierć i...

Zabrałam samochód mamy i wróciłam na pogrzeb Mary.

– Sama przyjechałaś z nad morza? – zdumiała się pani Harold.

– Tak. – Zadzwoił telefon.

– Zrobiłaś coś nadzwyczajnego.

Chciałam ją uściskać.

– Jubie, dzwoni twoja mama – zawołał pan Harold.

Poszłam do holu i usiadłam na stołku we wnęce z telefonem.

– Hej, mammo.

– Nic ci nie jest?

Nie sprawiała wrażenia rozgniewanej. Zdumienie odebrało mi mowę.

– Jubie?

– Tak...

– Strasznie się o ciebie martwiłam.

– Naprawdę?

– Nie sądziłam, że potrafisz jeździć autostradą.

– Właśnie się nauczyłam.



Po chwili ciszy mama rzekła: – Twój tata jest bardzo zdenerwowany.

– Wiem. – Pod bluzką Maggie piekło mnie zadrapanie na brzuchu.

– Widziałaś się z nim? – spytała ostro mama.

– Byłam w domu, schowana w piwnicy. Przyszedł ze stryjem Stamosem, więc uciekłam.

– Tym razem naprawdę się doigrałaś, Jubie.

– Tak jest. – W tle słyszałam muzykę.

– Może przez pewien czas nie pokazuj się tacie na oczy.

Sznur telefonu oplotłam wokół palca.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Domyśliłam się. Byłaś na pogrzebie?

– Tak.

– Szkoda, że nie mogłam pójść z tobą.

– Naprawdę żałujesz?

– Tak. Nie twierdzę, że postąpiłaś właściwie, ale cieszę się, że ktoś z naszej rodziny tam poszedł. Jak było?

– Smutno. Dobrze. Widziałam Linka i Młodą Mary. I Leesuma.

– Kogo?

– Tego chłopaka z Pensacola.

– A, tak. – Zapalniczka kliknęła, mama zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym. – Nie przejmuj się ojcem.

– Dobrze.

– Gdzie jest packard? Bill mówi, że w domu go nie ma.

– Jest na Freedom Park, na parkingu przy Princeton.

– Mam zapasowe kluczki. Odbierzemy go. – Mama urwała. – Dzisiejszą noc możesz spędzić u Maggie.

Albo tutaj, u Stamosa i Rity.

– Pani Harold na pewno się zgodzi, żebyś tu została. Potrzebuję ubrań.

– Przywiozę ci je jutro rano. Wszystko będzie dobrze, Jubie. Obiecuję.

W wąskiej sieni osunęłam się ze zmęczenia na ścianę i obawiałam się, że zasnę, zanim znajdę łóżko.

Rano pani Harold powiedziała, że jeśli dam jej brudne ubrania, to dołoży je do prania, które zamierza

zrobić. Pralka łoskotała w kuchni, kiedy pani Harold przysła korytarzem do salonu, gdzie siedziałam z

Maggie na sofie, ubrana w ręcznik Maggie, za mały, ale nadający się, jak szlafrok Mary noszony przez

Leesuma. Pani Harold wręczyła mi zmiętą kartkę.

– Znalazłam to w kieszeni twoich dzinsów, Jubie. Przeczytałam ją. Przepraszam.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi. Wyglądziłam kartkę na kolanie.

„Nie wracam. Powiem, co zrobiłaś. Mary”.

– Co to znaczy? – Pani Harold usiadła w fotelu.

– Nie wiem.

Dotarwszy do domu Maggie, mama objęła mnie i długo tuliła, potem odsunęła się i odgarnęła mi włosy z czoła.

– Wciąż nie mieści mi się w głowie, że przejechałaś całą drogę do domu.

Pani Harold zaproponowała herbatę, na co mama przystała z ochotą. Razem usiadliśmy na sofie, podczas gdy Maggie poszła z matką do kuchni.

– Masz. – Podałam mamie kartkę. – Od Mary. Była przyczepiona do tablicy korkowej.

– To nie jest od Mary – stwierdziła mama po przeczytaniu.

– Przecież się podpisała.

– To nie jest jej charakter pisma. To musiała napisać Młoda Mary. – Mama wpatrywała się w kartkę.

## Rozdział 28

Mama i ja przygotowujemy lunch, kiedy usłyszałam, jak podnoszą się i opuszczają drzwi od garażu. Mama położyła mi dłoń na ramieniu.

– Otwórz mi puszkę tuńczyka.

Do kuchni wszedł tata. Z głośnym stukotem postawił na stole piwo.

– Co masz do powiedzenia?

– June zrobiła to, co sami powinniśmy byli zrobić – powiedziała mama.

– Ukradła twój cholerny samochód! – Tata zmrużył oczy.

– Mam dość twoich awantur. – Mama odwróciła się do blatu i zaczęła siekać cebulę.

Tata przyglądał mi się zza baru.

– Jubie, wyjmij z lodówki słodkie pikle – powiedziała mama.

Tata wyszedł z kuchni. Drzwi sypialni rodziców trzasnęły.

Mama usiłowała znaleźć nową służącą. Rozmawiała o tym z przyjaciółkami i zamieściła ogłoszenia w „The Charlotte Observer” i „The Charlotte News”:

POTRZEBNA POMOC DOMOWA do sprzątania, prasowania i gotowania.

Południowe Charlotte, autobus numer 3, od 8 do 18 w dni powszednie. Czasami w soboty.

Lunch wliczony. Musi być zdrowa. 25 dolarów tygodniowo. Dzwonić do pani Watts: 3-5652.

Tata uważał, że zamieszczanie ogłoszenia w obu gazetach to przesada, bo kolorowi czytają tylko „News”. Mama odparła, że większość jej znajomych woli „Observera”, a właśnie oni najpewniej pomogą znaleźć nową służącą.

Mama miała zastrzeżenia do wszystkich kobiet, które zjawily się w sprawie ogłoszenia. Jedna z nich miała duże doświadczenie i dobre referencje, ale żądała trzydziestu dolarów tygodniowo, a mama uznała, że to rozbój w biały dzień.

– Poza tym zadzierala nosa.

Mama przyczepila ogłoszenie na tablicy w Watts Concrete Fabrications w nadziei, że żona czy córka któregoś z pracowników szuka pracy. Nic z tego jednak nie wyszło, zdaniem mamy dlatego, że po śmierci Mary mieliśmy złą reputację w kolorowej społeczności.

Na sofie w gabinecie zaczęły się piętrzyć ubrania, które mama składała tam podczas oglądania telewizji albo słuchania radia. Sterty ubrań często leżały tam po zakończeniu audycji, bo mama po prostu je zostawiała. Poza tym przestała prasować prześcieradła i poszewki, a my same musiałyśmy zmieniać swoją pościel.

Pewnego dnia zastałam ją zapłakaną przy stole w jadalni, z adamaszkowym obrusem w dłoniach. Na środku obrusu widniała brązowa plama w kształcie żelazka.

– Zniszczyłam go – szlochała mama. – Rozmawiałam przez telefon... – Łzy kapały na obrus, w powietrzu czuło się woń spalonego lnu. Bardzo chciałam ją pocieszyć, ale nie miałam pojęcia jak. Mama wytarła nos w zniszczony materiał. – Jest tyle rzeczy do zrobienia.

Nazajutrz mama kazała mi i Stell pomóc jej przesunąć stół, ja miałam jeszcze wynieść krzesła z kuchni

do jadalni. Do pracy włożyła wyblakłe płócienne bermudy i tenisówki, włosy obwiązała chustką, po czym spędziła cały dzień na czworakach ze szczotką ryżową i kubłami wody z mydlinami, szorując żółtawy nalot na linoleum. Przy kolacji pokazała nam zniszczony manicure.

– Założyłam gumowe rękawiczki, żeby chociaż trochę ochronić dłonie. Jeśli nie znajdę pomocy domowej, załamie się nerwowo.

Czarnoskóra kobieta imieniem Virginia, służąca pani Feaster, pomagała nam przez tydzień, kiedy pani Feaster wyjechała. Po paru dniach pracy Virginii u nas mama powiedziała: – Nie wiem, ile płaci ci Susie, ale proponuję dwadzieścia osiem dolarów tygodniowo, lunch wliczony.

Virginia nie przyjęła propozycji, mówiąc, że u pani Feaster pracuje od jedenastu lat.

Pani Feaster należała do najbliższych przyjaciółek mamy i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek się dowiedziała, że mama knuła coś takiego za jej plecami.

– Szukam po prostu dobrej Murzynki, takiej jak Mary – powiedziała mama do ciotki Rity.

– Znajdziesz kogoś. Jest mnóstwo silnych dziewczyn, które świetnie nadają się na pomoc domową. – Ciotka Rita kroїła na plastry szynkę, którą dzieliła się z mamą.

– Mam wysokie standardy. – Mama wyjęła ze spiżarni rolkę papieru spożywczego. – Mary była bystra, ciężko pracowała. Darzyłam ją bezgranicznym zaufaniem. Niektóre z tych dziewczyn mówią tak, że ciarki mnie przechodzą.

– Mary wysławiała przyzwoicie.

– I nie zarażała dzieci takimi zwrotami jak „przyszłem”, „włanczam” i...

– „Włanczam”?

– No tak, zamiast włączam.

– Mogłabym przysiąc, że jesteś kolorowa.

Tata nie pojmował, czemu mamie tak trudno znaleźć nową służącą, więc powiedziała mu, że sam może się rozejrzeć. Wtedy dał jej spokój.

Nie unikałam go, ale mało się do siebie odzywaliśmy, kiedy rodzina zasiadała do kolacji, albo w gabinecie, by oglądać telewizję. W obecności taty czułam się nieswojo i chciałam, żeby wszystko wróciło do czasów przed śmiercią Mary. Ilekroć tata wchodził do pokoju, miałam się na baczności, jak na pomoście na górze Shumont, gdzie grube szare deski wyglądały porządnie, ale prędzej czy później spróchniała część załamywała się pod nogami.

Bez Mary serce naszego domu pękło, a zatrudnienie nowej służącej nie mogło go skleić.

## Rozdział 29

Carter zadzwonił, by nas powiadomić o wypadku. Wtedy przypomniałam sobie, że kiedy wyjeżdżaliśmy do Pensacola, widziałam Richarda Daniela na trampolinie na basenie miejskim. Wyobraziłam sobie, jak skacze, kuli się w powietrzu, przekreca, deska wysuwa się z podstawy, Richard wypływa na powierzchnię, deska spada, głowa Richarda pęka jak arbuz.

Nie mogłam myśleć o niczym innym niż deska uderzająca go w głowę. Stell powiedziała, że opróżnili basen z powodu krwi.

Richard był najlepszym skoczkiem w drużynie starszych. Całymi godzinami ćwiczył, cierpliwie czekał w kolejce, aż będzie mógł skorzystać z trampoliny. Podczas gdy inne dzieciaki skakały z podkurczonymi kolanami albo robiły niezdarne jaskółki, Richard wykonywał podwójne salta i przecinał wodę ostro jak nóż. Kiedy Richard skakał, ludzie stali i go podziwiali.

W domu zapanowało złowrogie milczenie. Mamy, taty i Daviego nie było, a przed telefonem Cartera Stell, Puddin i ja trzymałyśmy się jak najdalej od siebie w cichym domu.

Po telefonie przytuliłyśmy się do siebie w pokoju Stell i Puddin. Puddin płakała, chociaż prawie nie знаła Richarda. Tuliłam ją tak długo, aż się uspokoiła, oparta o obite wezglowia, łączące ich podwójne łóżka. Puddin położyła się na poduszkach, a ja wyciągnęłam się w nogach łóżek, wpatrzona w martwe owady w szklanym kloszu na suficie.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałam z Richardem – powiedziała Stell. – Pytał, czy moim zdaniem w drużynie zagrzewającej sportowców powinni występować chłopcy.

– Twoim zdaniem powinni?

– W wielu szkołach tak jest. Z chłopcami można robić piramidy.

– Richard chciał zagrzewać sportowców?

– Tak. – Stell pociągnęła nosem.

Ktoś zadzwonił do drzwi na tyłach domu. Znowu. Krowi dzwonek zabrzączał, kuchenne drzwi się otworzyły i rozległ się głos stryja Stamosa: – Bill? Paula?

– Cześć, stryju Stamosie – zawołałam i zbiegłam po schodach.

– Gdzie są Bill i Paula? – spytał, spotykając się ze mną w sieni.

– Mama na zakupach. Nie wiem, gdzie jest tata. Stało się coś strasznego.

– Wiem. Coś okropnego, przerażającego – powiedział stryj Stamos. Nie mógł opanować drżenia dłoni. Zajrzał do salonu, schował ręce do kieszeni, znowu wyjął. – June, muszę pomówić z Billem. Powiedz mu, żeby do mnie zadzwonił. – Ruszył do kuchni, odwrócił się; twarz miał bladą jak kreda, w oczach łzy. – Do biura. Jak tylko wróci.

– Tak jest, powtórzę mu. – Stryj Stamos wyszedł, odprowadzany brzękiem krowiego dzwonka.

Wyjrzałam przez okno, spojrzałam na dwa ptaki dziobiące na trawniku. Do kuchni weszła Stell Ann.

– Puddin płakała tak długo, aż zasnęła. – Otworzyła lodówkę. – Chcesz herbaty?

– Chcę tylko, żeby Richard żył.

– Wiem. Nie mogę przestać o nim myśleć.

Drzwiczki samochodu trzasnęły, siatkowane drzwi łącznika otworzyły się i zamknęły.

– Dziewczynki? – zawołała mama.



Weszła do kuchni z dwiema torbami zakupów; Davie trzymał się jej sukienki.

– June, przynieś, proszę, resztę zakupów.

– Mamo, czy...

– Po prostu przynieś zakupy. Potem porozmawiamy.

Mama wiedziała już, co się stało. Dopiero za drugim razem przyniosłam wszystkie rzeczy w papierowych torbach, które mama wstawiała do lodówki i szafek. Stell pomagała, ale nikt nie odezwał się ani słowem. Davie siedział w wysokim krzeselku i tłukł łyżką o blat.

– June, przynieś bratu razowego krakersa. – Mama wytrząsnęła papierosa ze skórzanej papierošnicy i usiadła obok Daviego, przysuwając sobie popielniczkę. Mocno się zaciągnęła.

– Musiałyście już słyszeć o Richardzie Danielsie.

Stell postawiła puszkę fasoli na półce w spiźarni.

– Tak, dzwonił Carter – powiedziałam.

– Dubi – oznajmił Davie i ugryzł razowego krakersa.

– Co powiedział?

– Źe trampolina na basenie miejskim oderwała się i uderzyła Richarda w głowę.

– To wszystko? – Mama paliła, bębniąc palcami po stole.

– Był tu stryj Stamos, szukał taty.

– O, Boże. – Mamie załamał się głos. Zdusiła papierosa, ukryła głowę w dłoniach i rozplakała się. –

Mówili o tym w sklepie. Mówili, że deska... że coś się oderwało... pękło.

Davie cisnął krakersa.

– Mama!

Ona jednak najwyraźniej go nie słyszała.

– Gdzie, u diabła, jest wasz ojciec?

## Rozdział 30

Na pierwszej stronie „Observera” widniało zdjęcie Richarda, a pod nim artykuł szczegółowo opisujący jego śmierć oraz informacja, że pogrzeb będzie miał prywatny charakter, tylko dla rodziny. Mama przeczytała artykuł przy kolacji.

– Jestem pewna, że państwo Daniels nie życzą sobie, by obcy gapili się na grób Richarda. Ludzie potrafią być grubiańscy.

W następnym tygodniu telefon nie przestawał dzwonić. Kiedy mama odbierała, mówiła radośnie: – Halo? – Jeżeli telefonował ktoś bliski: ciotka Rita albo wuj Taylor, głos mamy znowu stawał się beznamiętny i znużony.

Tata chodził do pracy i wracał do domu. Nie chodził do klubu, nie grał w golfa ani nie łowił ryb nad jeziorem Wiley. Przy stole w kuchni lub w gabinecie zeskrobywał nalepkę z butelki piwa, zostawiał za sobą dym i skrawki papieru. Mama powiedziała przez telefon ciotce Ricie, że nie był ani pijany, ani trzeźwy. Pewnej nocy tata i stryj Stamos zamknęli się w pokoju do pracy z wiaderkiem lodu i butelką Jim Beama o pojemności trzech czwartych litra. Stell i ja odrabialiśmy lekcje przy kuchennym stole, mama uprzątnęła resztki i włączyła radio, by zagłuszyć ich głosy. Drzwi gabinetu otworzyły się, do jadalni wszedł tata, pociągnął drzwiczki barku, zabrzączały butelki. Z gabinetu dobiegł głos stryja Stamosa: – To nie było zbrojenie i nie zamierzam kłamać na ten temat. Musimy wypić to piwo bez względu na...

– Nie, nie – przerwał mu tata. – Musimy się tylko postarać, żeby to wyglądało jak... – Drzwi pokoju się zamknęły i reszty zdania taty nie usłyszałam.

– Co to jest zbrojenie? – spytałam mamę.

– Używają go do budowy. – Odwróciła się do mnie plecami i zabrała się do wycierania fajerek kuchenki.

– Muszę sobie zrobić pedicure – oznajmiła Stell, wstała i dała mi wzrokiem do zrozumienia, że chce, abym poszła za nią.

Kiedy weszłam do pokoju, Stell siedziała na łóżku, z uniesionym pędzelkiem, a trzy palce lewej stopy wciąż czekały na lakier.

– Powiedziałaś mamie to, co Link mówił na pogrzebie Mary?

– Nie.

– Czemu nie?

– Staram się nie wychylać.

– Powiedz jej. – Stell próbowała rozczapierzyć krótkie palce stóp, ale prawie nie drgnęły. Potem maznęła lakierem i podmuchała. – Tata ma kłopoty.

– O czym ty mówisz?

– Czasami zachowujesz się tak, jakbyś się urwała z choinki. – Stell malowała mały palec.

– Bo nikt mi nigdy nic nie mówi.

– Link coś ci powiedział.

Wdychałam ostry zapach lakieru do paznokci.

– Jeżeli tata zrobił coś niewłaściwego, wszyscy za to zapłacimy. – W oczach Stell błysnęły łzy. – Całe miasto będzie sobie wycierać gęby naszym nazwiskiem. – Zatkała buteleczkę i szczelnie zakręciła. –

Powtórz mamie, co powiedział Link. – Nie podniosła wzroku.

Umyłam twarz i zęby, przebrałam się w piżamę. Nie pozostało już nic więcej do zrobienia.

Mama, już w koszuli nocnej, siedziała przy toalecie, wycierając chusteczką krem z twarzy.

– O co chodzi, Jubie?

Usiadłam w nogach jej łóżka.

– Na pogrzebie mary Link powiedział, żebym spytała tatę o pokój za magazynem.

Mama spojrzała na mnie w lustrze.

– Za... Tam nie ma żadnych pokoi, tylko mur i zatoczki wychodzące na tory kolejowe.

– Link powiedział, żebym spytała o to tatę.

– Gdzie jest twój ojciec?

– Chcesz, żebym po niego poszła? – Wstałam.

– Nie, chcę wiedzieć, gdzie on jest.

– Myślę, że ciągle w gabinecie.

– Zamknij drzwi.

Zatrzasnęłam drzwi sypialni i usiadłam.

– Co dokładnie powiedział Link? – Mama zapaliła papierosa.

– Powiedział, żebym spytała tatę o pokój za magazynem.

– Jesteś pewna, że Link nie powiedział „obok” magazynu?

– Powiedział „za”, a może „na tyłach”.

– Z boku tego budynku jest dobudowana szopa. – Mama odgarniała włosy z czoła. – Może to miał na myśli. – Spojrzała na mnie w lustrze, zaciągnęła się papierosem, zgasiła go.

Twarz jej lśniła, wyglądała na zmęczoną. – Zajmę się tym, Jubie. Dobrze, że mi powiedziałaś.

– Wstała i rozłożyła ręce. – Przytulimy się na dobranoc?

Łopatki mamy przypominały w dotyku ptasie kostki. Pocałowałam ją w policzek, nieco lepki od kremu.

– Dobranoc, mamu.

Nazajutrz przyszła do nas ciocia Rita, zdenerwowana i spięta.

Właśnie tarłam marchew na kolację. Mama naląła kawy dla nich obu i kazała mi zmykać.

– Wstaw marchewki do wody. To nie zajmie nam dużo czasu.

Kiedy nalewałam wody do miski, ciocia Rita powiedziała: – Rozmawiałam ze Stamosem, który...

– Jubie? – Mama spojrzała na mnie wymownie. Najwyraźniej czekały, aż wyjdę. Przez wahadłowe drzwi wyszłam do holu, potem na palcach zesłam do łazienki Mary w piwnicy, gdzie wyraźnie słyszałam słowa mamy.

– Czyli Stamos o tym wiedział.

– Nie wiedział o podstawie trampoliny. W przeciwnym razie kazałby ją zamknąć.

– Co w takim razie wiedział?

– Szkoda, że Bill zwolnił Joego Templetona – powiedziała ciotka Rita. Filiżanka brzęknęła o spodek.

– Joe defraudował pieniądze, na miłość boską!

– Ale właśnie wtedy Stamos przejął księgowość i dowiedział się, co się dzieje.

– Co? Czego się dowiedział? – Mama prawie krzyczała.

– Wiesz, co to jest zbrojenie?

– Metalowe pręty do utwardzania betonu.

– Myślę, że Bill kupuje je tanio, w księgach wpisuje wysoką cenę, a uzyskane pieniądze przekazuje WBA. – Wtedy przypominałam sobie, że tata i stryj Stamos rozmawiali o WBA. Bardzo żałowałam, że nie wiem, co to jest.

– Tak myślisz?

– Stamos coś wypaplał, ale potem nabrał wody w usta. On jest lojalny wobec Billa, Pauly, pójdzie za bratem wszędzie. Ale od dawna niepokoi go to, jak Bill kieruje firmą. Po przejęciu księgowości Stamos doznał szoku...

– Dobry Boże! – zawołała mama. – Przecież ci inspektorzy zabrali księgi rachunkowe.

Ciotka Rita najwyraźniej płakała i mówiła tak cicho, że ledwo ją słyszałam.

– Stamos mi o tym powiedział. Czuje się odpowiedzialny. Czuje się winny z powodu młodego Daniela, jest strasznie przybity. Próbuję go pocieszyć, dodać mu otuchy. – Zapalniczka zachrobotła. – On wiedział, że księgi nie są w porządku, ale nie miał pojęcia o trampolinie. Stamos nie jest tego rodzaju człowiekiem.

– Myślisz, że nie jest taki jak Bill.

– Tego nie powiedziałam.

– Jubie powiedziała mi coś wczoraj wieczorem – wyznała mama. – Właśnie dlatego do ciebie zadzwoniłam. – Krzesło zaszurało na kuchennej podłodze. – Syn Mary, Link, pracował w magazynie dwa lata z rzędu, pamiętasz?

– Jasne.

– Jubie spotkała go na pogrzebie Mary. Powiedział jej, żeby spytała Billa o pokój za magazynem.

– Nie ma żadnego...

– Chyba miał na myśli szopę od strony torów – przerwała jej mama. – Można uznać, że znajduje się na tyłach.

Zadzwonił telefon i mama odebrała.

– To Safronia.

– Tak, Safronio, o co chodzi? – spytała ciotka Rita. Potem nastąpiła długa chwila ciszy. – Uspokój się... Tak, wróć do domu. Dzwoniłaś do pana Watts? Dobrze już, dobrze, tylko przestań płakać.

– Co się stało? – spytała mama. – Jeszcze nigdy nie słyszałam takiej hysterii.

– Ta dziewczyna wpędzi mnie do grobu. Mówi, że mam „natechmiast” wracać do domu. Chciałabym znaleźć kogoś takiego jak Mary – westchnęła.

– Ja też.

Tego ranka stryj Stamos wyszedł do pracy punktualnie, ale kiedy ciotka Rita przyszła do nas, wrócił do domu. Safronia stawiała się do pracy o jedenastej i znalazła go na podłodze w pralni, z ręcznikiem owiniętym wokół głowy. Broń, której użył, leżała obok jego dłoni.

Później mama powiedziała, że zrobił to w pralni na pewno po to, żeby łatwo było posprzątać. Nie mogłam przestać myśleć o stryju Stamosie na podłodze, w krwawym turbanie na głowie. O czym myślał, pociągając za spust? Kiedy zaczynała do mnie docierać groza, jaką musiał odczuwać, mówiłam: „Nie!”, by powstrzymać własne myśli.

Lufę wsunął sobie do ust. Przypomniam sobie, jak tata mówił, że większość ludzi robi to źle.

– Strzelenie sobie w skroń nie daje żadnej gwarancji, ale strzał w podniebienie załatwia sprawę. – Ciekawe, czy powiedział o tym bratu?

Kiedy ciotka Rita dotarła do domu, Safronia spotkała ją w drzwiach i ostrzegła, żeby nie wchodziła do pralni. Jak się można domyślić, ciotka Rita od razu tam właśnie poszła.

Otworzywszy drzwi, krzyknęła: – Och, Stamos! Kochany mój! – Usiadła obok niego na podłodze, zakrwawioną głowę męża położyła sobie na kolanach. Przez godzinę kołysała go, głośno zawodząc, a Safronia siedziała w kuchni i płakała.

Potem ciotka Rita wstała i wygładziła poplamioną krwią sukienkę.

– Safronio, musimy przenieść mojego męża do sypialni, żebym mogła go umyć i przygotować ciało.

Policjanci mieli do niej pretensje o przesunięcie ciała, ale uznali, że działała pod wpływem szoku.

Ciotka Rita powiedziała, że szok nie miał tu nic do rzeczy, bo jej rodzina zawsze myła zwłoki i ubierała na pogrzeb. Jej krewni nie wierzyli w balsamowanie, więc ciotka Rita chciała, by Stamos leżał w trumnie w salonie, gdzie miało się odbyć czuwanie, jak to robiła jej rodzina w Ohio. Rodzina Safronii postępowała tak samo, służąca chciała więc pomóc.

\*

Kiedy przyszedliśmy na czuwanie przy zmarłym, drzwi otworzyła ciotka Rita, a mama ją uściskała. W salonie w bujanym fotelu przy trumnie siedział tata.

– Bill – powiedziała mama i usiadła na sofie. Tata wstał, ale gdy Stell zajęła miejsce obok mamy, znowu usiadł. Wtedy zdałam sobie sprawę, że od kilku dni rodzice prawie ze sobą nie rozmawiali.

Dom, jak zwykle, wyglądał jak spod igły. Stryj Stamos mawiał, że kiedy skończył czytać gazetę i ją rzucał, ciotka Rita chwyciła ją, zanim gazeta spadła na dywan.

W salonie unosił się słodki zapach kwiatów, otaczających zamkniętą urnę z brązu.

– Kwiaty są śliczne – powiedziała mama, gdy ciotka Rita zajęła miejsce na krześle naprzeciwko taty.

– Ludzie byli bardzo dobrzy. Mam jedzenie na wiele tygodni, wszędzie kwiaty. – Duże oczy ciotki Rity były podkrążone.

Stell nachyliła się i powiedziała: – Bardzo mi przykro z powodu stryja Stamosa. – Żałowałam, że sama tego nie powiedziałam, bo teraz nie przychodziło mi już nic do głowy.

W korytarzu rozległy się powolne, ciężkie kroki, a mama odwróciła twarz do okna.

Tata wstał, wyciągając dłonie.

– Mamo. – Do salonu weszła Meemaw, czarny prostokąt zwieńczony okrągłą twarzą, z siwymi włosami upiętymi w schludny kok.

– Synu. – Wystawiła policzek, by tata mógł go pocałować, potem zaprowadził ją do krzesła, na którym wcześniej siedział. Zanim Meemaw usiadła, dotknęła trumny. Stell przysunęła się do mamy, żeby zrobić dla taty miejsce na sofie.

– Matki nie powinny żyć dłużej od swoich synów – powiedziała Meemaw starym, słabym głosem. – Co zrobiłaś z... z małymi? – zwróciła się do mamy.

– Zostały z sąsiadką. – Mama osunęła się z powrotem na sofę. – Są za małe na... – Spojrzała na trumnę.

– David tak – zgodziła się Meemaw. – Ile lat ma teraz Carolina?

– Siedem – odparła mama.

– Osiem – poprawiłam ją.

– Osiem. Przepraszam. – Mama się zaczerwieniła. – W piątek obchodziła urodziny.

Jeszcze nie zrobiliśmy przyjęcia.

– Powiedz mojej słodkiej Puddin, że kiedy się to skończy, urządzimy jej fantastyczne przyjęcie. – Ciotka Rita otarła łzę.

– Powtórzę jej, Rito. Ucieszy się.

Frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły. W łukowatym wejściu do salonu stanął Carly, wysoki i poważny w mundurze wojskowym. Właśnie przyleciał z jednostki w Niemczech.

– Mamo? – Postawił walizkę i rozłożył szeroko ręce. Ciocia Rita zerwała się i podbiegła do syna.

– Carly, Carly, tak się cieszę, że wreszcie tu jesteś. – Stali przytuleni, ciotka Rita tonęła w objęciach dorosłego syna.

Carly przyniósł z holu drewniane krzesło, które postawił przy trumnie. Safronia w nakrochmalonym uniformie wniosła do salonu srebrny serwis i postawiła na stoliku do kawy.

– Tu jest herbata, kawa i ciastka. Upiekła je pani Dunn i powiedziała, że pani należy sama do filiżanek.



– Spojrzała na mamę. – Jeśli czegoś będzie trzeba, proszę wołać. – Safronia wycofała się z salonu, otrzepując białe rękawiczki.

– Dlaczego, na Boga... ona ma rękawiczki? – zdumiała się Meemaw.

– Skaleczyła się w piątek – wyjaśniła ciotka Rita. – Kiedy znalazła... – Urwała, odchrząknęła i ciągnęła dalej. – Ma zabandażowaną lewą dłoń, więc uznaliśmy, że najlepsze będą rękawiczki.

– Że też poradziła sobie z tacą – zdziwiła się mama.

– Och, to nie jest głębokie skaleczenie, ale całą dłoń ma zabandażowaną.

– Kto chce kawy? – Stell podniosła wysoki dzbanek. Czy wiedziała, w którym dzbanku jest kawa? Najwyraźniej tak, o czym się przekonałam, kiedy nalewała tacie. – Meemaw?

– Poproszę, Estelle.

– Przepraszam. – Poszłam do łazienki obok kuchni, usiadłam na sedesie, wyjrzałam przez okno i zaczęłam się zastanawiać, jak długo tu będziemy, ilu smutnych ludzi musiałam oglądać. Po pewnym czasie wyszłam z łazienki drzwiami prowadzącymi do gabinetu, gdzie połowę ściany zajmowało dębowe biurko z zakrywanym blatem. Biurko było odkryte, wszędzie leżały papiery. Ciocia Rita z pewnością ich nie zauważyła, bo w przeciwnym razie posprzątałaby je i zasłoniła biurko. Na samym wierzchu leżała odbitka listu, który stryj Stamos zostawił dla ciotki Rity.

Usiadłam na obrotowym dębowym krześle i drżącymi dłońmi podniosłam sztywną kartkę.

10 września 1954

Najdroższa Rito, Wiem, że nie zrozumiesz. Ja sam nie jestem pewien, czy rozumiem.

Nie potrafiłbym spojrzeć w oczy tobie, Carlisle'owi czy matce, kiedy się dowiecie, co zrobiliśmy z Billem. Nawet pisząc to, próbuję się bronić, mówić, że nie wiedziałem. Mam nadzieję, że mi wierzysz. Kiedy się dowiedziałem – za późno, by zapobiec śmierci młodego Danielsa – ogarnął mnie straszliwy wstyd. Powinienem był wiedzieć. Jak to mówią prawnicy?

„Wiedział albo powinien był wiedzieć”. Cóż, to prawda.

Teraz fakty nie mają już znaczenia.

Na kartce widniało przekreślenie, jakby zaczął coś pisać, ale zmienił zdanie.

Jedyną prawdziwą rzeczą w tym wszystkim jest moja miłość do ciebie, która nigdy się nie zachwiała. Szkoda, że nie mogę mieć jednego i drugiego, stawić czoła wstydom i zostać z tobą. Jednak jedno przyćmiewa drugie i muszę się pożegnać.

Kiedy będziesz to czytać, Cliff Sindell będzie już posiadał moje dokumenty, w tym list do Chiefa Kytla, w którym opisałem wszystko, co wiem o działaniach firmy, które mogły doprowadzić do śmierci chłopca. Cliff udzieli ci wsparcia w całej papierkowej robocie.

Proszę, poproś Carly'ego i mamę, żeby mi przebaczyli, jak, mam nadzieję, ty mi przebaczysz. Moja miłość do ciebie jest silniejsza niż śmierć, najdroższa, najśłodsza żono.

Stamos

Wyjrzałam przez okno na schludne, ładne podwórze za domem. Stryj Stamos kochał swój ogród. Łza kapnęła na kartkę. Kiedy ją starłam, pismo się rozmazało.

Bardzo chciałam porozmawiać z Leesumem. Co też mógł robić w niedzielne popołudnie w domu pastora? Kościół baptystów przy McDowell nie miał oddzielnego numeru na plebanię, więc zadzwoniłam do kościoła. Słuchawkę podniósł wielebny Perkins; poznałam go po głosie.

– Zastałam Leesuma? – próbowałam mówić jak kolorowa.

– Proszę poczekać – powiedział po chwili pastor. Potem w słuchawce rozległ się głos Leesuma: –

Halo?

– Hej. To ja, Jubie.

– Hej! Dlaczego do mnie dzwonicz?

– Po prostu chciałam z tobą porozmawiać. – Czułam się głupio.

– Cieszę się.

– Ja też.

– Muszę ci coś powiedzieć. Wielebny Perkins i tamci się dogadali. Trzech naszych starszych z Kościoła pojechało do Georgii dowiedzieć się, kto zabił Mary Luther.

– Powiadomisz mnie, jak się czegoś dowiedzą?

– Oczywiście. – Leesum zamilkł, a potem dodał: – Mam nadzieję, że dojadą bez problemów. Jadą nocą, bo żaden hotel by ich nie przyjął. Teraz nie jest łatwo podróżować przez tamte strony.

Wtedy przypomniałam sobie o godzinie policyjnej w Wickens, jak trudno było znaleźć miejsce, gdzie mogła się zatrzymać Mary, motel w Albany, gdzie przemycaliśmy ją do środka i na dwór. Za plecami usłyszałam odgłos. W drzwiach stał Carly.

– Muszę kończyć – powiedziałam do telefonu.

Odłożyłam słuchawkę, choć nie chciałam, by Leesum odchodził.

– Przyjaciel – wyjaśniłam Carly’emu.

On jednak czytał kartkę na biurku. Kiedy skończył, także płakał.

– Widziałaś pralnię? – spytał.

– Nie.

– Chcę ją zobaczyć.

Ciotka Rita zastała nas w drzwiach pralni. Kiedy dotknęła mojego ramienia, krzyknęłam, a gdy ujrzałam kto to, zrobiło mi się przykro.

– Nie mam nic przeciwko temu, żebyście tu zaglądali – powiedziała. – Wiem, że wszyscy chcą to zrobić.

– Och, mam – jęknął Carly, a ja pomyślałam, że znów się rozpłaczę.

– Był zapobiegliwy. Głowę owinał ręcznikiem, żeby nie było... – Przesunęła dłonią po framudze drzwi.

– Najpierw go umyłam i przygotowałam do pogrzebu, potem posprzątałam tu i przyszykowałam się do żałoby. – Wzięła Carly’ego za rękę. – Początkowo bałam się, że znajdę plamę, którą przeoczyłam, kiedy szukałam środka czyszczącego, ale potem niemal miałam nadzieję, że ją znajdę, pamiątkę po nim, co nie znaczy, że jej potrzebuję, ale, wiesz...

Zapewniłam, że wiem. Ciotka Rita spojrzała mi w oczy.

– Wiem, że tak jest – powiedziała.

\*

W samochodzie, kiedy wracałyśmy z pogrzebu, mama wydmuchwała nos, wyprostowała się za kierownicą, wzięła głęboki wdech.

– Chodźmy na obiad do El Dorado. Udawajmy, że mamy mnóstwo forsy.

– Czy nie powinniśmy się dowiedzieć, co robi reszta rodziny? – spytała Stell. – Ciotka Rita, Meemaw i...

– Mam dosyć smutku i nie obchodzi mnie, czy jeszcze kiedyś zobaczę Cordelię. – Mama wytarła nos.

– Co to jest WBA? – zapytałam.

Mama wyglądała przez przednią szybę, nie patrząc na nasz dom, kiedy go mijaliśmy.

– White Business Association, Stowarzyszenie Białych Biznesmenów. Kto ci o tym powiedział?

– Burmistrz Lindley rozmawiał na pogrzebie z tatą.

– I co powiedział szacowny jegomość?

– Mówił coś o tym, że tata próbuje rozkręcić w Charlotte WBA za pieniądze firmowe.

– Burmistrz brał w tym udział – stwierdziła mama. – Teraz na pewno się wyprze.

– Czym się zajmuje Stowarzyszenie Białych Biznesmenów? – zainteresowała się Stell.

– Zastrasza kolorowych, żeby nie głosowali, nie pchali się do szkół. I innymi rzeczami.

– Mama nastawiła głośno radio.

Przed El Dorado mama zaparkowała samochód i oparła głowę na kierownicy.

– Nie wiem, co z nami będzie. – Rozplakała się. Stell objęła ją, a ja przechyliłam się przez siedzenie i uściskałam je obie. Ramiona mamy drżały. Bardzo chciałam, żeby przestała płakać, żeby była silna. Ktoś musiał być.

– Chciałabym, żebyśmy na pewien czas przenieśli się do Taylora. – Mama otarła twarz.

## Rozdział 31

Policjanci zjawili się w naszym domu tydzień po pogrzebie stryja Stamosa. Tata poprosił, by udali się z nim do gabinetu, gdzie usadowił się na krześle, z butelką jima beama na stoliku obok. Wcześniej zatelefonował do swojego adwokata, Cliffa Sindella, a policjanci zgodzili się poczekać do jego przyjazdu.

Dwaj funkcjonariusze w garniturach, pod krawatami, wyglądali jak zwyczajni znajomi taty, rozprawiający o najlepszych miejscach do wędkowania nad jeziorem Wiley.

– Może kiedyś się tam spotkamy – powiedział tata. – Moglibyście pokazać mi wasze przynęty.

– Zobaczymy – odparł starszy z policjantów, po czym wskazał na alkohol. – Słyszałem, że to dobry burbon.

– Owszem – potwierdził tata. – Wytwarzają go w Kentucky, niedaleko miejsca, gdzie się urodziłem. – Wziął łyk. – Rozumiem, że nie pijecie na służbie.

– Zgadza się. – Policjant odchrząknął. – Ale mrożona herbata będzie w porządku.

Tata spojrzał na mnie.

Poszłam do kuchni.

Kiedy wróciłam ze szklankami i dzbankiem lodu na tacy, w pokoju siedział Cliff Sindell. Tata zdążył już nalać mu drinka.

– Witaj, June. – Adwokat skinął mi głową.

– Dzień dobry, panie Sindell.

– Możesz nas zostawić, Jubie – powiedział tata.

Posłusznie zamknęłam za sobą drzwi, ale wiedziałam, że wkrótce się dowiem, co się dzieje. Mama miała dość tajemnic.

Obecność policji w domu mocno przybiła mamę. Nazajutrz powiedziała do taty: – Oni coś na ciebie mają. Co jeszcze ukrywasz?

Tata wyszedł i nie było go przez trzy dni. Kiedy wrócił, mama nie odzywała się do niego, nawet się z nim nie przywitała. Po tygodniu milczenia przeniósł się do domku wędkarskiego nad jeziorem Wiley. Następnego dnia mama chodziła po domu w koszuli nocnej, piła kawę i paliła jednego papierosa za drugim. Podczas lunchu siedziała przy stole, z papierosem w dłoni, dźgała widelcem nadjedzonego pomidora, w końcu cisnęła nim o ścianę.

Pomidor zsunął się po tapecie, zostawiając śliski ślad miazgi i pestek.

Poszłam po papierowe ręczniki. Mama wyrwała mi je i zgasiła papierosa na talerzu, czego nigdy wcześniej nie robiła. Wytarła ścianę, po czym z płaczem osunęła się na podłogę, ocierając twarz koszulą nocną.

Na stole w holu piętrzyła się korespondencja. Nietknięte koperty z rachunkami zaniiosłam mamie, która podeszła do biurka w gabinecie, usiadła nad książeczką czekową i spojrzała przez okno na magnolie posadzone przez tatę, kiedy się wprowadziliśmy. Kiedy godzinę później zajrzałam do pokoju, wciąż tak siedziała, w kłębach dymu.

– Dlaczego on nie płaci rachunków? Czemu nie zajmuje się książeczką czekową, nie oddaje packarda do naprawy? Dlaczego nie robi tego, co powinien robić mężczyzna? – Spojrzała na mnie. – Przysięgam

na Boga, Jubie, żałuję, że go spotkałam.

– Ja się cieszę, mamó.

– No tak, przypuszczam, że się cieszysz. – Na jej twarzy po raz pierwszy od wielu dni pojawił się wyraz rozbawienia.

– Mama! – zawołał Davie z sypialni.

– Koniec drzemki. – Mama wstała. Daviem zajmowała się równie dobrze jak Mary, a ja zastanawiałam się, czy gdyby Mary stanęła w drzwiach, nie wydałaby mu się obca.

Odnosiłam wrażenie, że mama jest niższa, i zdałam sobie sprawę, że to dlatego, że teraz najczęściej chodziła w mokasynach lub pantoflach. Na wysokich obcasach niewygodnie nosiło się dziecko.

Po powrocie ze szkoły zastałam mamę w jadalni z kartką papieru; na podłodze leżała rozdarta koperta.

– Myślę, że chcesz to przeczytać – powiedziała.

Ujrzawszy nagłówek u góry kartki, usiadłam na krześle.

8 października 1954

Droga pani Watts: Potwierdzam informacje z naszej sobotniej rozmowy telefonicznej: 6 października 1954 roku niejaki Gaither Mowbry, Jr., lat 19, został aresztowany za wielokrotne wykroczenia, w tym za prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu.

Przypomniałam sobie człowieka imieniem Gaither, który zawiózł nas do motelu Sally's: w przepoconej koszuli, palił, kaszłał i chrząkał.

Pan Mowbry usiłował uciec przed ścigającym go wozem patrolowym oraz stawiał czynny opór przy aresztowaniu, atakując funkcjonariusza. Panu Mowbryemu odebrano rzeczy osobiste, następnie aresztowano go dla bezpieczeństwa jego samego i innych. Wśród znalezionych przy nim przedmiotów była obrączka, w której sprawie do pani telefonowałam.

– Dlaczego nie powiedziałaś nam, że dzwonił szeryf? – Spojrzałam na mamę.

– Nie chciałam was martwić. – Podniosła kopertę, złożyła ją na pół.

Nie potrafiłam zrozumieć mamy. Ponownie spojrzałam na list.

Odnosnie do naszej rozmowy telefonicznej, na obrączce widnieje napis PLL dla MCC 1925. Jestem przekonany, że obrączka należała do zmarłej Murzynki, Mary Constance Culpepper Luther, zatrudnionej przez panią. Najwyraźniej Gaither Mowbry sądził, iż obrączka jest wartościowa, był jednak w błędzie. Wprawdzie jest złota, ale bardzo cienka, i posiada wyłącznie wartość sentymentalną.

Zgodnie z obowiązującą procedurą, zatrzymam obrączkę jako dowód. Pewne poszlaki związane z samochodem Mowbry'ego świadczą o tym, że przewożono nim pani służącą.

Kiedy fakty dotyczące całej sprawy zostaną ustalone, z pewnością panią zawiadomię. Chociaż wynik jest raczej przesądzony, nie ma żadnych gwarancji.

Z poważaniem Jeremiah Higgins Szeryf, itd.

PS Kiedy obrączka nie będzie już potrzebna jako dowód, zwrócę ją pani, aby mogła ją pani przekazać rodzinie lub rozporządzić nią wedle uznania. Pragnę także nadmienić, że napisałem do grupy Murzynów, która przyjechała do Claxton, by zasięgnąć informacji na temat dochodzenia. Ludzi tych powiadomiłem o tym samym, o czym napisałem powyżej.



Zatem Leesum i starsi z kościoła baptystów przy McDowell wiedzieli. Obrączka zostanie przekazana Linkowi i Młodej Mary. Bardzo chciałam choć raz wziąć ją do ręki, zmrużyć oczy i przeczytać drobne literki, o których wspominała mi Mary: napis brzmiał dokładnie tak, jak opisał szeryf.

– Powinnam była zauważyć brak obrączki. – Na żółtej bluzce mamy pojawiły się pomarańczowe kropki. Płakała. – W zakładzie pogrzebowym w Claxton. Ani razu nie spojrzałam na jej dłoń.

– Och, mam, właśnie wtedy kazałaś ją uczesać, upudrować, uszmkować usta, poprawić sukienkę...

– Skąd wiesz?

– Pani Coley, kobieta na pogrzebie, podziękowała mi za to, co zrobiliśmy dla Mary.

– Traktowałam ją jak zwykłą starą służącą, ale ona nią nie była, wiesz? – Mama otarła oczy.

– Wiem.

– Kiedy obudziłam się w domku na plaży i zobaczyłam, że zabrałaś samochód, domyśliłam się, dokąd pojechałaś. Tak bardzo chciałam być wtedy z tobą. Mogłam przynajmniej pojechać na jej pogrzeb. Przynajmniej tyle mogłam zrobić. Uczesanie jej i cała reszta to za mało.

Wzięłam mamę za rękę, pewna, że się odsunie, ale tego nie zrobiła.

– Kiedy ty i Puddin miałyście świnkę, Mary przyniosła lekarstwo domowej roboty.

– Wyleczyło nas?

– Wylałam je do klozetu. – Mama wytarła nos w chustkę. – Kiedy zaczęłam rodzić Daviego, tak wspaniale się mną zajmowała, liczyła, jaki czas dzieli kolejne skurcze, odwracała moją uwagę. Brakuje mi jej!

Odrabiałam lekcje w gabinecie, kiedy drzwi się otworzyły i w progu stanął tata, wysoki i niezbyt opalony, bardziej siwy i grubszy, niż zapamiętałam. Szybko wstałam.

– Tato! Nie słyszałam drzwi garażu.

– Nie jestem pewien, czy mam prawo tu parkować. – Mocno mnie uściskał. – Jak się miewa moja dziewczyna?

– Czego chcesz? – Na dźwięk głosu mamy tata mnie puścił.

– I tobie: jak się masz, Paulo?

– Bierz to, po co przyjechałeś.

Tata wyminął ją i ruszył do ich pokoju. Mama poszła za nim, a ja za nią, cień z uszami.

W sypialni rodziców otwierały się i zamykały szuflady.

– Gdzie jest moja druga walizka? – spytał tata.

– Na strychu.

Cisza. Odgłos kroków. Potem głos taty: – A ty czego chcesz, Paulo?

– Dom. Packard. Alimenty. Opieka nad dziećmi.

Drzwi trzasnęły.

– Porozmawiaj z Cliffem Sindellem.

– Nie będziemy się dzielić adwokatem.

Czyżby się rozwodzili? Wcześniej miałam nadzieję, że się pogodzą i wszystko wróci do czasów przed Mary, Richardem, stryjem Stamosem. Zdjął mnie chłód, poczułam lęk i ulgę.

Tata wyszedł z sypialni z garniturami i koszulami na ramieniu oraz stertą bielizny w drugiej ręce; minął mnie jak powietrze. Ubrania położył na stole w kuchni, ze spiżarni wyjął papierowe torby i spakował do nich swoje rzeczy. Mama wręczyła mu wizytówkę.

– Daj to Cliffowi.

– P. Hollis Burns, kancelaria prawnicza – przeczytał tata. – Gdzie go znalazłaś?

– Ją.

– Ha! – skomentował tata.

– Wiem o tobie i Młodej Mary.

Zastygłam w sieni.

– O czym ty mówisz? – spytał ostro tata.

– Zostawiła kartkę na tablicy korkowej.

Zapadła taka cisza, że sądziłam, iż usłyszą mój oddech.

– Daj spokój, Paulo. Tylko ją zaczepiłem. Sama się prosiła: paradowała w szortach, tańczyła jive'a.

– Ona ma siedemnaście lat.

Drzwi gabinetu zatrzasnęły się za tatą. Wybiegłam z kuchni, wiedząc, że mama usłyszy krowi dzwonek i domyśli się, że pognałam za tatą. Nic mnie to nie obchodziło.

Stał na podjeździe.

– Tato?

– Pewnie wszystko słyszałaś.

– Tak. – Patrzyliśmy na siebie. – Mieszkasz nad jeziorem Wiley?

– Na razie tak. – Wyjął chustkę, wytarł okulary, potem znowu je założył, kolejno dopasowując zauszniki.

– A co potem?

– Wracam do Kentucky. Przez jakiś czas pomieszkam z matką. Zacznę od początku.

– A trampolina, tato? – Spuściłam wzrok, by ukryć twarz.

Tata wsunął dwa palce do kieszeni koszuli, wyciągnął zmiętą paczkę papierosów i zapalki.

– W Claxton zgubiłem zapalniczkę Zippo. – Zapalił papierosa, zaciągnął się, powoli wypuścił dym. – Popelniliśmy błąd. Zamierzałem go naprawić, ale... – Położył mi dłoń na ramieniu. – Jubie?

– Tak?

– Ja wrócę. – Pocałował mnie w policzek. Wydawało mi się, że widzę w jego oczach łzy, ale nie byłam pewna, bo światło odbijało się w jego okularach.

Kiedy samochód ojca wyjechał z podjazdu, położyłam się do łóżka, zakryłam głowę poduszkami i zanosłam się łkaniem.

Tej nocy śniło mi się, że mama, tata i ja wybieraliśmy się do stryja Stamosa i cioci Rity na przyjęcie na cześć Carly'ego i jego narzeczonej. Rodzice pojechali pierwsi i powiedzieli, żebym później dołączyła. Kiedy zostałam sama, zaczęłam zrywać różne rzeczy z ogrodu pani Gibson, w tym dzikie, poskręcane pomidory, drobne i czerwone; wyglądały przepysznie.

Mama i tata wrócili z przyjęcia bardzo zawiedzeni. Nie byli wystarczająco elegancko ubrani, a zdaniem mamy Rita powinna była ich uprzedzić. Pozostali goście wystąpili w strojach wieczorowych, z cekinami, w jedwabiach. Mama i tata przyszli ubrani jak do kina i wyraźnie odstawali.

– Zachowaliśmy się poniżej naszego poziomu – stwierdziła mama.

– Najwyższy czas – powiedziała Mary i zeszła do piwnicy.

## Rozdział 32

Stell rzuciła „The Chronicle News” na bar.

– Huragan Hazel na pierwszej stronie, William Watts na drugiej.

– Pokaż. – Mama upuściła filiżankę, którą właśnie płukała. Porcelana zabrzęczała o zlew.

– Ustalenia komisji. Twierdzą, że firma Watts Concrete Fabrications popełniła błąd przy jakichś sworzniach. Tata może zostać pociągnięty do odpowiedzialności.

Mama otworzyła gazetę i sięgnęła po papierosa.

Zajrzałam jej przez ramię.

– Możesz przeczytać, kiedy skończę. – Odepchnęła mnie.

– Postawią mu zarzuty – stwierdziła Stell.

– Cicho, Estelle Annette.

Stell wyszła z kuchni. Gdyby można było trzasnąć wahadłowymi drzwiami, właśnie to by zrobiła.

Mama oderwała pierwszą stronę, zmięta w kulkę i rzuciła, pozwalając, by pokrywa pojemnika na śmieci zamknęła się z hukiem.

– Prawie mi go żal.

– Mamo, chciałam przeczytać tę gazetę.

– Wiesz, gdzie ją znaleźć. – Mama wyszła do jadalni, zatrzymała się przy barku i nalała sobie drinka.

Drzwi gabinetu otworzyły się i zamknęły. W łączniku zaskrzypiała bujana ławka.

Zmięta gazeta leżała na fusach po kawie, wilgotna plama przesiąkała przez papier.

Wyjęłam gazetę z kosza i rozprostowałam na barze. Mokry papier zaczął się przedzierać na fotografii taty – twarz miał brunatną od fusów – oficjalnym zdjęciu zrobionym z okazji wstąpienia do Męskiego Klubu Thomasa Belka. Wilgotny papier przylegał do blatu, gdy starałam się połączyć kawałki. Pod zdjęciem widniał podpis: „William Watts, działacz społeczny, były przewodniczący Młodszej Izby Handlowej w Charlotte”. Tytuł artykułu złożono wielkimi literami: „MIEJSCOWA FIRMA ODPOWIEDZIALNA ZA ŚMIERĆ SKOCZKA DO WODY”.

Komisja powołana przez Radę Miejską Charlotte w celu zbadania okoliczności śmierci Richarda Llewelyna Danielsa, lat 17, przedstawiła wczoraj wyniki swojej pracy burmistrzowi Watsonowi Lindleyowi oraz szefowi policji w Charlotte, Hurstonowi Kytley.

Zdaniem komisji firma Watts Concrete Fabrications, Inc., budując podstawę trampoliny basenu miejskiego w Charlotte, nie uzbroiła sworzni przytwierdzających trampolinę do podstawy. W raporcie komisji czytamy: „William Dennis Watts, dyrektor Watts Concrete Fabrications, oraz jego brat, zmarły Stamos Caton Watts, zastępca dyrektora, wiedzieli lub powinni byli wiedzieć, że nieuzbrojone sworznie w tego typu konstrukcji zawiodą. Miasto wystąpi na drogę postępowania cywilnego przeciwko firmie i zarządzającym nią osobom. Jeśli śledztwo wykaże, że William Watts dopuścił się zaniedbania, zostaną mu przedstawione dalsze zarzuty”.

Komisja bada także pogłoski, że bracia Watts z funduszy firmowych finansowali działalność utworzonego niedawno Stowarzyszenia Białych Biznesmenów (WBA),

mającego powstrzymać Murzynów przed rejestrowaniem się do głosowania. Chociaż nie podano żadnych nazwisk, do WBA najwyraźniej należała grupa ludzi biznesu z Charlotte, którzy spotykali się w magazynie na terenie Watts Concrete Fabrications. Aktualnie przeprowadzany jest audyt kopii dokumentów finansowych w celu ustalenia rozmiarów oszustwa. William Watts, znany działacz społeczny, ojciec czworga dzieci, był nieosiągalny i nie udzielił nam komentarza.

Bujana ławka w łączniku podzwaniała raz po raz. Może mama nie zbudowała trampoliny, która spowodowała śmierć Richarda, ale uwielbiała packarda, Country Club, kredyt u Monaldo. Podobnie jak dom, mama wyglądała teraz licho. Nagle nie mogłam znieść odgłosu zardzewiałej bujanej ławki. Należało ją naoliwić, zapłacić rachunki i przyciąć żywopłoty. Huśtawka skrzypiała i skrzypiała. Położyłam dłonie po obu stronach wilgotnego zdjęcia taty i pociągnęłam, aż gazeta przedarła się w połowie jego okularów, przez nos, przepołowiła mu uśmiech. Zostawiwszy gazetę przyklejoną do blatu, wyszłam do łącznika, gdzie mama siedziała na huśtawce, piła, bujała się i paliła. Przez żaluzje wiał silny wiatr.

– To także twoja wina – krzyknęłam.

– Och, uspokój się, Jubie. – Zaciągnęła się papierosem.

– Co tata zrobił Młodej Mary?

– Tak naprawdę nie wiem. Blefowałam.

– Masz rację: to, co zrobiłaś dla Mary, nie wystarczy. – Wyrwałam jej szklanekę i cisnęłam na kamienną posadzkę, gdzie się rozprysła. W łączniku rozszedł się zapach whisky.

Wtedy szarpnęłam siatkowe drzwi. Wiatr wyrwał mi je z dłoni i cisnął o ścianę.

Przebiegłam po trawie, przez sekwojowy żywopłot przedostałam się na podwórko za domem pani Gibson, prześlizgnęłam się obok ciernistego krzewu ognika i usiadłam w jej ogrodzie z marmurowym aniołem, obok płonącego krzaka, gdzie wszystko było szare i bezbarwne w rozproszonym świetle nadciągającej burzy.

Zajrzałam do grotty utworzonej przez gałęzie magnolii, gdzie w miarę, jak nasilał się wiatr niosący deszcz, formowały się cienie. Wokół mnie kołysały się konary i kwiaty, czerwone i pomarańczowe owoce ostrokrzewu i ognika, wędnące nagietki i chryzantemy.

Bratki podrygiwały niczym pijani klauni. Przeczytałam wystrzępioną tabliczkę na krzewie gardenii, gdzie uchowało się kilka wędnących kwiatów: „OPIEKA NAD GARDENIAMI: PEŁNE NASŁONECZNIENIE, Z CIENIEM W LECIE. GLEBA WILGOTNA, UNIKAĆ NADMIERNEGO NASIĄKNIĘCIA WODĄ. OBFICIE NAWOZIĆ”. Dlaczego do ludzi nie dołączano instrukcji?

Przepelniała mnie wściekłość na mamę, tatę, nawet na stryja Stamosa, który wiedział albo powinien był wiedzieć – te słowa utkwily w moim umyśle. Moknąc na deszczu, siedziałam tak, smagana przez wiatr. Forpoczta huraganu Hazel. Przemoczone stokrotki uderzały mnie po nogach, zerwałam jedną. Nawet na wpół zwiędła, była mocniejsza niż wszystko, co rosło dziko przy drodze. Z płatków stokrotek pani Gibson można było powróżyc: „kocham, lubi, szanuje”, i otrzymać prawdziwą odpowiedź. Otuliwszy stokrotkę dłońmi, wdychałam kwaśny, cytrusowy zapach, zapach Mary po całodziennej pracy; ja też czasami wydzielalam podobną woń, ale nie przejmowałam się tym. Kiedy mama czuła, że Mary tak pachnie, szła do łazienki i zwilżała górną wargę perfumami. Im dłużej myślałam o tym, jakie to paskudne, tym większy ogarniał mnie smutek, aż zalałam łzami oklapłą stokrotkę. Tata odjechał. Skończy w więzieniu albo jako wygnaniec – takie właśnie słowo przyszło mi na myśl. Cokolwiek się stanie, już nigdy nie wróci do mamy, do nas.

Deszcz siekł mnie, mokre igielki kłuły w twarz, wiatr targał ulewą, aż uderzała poziomo. Przez deski

ogrodzenia ujrzałam, że światła w naszym domu zgasły. Jeżeli Hazel się nie zatrzyma, na wiele dni zostaniemy bez prądu. Dlaczego huraganom nadawano wyłącznie kobiece imiona? Muszę to sprawdzić. Przed wyjściem z ogrodu zerwałam ostatnie gardenie dla mamy.

Miałam mamę, Stell, Puddin i Daviego. Może nie rozumieli tego tak dokładnie jak ja, ale mogłam im o tym powiedzieć.



## Rozdział 33

W styczniu 1955 roku po raz ostatni obudziłam się w różowej sypialni, w śpiworze na podłodze, gdzie słońce wlewało się przez otwarte żaluzje. Ostre poranne światło sprawiło, że poczułam się gotowa do wyprowadzki z tego pokoju, w którym sypiałam przez dwa i pół roku, teraz obcego i pustego. Rozpięłam śpiwór. W głowie mi się nie mieściło, że mama spędziła noc na podłodze, ale kiedy ją o to spytałam, odparła: „Phi, to tylko ten jeden raz”.

Zajrzałam za drzwi, gdzie kilka miesięcy temu poluzowała się część wykładziny dywanowej.

Minionej nocy wsunęłam pod nią kartkę z odręczną notatką. Pewnego dnia, kiedy podniosą wykładzinę, ktoś znajdzie wielokrotnie złożoną kartkę:

„Do wszystkich zainteresowanych.

Nazywam się June Bentley Watts i mieszkałam tu od września 1952 do stycznia 1955 roku.

Pokój ten poświęcam pamięci Mary Constance Culpepper Luther, 1906-1954”.

Kiedy już się ubrałam, wepchnęłam piżamę do śpiwora wraz z domowymi pantoflami Mary, w których od pewnego czasu miałam zwyczaj chodzić po mieszkaniu. Kiedy pewnego ranka zesłam w nich na śniadanie, mama spojrzała na kapcie, ale nic nie powiedziała.

Stell siedziała na podłodze swojej sypialni ze zrolowanym śpiworem, gotowa do odjazdu. Na wykładzinie koloru miodu widniały wgniecenia w miejscach, gdzie stały meble.

Czy ślady znikną po tym, jak Stanley Steemer wyczyści dywany i draperie?

Usiadłam obok siostry i wzięłam od niej wystrzępionego pluszowego zwierzaka.

– Gdzie go znalazłaś?

– Na najwyższej półce w swojej szafie, ukryłam go tam przed Puddin.

– Pamiętam, płakała całymi dniami. – Nasze głosy odbijały się echem od ścian.

– Uwierzysz, że mama pozwalała jej to brać do buzi? – Stell trąciła brudne ucho pluszaka.

– Zapomniałam. – Uszy wyglądały na sztywne, jakby papierowe.

– Nazywały go Słodkim Króliczkiem, z uszami posypanymi cukrem.

– Fu! – Cisnęłam brudnym króliczkiem, który wylądował na kwadratowej plamie światła pod frontowym oknem.

– Nadal będziemy należeć do klubu? – spytałam.

– Dorośnij. Będziemy mieli szczęście, jeśli zechcą nam sprzedawać jedzenie.

– Mama pójdzie do pracy.

– Kto ją niby zatrudni? – Stell podniosła królika. – Przecież w życiu nie pracowała.

– Dziewczynki? – rozbrzmiał na schodach głos mamy.

– Idziemy! – odkrzyknęła Stell, potem weszła do szafy i rzuciła królika na najwyższą półkę. – Niech wraca tam, gdzie mieszkał przez ostatnie lata. Znajdzie go jeden z Cuthbertów i złoży na wieczny spoczynek. – Zamknęła drzwi szafy.

– Spotkałaś ich?

– Tylko Lucy, w szkole.

– Może dostanie ten pokój.

– Kogo to obchodzi. – Stell zeszła po schodach.

– Zaraz zejść. – Wróciłam do pokoju, który bez mebli wydawał się ogromny. Na zakurzonym różowym dywanie widniały wgłębienia jak na wykładzinie w pokoju Stell. Moje stopy wydeptały ślady między łóżkiem a toaletką, między komodą a szafą. Z podłogi pod bocznym oknem podniosłam spinkę do włosów i wyrzuciłam na dwór. Carter odbijał piłkę do koszykówki na swoim podjeździe. W końcu rzucił do kosza na garażu. Trafienie.

Wzięłam śpiwór i zeszłam po schodach.

– Jubie, papierowe torby z kuchni trzeba zanieść do samochodu.

– Tak jest. – Podniosłam pękate torby i wyszłam kuchennymi drzwiami, osobliwie cichymi bez krowiego dzwonka.

Carter opierał piłkę na biodrze; po jego piegowatej twarzy ściekał pot.

– Wyjeżdżacie już?

– Tak.

– Cieszę się, że wasz tata nie pójdzie do więzienia. – Carter zakręcił piłkę na palcu wskazującym.

– Sprzedał firmę, żeby zapłacić grzywnę. – Położyłam śpiwór, poprawiłam torby.

– Stell mi mówiła. – Odbił piłkę.

– Do zobaczenia w szkole.

Carter skinął głową.

Po południu wszystko było gotowe. Mama stała w kuchni, raz po raz przesuując dłonią po barze, jakby go wycierała. Wcześniej zdjęła obrączkę ślubną; na jej palcu widniało wgłębienie, podobne do tych na dywanach.

– Mała kuchnia to będzie prawdziwa ulga – powiedziała. – Ruszajmy.

Stell stała przy packardzie z Carterem, który pocałował ją w policzek i rzekł: – Do zobaczenia za parę dni, dobrze?

Stell na chwilę złożyła głowę na jego piersi, po czym wsiadła z przodu do auta. Ja zajęłam miejsce z tyłu, obok sterty ubrań. Kiedy wyjeżdżaliśmy z podjazdu, nikt nie powiedział ani słowa. W końcu skręciliśmy w Queens Road West, a mama oznajmiła: – Rita przywiezie Puddin i Daviego po kolacji. Musimy przyszykować dla nich łóżka.

Pościel i poduszki leżą na podłodze przy łóżkach, ręczniki i ściereczki w łazienkach. Czas przywyknąć do życia bez służącej.

– Już tak żyjemy – zauważyła Stell.

– Mam na myśli: na stałe. I bez ogrodnika. Po jesieni zostały liście, mnóstwo roboty. – Mama prowadziła jedną ręką, drugą szperała w torebce. Nagle usłyszałam znajomy dźwięk, mama się zaśmiała. – Krowi dzwonek. Zapomniałam, że mam go w torebce. – Uchyliła okienko i zapaliła papierosa. – W czwartek odbyłam rozmowę w sprawie pracy, a w poniedziałek idę tam poznać ludzi.

– To wspaniale, mam – powiedziałam. – Gdzie? – Na tylne siedzenie wpadało zimne powietrze zmieszane z dymem papierosowym.

– W Ośrodku Rehabilitacji przy East Morehead, będę recepcjonistką w publicznej przychodni.

– Co będziesz robić? – spytała Stell.

– Odbierać telefony, sprawdzać korespondencję, umawiać wizyty. Przychodnia publiczna jest dla ludzi, którzy nie mają ubezpieczenia. – Mama zaciągnęła się papierosem.

Pomyślałam o Leesumie. On z pewnością nie miał ubezpieczenia. Kto by zapłacił, gdyby zachorował?

– Nie mam złudzeń co do tej pracy, ale przynajmniej ktoś mnie zatrudnił. – Mama wyrzuciła papierosa przez okno.

Od tej pory nazywaliśmy to miejsce ośrodkiem dla zawiedzionych.

Na Selvyn Avenue ruszyliśmy prosto w zachodzące słońce, mijając drogę do domu w lesie, gdzie mieszkaliśmy, kiedy Mary zaczęła u nas pracować. Natychmiast po wprowadzeniu się mama zaczęła mówić o pójściu do pracy. Tata wpadł w szał i mama już nie wracała do tego tematu.

Mama zaciągnęła hamulec ręczny na stromym podejździe przed żółtym domem.

– Gdybyśmy tylko nie wynajmowali, pomalowałabym ten dom. Ma odrażający kolor.

– Według mnie jest wesoły – stwierdziłam.

Mama pociągnęła nosem.

– Nie wchodźcie do środka bez bagaży.

Wysoki i wąski dom stał na ciasnej działce schodzącej do strumienia Sugar Creek.

Sąsiedzi przestrzegli nas, żeby nie sadzić nic za domem, bo wiosną strumień wylewał.

Mama otworzyła frontowe drzwi i zapaliła światło na małej werandzie. Zniosłam swoje ubrania do pokoju, który miałam dzielić z Daviem.

– Tylko na początku, zanim się urządzimy – obiecała mama.

Potem wróciłam na dół. Stell, z rękami na biodrach, stała przy drzwiach frontowych.

– Mamo? – zawołała w stronę kuchni. – Gdzie jest stół z jadalni i krzesła?

– Sprzedałam je. – Mama weszła do salonu. – Od tej pory będziemy jedli w aneksie kuchennym.

– Nie mogę uwierzyć, że nie mamy stołu do posiłków.

Minąwszy kuchnię, wyszłam na wzniesienie za domem. Liście gnijące od jesieni zasłaniały trawę. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak się ich pozbędziemy. Mama otworzyła tylne drzwi, powiesiła krowi dzwonek, po czym powiedziała, jakby czytała w moich myślach: – Zgrabimy je do strumienia, żaden problem.

Ostatnio mama na wszystko miała odpowiedź.

## Podziękowania

W czterdziestym piątym roku życia wyjechałam z rodzinnego Charlotte w Północnej Karolinie na prowincję okręgu Chatham, ponieważ potrzebowałam dystansu. Nie mogłam pisać o Charlotte, póki go nie opuściłam. Tej opatrznosciowej przewodniczce zawdzięczam przyjaźń z powieściopisarką Laurel Goldman, dobrą nauczycielką, która jest też surowym krytykiem i oddaną fanką. To połączenie wydobywa najlepsze cechy u wielu pisarzy, którzy przez ostatnie trzydzieści lat uczyli się literackiego fachu pod jej kierunkiem. Do tej grupy zaliczają się obecni i dawni członkowie zdumiewającego kółka literackiego Laurel, zbierającego się w czwartkowe poranki: Cindy Paris, Fabienne Worth, Melissa Delbridge, Mia Bray, Cat Warren, Eve Rizzo, Carter Perry, Christina Askounis, Jackie Arial, James Ingram, Carolyn Muehlhause, Maureen Sladen, Mary Michael, Phaedra Greenwood, Charles Gates, Betty Reigot, Mary Caldwell oraz świętej pamięci Wilton Mason i Knut Schmidt-Nielsen.

Dziękuję Lee Smith, Angeli Davis-Gardner i Peggy Payne za krytyczne uwagi i poświęcony mi czas. Spłacam ten dług.

Wyrazy wdzięczności niech przyjmą pisarze, dzięki którym rozwijałam się w Charlotte w Północnej Karolinie: J. R. McHone (moja pokrewna dusza), Dennis Smirl, Dick Bowman, Jerry Meredith, David Frye, Greg West oraz Bill Barfield – któremu mówię: „Niech żyją mrówniki!”

W Nowym Jorku: John Scognamiglio, mój redaktor w Kensington, który troskliwie i uważnie wspierał mnie w okresie przygotowywania książki do druku, oraz mój agent, Robert Guinsler, który wierzył w moją książkę, kiedy byłam bliska rezygnacji. Dziękuję, że daliście szansę siedemdziesięcioletniej debutantce. Co za chwyt marketingowy!

Pat French, powierniczce i spowiedniczce, dziękuję za spacer z Jean-Michelem i opiekę nad nim podczas mojej nieobecności. Dzięki za to, że nie mówisz mi, co myślisz, chyba że spytam, a także za dzielenie się swoimi talentami edytorskimi. Nigdy nie zapomnę twojego telefonu z lotniska po lekturze mojego rękopisu.

Dziękuję, Diano Hales, za to, że się pakujesz, kiedy wrzeszczę: „W drogę!”

Dziękuję instytucjom: The North Carolina Writer’s Network, dzięki której wyrobniicy słowa pozostają ze sobą w kontakcie w Old North State; The Weymouth Center za zapewnienie spokoju i samotności, tak potrzebnych gryzpiórkom; The Carolina Room w Bibliotece Publicznej w Charlotte i Mecklenburg County, a także Bibliotece w Orange County, Hillsborough, NC.

Za uważną lekturę i krytykę dziękuję następującym osobom: Eileen St. Lauren, Kay Bishop, Robinowi i Mae Langford, Penny Austen, Kathryn Milam, Traci Woody, Tiffany Wright, Sofii Samatar, Richardowi Hoey-Bey, Gwendolyn Y. Fortune, Nancy Rosebaugh, Aimee Tattersall oraz Daphne Wiggins-Obie. Jestem wdzięczna Bobowi Conrow i Jamiemu Longowi za udostępnienie mi domu nad jeziorem, kiedy książka rozwijała się z płodu w niemowlaka. A także Taylin, nad wiek rozwiniętemu jasnowłosemu aniołkowi, która cierpliwie pytała mnie w szatni SportsPlex, gdy miała osiem, dziewięć, wreszcie dziesięć lat: „Kiedy będę mogła zobaczyć twoją książkę?”. Nigdy nie wątpiła, że pewnego dnia ujrzy ją wydrukowaną.

Dziękuję innym pisarzom, od których mnóstwo się uczę we wtorkowe ranki: Mary Harrison, Johnowi Manuelowi, Leslie Nydick, Patricii Owens i Jamesowi Protzmanowi; we wtorkowe wieczory: Beverly

MEEK, Jennie Ratcliffe, Sally Schauman, Virginii Tyler i Cynthii Zava; w środowe ranki: Gabe Cuddahee, Davidowi Halperinowi, Ronowi Jacksonowi, Susan Payne i Sarah Wilkins; a także Joyce Allen, Poppy Brite, Sidney Cruze, Rayowi Haroldowi, Johnowi Rhodesowi i Mary Russell Roberson.

Wyrazy wdzięczności dla kobiet, które utrzymywały porządek w naszym domu, gdy byłam dzieckiem i kiedy wyrosłam na nieporadną panią domu: Mary Leeper, Elizabeth Cureton, Verty Price i Atlanty Feaster.

Rodzina jest wszystkim. Dziękuję moim dzieciom – Homerowi Jacksonowi Faw III, Teresie Colleen Faw i Scottowi Mayhew Pharrowi – za trwałą akceptację moich dziwactw, które czynią mnie pisarką, za godzenie się na mój brak uwagi i puste spojrzenia, za pogodzenie się z moją nieobecnością, gdy zagłębiam się w rozmyślaniach. Pragnę też wyrazić głęboką wdzięczność za pokładaną we mnie wiarę i za wsparcie ze strony moich sióstr: Mary Jane Mayhew Burns, Lindy Mayhew Gore i Susan Mayhew Devine.

Jean-Michel, ależ ty kołyszysz!



# Przypisy

[←1]

Psalm 100, cyt. za: Biblia Tysiąclecia.

[←2]

Hymn Johna Newtona zaczyna się od słów: „Amazing grace! How sweet the sound. That saved a wretch like me” (Zadziwiająca łaska! Jak słodki to jest dźwięk, co zbawił mnie, grzesznego).

[←3]

Księga Izajasza 5,24, cyt. za: Biblia Tysiąclecia.

[←4]

Psalm 37, cyt. za: Biblia Tysiąclecia.